



# SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

LIPIEC - SIERPIEŃ 4 (51) 1999

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO—WSCHODNICH · WROCŁAW



V Dni Lwowa we Wrocławiu

Foto: Marek Rogalski

# Spis treści

Jerzy Masior – Miłość .....	1
Czesław E. Blicharski – Krwawe dni Tarnopola: czerwiec / lipiec 1941 .....	2
WSPOMNIENIA	
Stan Scheller – Obrońcy Lwowa w czasach pokoju (II) .....	4
Michał Siera – Samotna ucieczka z Reichu (c.d.) – ostatni .....	8
Franciszka Grodecka (Kanada) – Wspomnienia (c.d.) .....	9
Józef Dobrowolski – „Z trembowelskiego raptularza – 1997” .....	11
Janina Oparowska – Gdzie ziemia rodzinna i rodzinny dom .....	13
Prof. dr hab. Andrzej Kola – Prace archeologiczno-ekshumacyjne na Cmentarzu Obrońców Lwowa w latach 1997-1998 (Przedruk z „Przeszłość i Pamięć” nr 4 (9) 1998) .....	15
UROCZYŚCISCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLiKPW	
Zbigniew Grata – „Siódmy Zjazd Brodzian” .....	19
O. Cherubin M. Kuczowicz ofm. – Dziesięciolecie istnienia Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddział w Tychach .....	21
X-lecie Oddziału TMLiKPW w Koszalinie .....	22
Dni Lwowa w Tarnowie .....	23
V Dni Lwowa we Wrocławiu .....	24
Świdwiński Dzień Kultury Kresowej .....	29
Minęło dziesięć lat. Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Krakowie .....	30
Halina Bogucka – Poświęcenie Tablicy .....	32
Alfred Janicki – Wielkie bałakanie .....	33
KRESOWE KOŚCIOŁY	
Jarosław Tadeusz Leszczyński – Wschodniokarpacka Jasna Góra – Hoszów .....	34
Żwaniec – Opracował Marek Rogalski .....	37
Alfred Janicki – Opowiadania Mamy .....	38
Tadeusz Kukiz – Z dziejów Ziemi Radziechowskiej .....	40
Wiktor Poliszczuk, Ph. D. – Ślepotą czy amoralność? (II) (c.d.) .....	43
Związek Ziem Wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej Koło Toronto – Tu mówi i bałaka Radio Lwów – „Związkowiec” rozmawia z dziennikarką polskiego „Radia Lwów” Anną Gordijewską .....	45
WCZORAJ, DZIŚ, JUTRO	
Zbigniew Umański – Kronika Kresowa .....	46
Ogólnopolski Komitet Obchodów 55 Rocznicy Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów na Ludności Wołynia i Małopolski – Komunikat .....	52
WŚRÓD KSIAŻEK .....	52

Czasopismo jest współfinansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa

*Redaguje Kolegium:* Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI, Jerzy PETRYŃSKI, Danuta ŚLIWIŃSKA, Zbigniew UMAŃSKI.  
*Redaktor naczelny:* Andrzej KAMINSKI  
*Właściciel tytułu i adres redakcji:* Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Rуска 32/33, tel. 344-88-93; konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-99192-270-1-111  
*Wydawca:* Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” (adres i telefon jak wyżej). Zarząd: D. TABIŃSKA-JUHASZ – dyrektor, Z. BAKULIŃSKA, Z. UMAŃSKI.  
*Konto bankowe Fundacji Kresowej „SF”:* PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-10012-270-1-111.

*Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.*

## Miłość

J. Janicki we wstępie do albumu A. Bujaka „Zamki – kresowe strażnice Rzeczypospolitej” wspomina „o pokoleniu, któremu czterdzieści lat nakazowego milczenia o tej ziemi nie odebrało jednak pamięci”, a ja dodaję: nie odebrało też czegoś co jest ponad pamięć – nie odebrało miłości tamtych stron i ich jedyne Miasta: Lwowa. I już zaraz przemożnie nasuwa się pytanie, które Jan Paweł II wypowiedział w tym roku w Starym Sączu – „Jakie jest imię tej siły, która opiera się przemijaniu? To imię jest miłość...” Z jakimż bolesnym doświadczeniem, z jaką mocą podejmujemy wyzwanie tego pytania. Jak bardzo jest ono nam Lwowianom i wszystkim wypędzonym potrzebne. Z miłości gęstniejącej wraz z czasem, wszystko co pozostaje do ocalenia z niego musi być ocalone. Z upływającego czasu wyłaniają się horyzonty zbyt odległe nawet dla pamięci, ale i przestrzenie rozświetlane, ostro konturowane, by dawać chociażby złudzenie rzeczywistości tamtejszej i jej trwania. Trzeba sobie zdać sprawę z uczuć ogarniających nas, bywa że z siłą przemożną, choć niekiedy są gdzieś tu, w pobliżu, za opłotkami, których czas przekroczenia pozostaje nieznanym i nie wszystkim potrzebny i podarowany. Uczucia zakodowane i wyklute w tamtych, dalekich i chyba na zawsze pozostawionych stronach, wypełniają i programują nasze życie w ukrytej nieświadomości od dawna i na zawsze.

Z czasu, zwłaszcza z czasu, który przeminął, wynika wiele, a świadomość tego faktu znaczy dużo, pomaga, bywa drogowskazem. Nieświadomość powoduje, żeśmy ubożsi, że błądzimy po omacku w przyszłość, więc zabiegamy o przewodnika, a ten nie zawsze jest najlepszy. Wprawdzie wszystko przemija, ale dobrze jest wiedzieć przy którym kamieniu milowym tego przemijania znaleźliśmy się.

Mnie rozmyślanie o uczuciach nigdy nie przychodziło łatwo, bowiem uczucie to taki stan, gdy świadomość może stać się nieznośnym balastem, niepotrzebnym rekwizytem intelektu wypełniającym przestrzeń, tylko wymaginowaną, a bywa, że jej nie ma. Tak jest ze Lwowem moim i chyba wielu z nas, bo wszystko co od tych lat wypełniało nasze serca, co najlepiej porównać z niewystygłą lawą pod pozorną skorupą od lat zastygłą. Jakieś spotkanie, jakaś piosenka, wiersz, pokolorowany widoczek na poźółkłej widokówce, to pęknięcia lawy. A ona wówczas wylewa się najgorętszym swoim żarem, opanowuje myśli i sny, wydobywa z zakamarków zda się uśpionych wszędobylską pamięć, albo szczegół jakowyś indywidualnie tylko drogocenny. Okazuje się, w pękniętej szczelinie ukazuje się świat, którego nie sposób było się wyzbyć, wymazać z pamięci.

Nie znam kresowego miasta, które taką zadrą utkwiloby w pamięci i obolałej świadomości jak Lwów. Gdzieś bardzo blisko przyklejam do tej serdecznej mapy Wilno, choć to żar już nieco chłodniejszy. I, o paradoksie, ta zadra, ten klajster podarowany został przez Miasto nie tylko nam, Polakom. Rozproszeni po całym świecie wygnańcy STAMTAŃD, chociażby znad Pełtwi, z Łyczakowa, z Gródka, Zamarstynowa, Lewandówki mają zadziwiającą szybkość porozumiewania się, łatwość bycia ze sobą. Tak jakby te zdolności, niekiedy piekielne, ta gromadna współobecność były namiastkami trwania ich miasta: w ich rzeczywistości i układach? An-

drzej Chciuk piękną klamrą zamknął to w słowach – „Taka jest magia lwowskiej krwi/ takie jest prawo serc i snów:/ że póki życia wciąż w nas tkwi/ miłością oraz klątwą Lwów...”. Zarówno jednak miłość jak i stan wyklęcia nie każdemu się przydarza. Bywają tacy gruboskórni i zimnokrwieści rodacy, tkwiący korzeniami gdzieś w kolejarskich domkach Lewandówki, a są schizmatykami naszej wiary i miłości. Gdzieś po drodze utracili wrażliwość na to wszystko czego im nigdy nie oszczędzał Lwów, gdy w nim dorastali. Na szczęście takowych odszczepieńców nie ma zbyt wielu. A są tacy i to wysoko postawieni w hierarchii społecznej i politycznej naszego państwa, którym nieobce są resentymenty lwowskie poprzez kresowe korzenie np. żony. Zadziwiające jakimi meandrami ta lwowskość nam współczesna krąży. Lwowie i Kresowianie wrażliwości na uczucia mają w nadmiarze. I to się na szczęście w większości dobrze przekłada na czas dzisiejszy. Na szczęście! No bo jakby wyglądało dziś to wszystko co jest obrazem, co jest poezją, melodią, wzruszeniem z tamtych stron. Być może zbędną makulaturą byłyby pocztówki-obrazeczki z widokami Miasta, które jak talizmany przechowujemy po zakamarkach szuflad najgłębszych uczuć, a na światło dzienne wydobywamy je tylko wtedy gdy liczymy na wyrozumiałość. Jak ognia boimy się profanacji i chichotu. Zawsze dzieje się tak, gdy ktoś usiłuje pazernie i gruboskórnie dobierać się do naszych uczuć najgłębszych, o których niejednokrotnie tylko my wiemy. Te uczucia to siła, która opiera się przemijaniu, świadcząca o naszej godności i o cenie naszych w ciągu życia uzbieranych skarbów. Myśmy dawno już temu „uzbierali” Lwów. Wielu z nas robiło to tak skrzętnie, że dziś są niezwykle bogaci. Ale są i tacy dla których Lwów to tylko jakaś odległa impresja, a to miasto „to tylko zagranica”. Dlaczego jednak w skrytości powracają uparcie do tych wg nich półprawd, półfaktów, do miłoszowskich fantazmatów. Jaka przemożna siła steruje ich świadomością? Chyba wiemy. Uczucia lubią miejsca odosobnione, ciszę, intymność, słowem kurtynę. Nie odbierajmy im tego. Każdy modli się jak umie i kocha jak potrafi.

Znam osoby urodzone we Lwowie, wypędzone nieomal w kołyse, niczego więc nie zapamiętały, żadnej impresji lwowskiej nie doznały, ale z przedziwną przekorą (były takie czasy), a później z dumą stwierdzały swoje spod Kopca pochodzenie. W chwili gdy po latach znalazły się w tym szczególnym miejscu swojej chwili pierwszej, na tej jedynej na świecie ulicy (inaczej być przecież nie mogła, tam trzeba było trafić na sam przód), w świadomości, w sercu, czy gdzieś tam jeszcze – zawrzało uczucie organicznej przynależności do tego miejsca, do rodzinnego domu. Zapewne było to uczucie miłości. Rodziła się ona w mgnieniu oka, przynosiła ulgę, bo oto odnalazło się miejsce bardzo potrzebne, umiłowane, miejsce urodzenia. A my nie zapominajmy, że każde miejsce urodzenia we Lwowie jest szczególnie. Stygmatyzowało nas na takich jakimi jesteśmy. Nie chwalmy się: nie jesteśmy bowiem ani tak źli, ani tak dobrzy – jesteśmy na pewno inni.

Miłość, która wzbiera we Lwowie, jest tym większa (nie bez domieszki serdecznej litości), w im większej zapaści znalazło się dziś to miasto. Im ono biedniejsze, pozbawione ożywczego uśmiechu i jakby zdziczałe w obyczajach codzienności. Pozbawione wody w kranach, a pretendujące do europejskości, ćwiczące malowanie fasad na prezydenckie wizyty i szczyty... Dokładające bezwiednie starań o nijakość od lat wtłaczaną, indoktrynowaną i ludziom i rzeczom. Tyl-

ko czy Lwów potrafi być nijaki? Czy miasto, które z taką łatwością wzbudza uczucia, a niekiedy burzy cały nasz dotychczasowy świat, bo wszystko zaczęło się od tego tu właśnie miejsca urodzenia? To tylko dla nas Lwowian pamiętających tamten Lwów, tu i ówdzie jawi się on teraz szpetny, daleki od zapamiętanego. Od miasta, które swoją kulturową wielobarwnością tętnił życiem do syta, był jego pełnią, zanurzaniem się w nurcie wrażeń i bogactwie wydarzeń. Był w tym Mieście jakowyś cug miły owiewający nasze twarze na ulicach, na otwartych platformach tramwajów, na wzgórzach, gdy chcieliśmy się na nie wdrapywać. Do głowy nam nie przychodziło by cokolwiek, co jest tu, wymieniać za cokolwiek. „Nie skusił nas nie uwiódł świat/ na inny urok, sens i blask.” To nie ja, to Chciuk, a słowa te dochodzą zza oceanu tęsknoty. Ona ubarwia, ale też ujawnia czym jesteśmy wypełnieni: uczuciem niezachwianym i bardzo trwałym, choć niejednokrotnie pokrywa je katarakta czasu zcieraająca kontury uporczywego pamiętania.

Nikt nie wymaga dziś od nas krzyku protestu, choć ten jest w nas wszechobecny. Nikt nie namawia nas do historycznej powtórki, do męstwa i ofiary życia, a w naszych żyłach nie płynie przecież bałkańska krew. Na gwałt nie odpowiadamy gwałtem, bo układ autonomiczny naszych serc nie ma takowej, szatańskiej żądz. Żyjemy w Europie, w której rodzą się paradoksy – ponoć strategiczne – że my Polacy tym, którzy nurzali dłonie w strumieniach naszej męczeńskiej, kresowej krwi – jako pierwsi, nieomal na wyścigi, chcemy utorować drogę na Zachód. Ale oni tu i ówdzie, zwłaszcza w krainie i mieście nam najmiłszym – wierzgają w schizofrenicznych drgawkach. I tu należałoby o Cmentarzu Łyczakowskim, o tym co w imię nie uczuć, ale najprostszyc racji politycznych powinno budować mosty.

A tymczasem groby naszych przodków plantują gąsienice maszyn, a ich kości staną się bezimienne dla przyszłych pokoleń. Bo tym, w których nieustannie i nieuleczalnie kołaczą idee Dońcowa zamarzył się „memoriał” dla siczowych.

Ale ja przecież chciałem o miłości. O uczuciu tak niejednokrotnie trudnym, ale i wspaniałym, że uwikłanie się w jego definicję bywa pomysłem niemożliwym i też... niepotrzebnym. Ile nas, tyle uczuć, tyle miłości. Nie mogę się tu powstrzymać, by nie przytoczyć wydarzenia, które świadczy o niepojętej zdolności Lwowa do wzbudzania uczuć, których nazywać nawet nie przystoi: wdowa po moim nieodżałowanym przyjacielu gliwickim – lwowianinie, Leszku P. – rodowita bieczanka – tak określa stan jakiego doznaje gdy dotyka pamiętek po Leszku, gdy mowa o naszym i jego Mieście „Odczuwam jakieś drżenie, jakiś niesamowity przyływ uczuć do Lwowa”. Nb miasta tego całkowicie nie zna. Jednakże z małżonkiem wiele lat w Gliwicach przeżyła, a to było jedno pasmo lwowskiego „nasiąkania”: książki, Politechnika, przyjaciele stamtąd, z Nazaretu, z Nowego Lwowa i zagęszczająca się kresowa atmosfera po '89 r. Więc na pewno drżenie jej serca było drżeniem lwowskim, nawet w tyle lat po naszym exodusie i odejściu męża, w jakże odległych od Lwowa Gliwicach. Jak nazwać te kołatania serca? Ja tego nie zrobię, alfabetu nie piszę.

Za kilka dni wyjeżdżam na wywczasy do Horyńca-Zdroju. Pamiętacie: to taka b. lwowska stacja klimatyczna, b. popularna. Wokół leśna cisza, zapadające się w zielsko cerkwie i kamienne trójramienne krzyże cmentarzy, i pagórzyste, zielone Roztocze, ciągnące się na południowy wschód. Kierunek miłości...

Nowy Sącz, w lipcu 1999

Czesław E. Blicharski

## Krwawe dni Tarnopola: czerwiec / lipiec 1941

Przez przeciąg 21 miesięcy, tj. od 17 września do 1 lipca 1941, w wyniku paktu Hitler-Stalin, Tarnopol znalazł się pod okupacją sowiecką.

W ostatnich dniach czerwca 1941 i jeszcze w dniu 1 lipca 1941, z gmachu sądu okręgowego i więzienia przy ulicy Mickiewicza, siedziby NKWD, dochodziły odgłosy ciężko pracujących traktorów. Silne posterunki NKWD odcięły tę część ulicy Mickiewicza i wyłączyły z ruchu, nie dopuszczając w pobliżu gmachu sądu zaintrygowanych mieszkańców miasta. Pamiętać należy, że w chwili wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej, w dniu 22 czerwca 1941, wzmogła się fala aresztowań, pochłaniająca m.in. resztki tarnopolskiej inteligencji, przetrzebionej poprzednimi wywózkami i aresztowaniami. Dało się zauważyć, że tym razem przywoziło NKWD do więzienia znacznie więcej Ukraińców, którzy dotychczas nie byli poddawani represjom sowieckim, jako że współpracowali z reżymem okupacyjnym, o czym wiedzieli polscy chłopci, wyznaczani na zsyłkę przez ukraińskie, wiejskie „selrady”. Wrogie zachowanie Ukraińców źle wróżyło tyłom armii sowieckiej. Ściągnęło ono na nich wybuch nienawiści sowieckiej w ostatnich dniach czerwca, zapełniając Ukraińcami więzienie tarnopolskie. Według późniejszych raportów Sonderkommando slanych z Tarnopola do centrali w Berlinie, straty ukraińskie sięgały 2000 w tym 160 członków inteligencji. Oczywiście, ra-

porty te były wynikiem inspiracji nacjonalistów ukraińskich.

Dnia 24 czerwca 1941 został wydany rozkaz NKWD w sprawie „ewakuacji więzień i likwidacji więźniów politycznych”.

Dnia 25 czerwca 1941 lotnictwo niemieckie zbombardowało sowieckie lotnisko koło Gajów Wielkich. Zniszczyli szereg sowieckich samolotów myśliwskich. Jeden niemiecki Ju 88, jak się później okazało, z 8 eskadry 51 dywizjonu Luftwaffe został postrzelony i zmuszony do lądowania „na brzuchu”. Załoga złożona z czterech lotników wyszła bez szwanku. Zniszczyła samolot i ukryła się w łanie pszenicy. Wieczorem 25 czerwca Niemcy zostali złapani przez sowieckich żołnierzy, którzy przy poddawaniu się lotników jednego zabili, drugiego postrzelili. Później złapano jeszcze jednego, którego zaprowadzili do więzienia, otoczonego zgrają żydowską, naigrywającą się z jeńca, następnie zamordowanego wraz z kilku innymi jeńcami niemieckimi w więzieniu tarnopolskim. Ich trupy zostały wykorzystane przez nacjonalistów ukraińskich jako zapalnik wybuchowy „Pogromu”.

Rano dnia 1-go lipca 1941 r. ludność miasta była świadkiem przemarszu długiej kolumny więźniów politycznych, eskortowanych przez NKWD ulicą Tarnowskiego w kierunku granicznych Podwołoczysk. W tłumie więźniów rozpo-

znano m.in. dyrektora I-go gimnazjum Dominika Pytla, dyrektora Banku Hipotecznego Zygmunta Zaliwskiego, starżarza Stanisława Najbuka, nauczyciela I-go gimnazjum Franciszka Machalskiego, Ukraińca nauczyciela III-go gimnazjum Józefa Chomę, działaczy narodowych Adama Okienkę i z Zagrobeli Jana Hapanowicza. Na wysokości ul. Chopina zaśląb Zaliwski, którego żołnierz eskorty dobił bagnetem, a na wysokości cegielni udało się uciec Najbukowi.

W tym samym dniu opuściły w popłochu miasto wojska sowieckie, naciskane przez IX Dywizję Pancerną i dywizję SS Wiking, obie stanowiące część XIV Korpusu.

„Przed nami” widział z wieżyczki swego czołgu podporucznik wojsk Pancernych von Kageneck „na bezkresnym horyzoncie znajdowało się miasto Galicji Wschodniej, Tarnopol... dzisiaj stanowiło kluczową pozycję Rosjan na ziemiach polskich, zaanektowanych w r. 1939...”. Dnia 2-go lipca Tarnopol był już w rękach niemieckich.

Niemal natychmiast w mieście zainstalowało się Sonderkommando 4b. (SK 4b), Einsatzgruppe C, dowodzone przez dra Rauscha. Wraz z wojskiem niemieckim zjawił się w Tarnopolu kontrolowany przez Abwehrę oddział ukraiński „Nachtigall”, a dn. 7-go lipca dwie kompanie tzw. „pohidini hrupy” (OUN-Bandera, grupy politycznego działania). Na ulice miasta wyszła milicja ukraińska, albo samorzutnie organizowana, albo przez Niemców, celem schwywania kolaborantów sowieckich.

Kosyk „Das Dritte Reich und Ukraine” pisze w książce wydanej na Zachodzie: „... OUN-Bandera stworzyła tajne, małe grupy zwane pohidni hrupy, których celem była penetracja Ukrainy i przejęcie władzy, w sumie kilka tysięcy ludzi, mogących liczyć na poparcie ukraińskiej jednostki utworzonej w ramach Wehrmacht. Na terenie Generalnej Gubernii i na terenie Ukrainy OUN organizowała i szkoliła „pohidni hrupy”, by w przypadku wojny niemiecko-rosyjskiej mogły działać na terenie Ukrainy i poza linią frontu. Ponadto OUN przygotowywała, chociaż nie tak oficjalnie, wysłanie na Ukrainę politycznych grup, celem kontynuowania działalności organizacyjnej na Ukrainie. W przededniu wybuchu wojny, umieszczone na miejscu i potajemnie poinstruowane, grupy te stopniowo przenikałyby na Ukrainę, w ślad za Wehrmachtem. Wiadomo jest, że ukraińska milicja samorzutnie zorganizowana lub później zorganizowana przez Niemców, odegrała ważną rolę w łapaniu kolaborantów z sowietami w Tarnopolu.” Tyle „historyk” ukraiński Kosyk.

Można by zaryzykować twierdzenie, że zaraz po wejściu wojska niemieckiego rozpoczęło się plądrowanie i rabunek magazynów żywnościowych i innych. W mieście panował głód, stąd powszechny udział ludności miasta w zdobywaniu żywności i innych rzeczy koniecznych do życia. Nie obeszło się bez udziału żołnierzy niemieckich, połujących szczególnie na alkohol.

Z więzienia enkawudowskiego wydobywał się fetor na ulice przyległe. Ukraiński lekarz miejscowego szpitala R. Ostrożkyj twierdzi, że ten fetor przywiódł do więzienia i budynku sądowego, do którego włamał się jako pierwszy spośród mieszkańców miasta, z drugim lekarzem, też Ukraińcem, Czumakiem. Po zejściu do piwnic odkryli tam stosy trupów, w sumie 674 zamordowanych, w tym 10 zwłok żołnierzy niemieckich. Byli to lotnicy, załogi dwóch samolotów. Ciały ich wykazywały ślady tortur, wyklute oczy, odcięte języki. Moment ten wykorzystali Ukraińcy i zawiadomili Niemców o odkryciu, kierując równocześnie ostrze oskarżeń

w stronę żydowskich mieszkańców miasta. Odnaleziono tam dającego znaki życia ucznia Bolesława Ostrówkę (1922 r.). Żołnierze Dywizji SS Wiking zobaczywszy co NKWD zrobiła z ich towarzyszami broni, wyszli na miasto, prowadzeni przez ukraińskich informatorów, którzy wskazywali Żydów na ulicach i ich mieszkania. Zaczął się „pogrom” około południa 3-go lipca. Milicja ukraińska i nie kontrolowane przez Niemców „pohidne hrupy” oraz ściągnięta przez OUN ludność ukraińska ze wsi, ogarnięci chęcią odwetu zabijali Żydów, jako tych, których uważali za przyczynę wszelkiego cierpienia doznanego w czasie okupacji sowieckiej. Osyp Załoba w „U pohidii na schid” (1998) przyznaje, że Ukraińcy brali udział w „pogromie” pisząc, że na skutek wielkich strat poniesionych przez Ukraińców (milczy o Polakach) z rąk NKWD i wobec odkrycia zbrodni ludobójstwa sowieckiego, dokonanego w kolaboracji z Żydami: „... ludzie w Tarnopolu stracili nerwy, ale faktem jest, że żydowscy komisarze odegrali główną rolę i dlatego nienawiść ludzi wyładowała się na Żydach”. W tym chaosie zabity został m.in. Polak, nauczyciel gimnazjalny Antoni Szmilewski tylko dlatego, że nosił brodę (3 VII 1941).

Wieczorem tego samego dnia Ortskommando miasta zwołało w magistracie członków komitetu nacjonalistów ukraińskich, gdzie omówiono techniczną stronę „pogromu”, planowanego przez Niemców. W skład komitetu wchodził m.in. aptekarz Bilinskij i żona nauczyciela gimnazjalnego, uwięzionego przez NKWD, Augusta Chomowa. Komitet nakazał dozorcóm domów wyszukiwać i wskazywać kryjówki Żydów. Już wtedy ów komitet podał Niemcom listę około 30 Polaków, rzekomych współpracowników NKWD. Z miejsca skazano ich na rozstrzelanie, do którego jednak nie doszło na skutek interwencji, znającej język niemiecki żony b. oficera znajdującego się na tej liście. Prawdopodobnie wszyscy uniknęli śmierci, a wśród nich mieszkaniec ulicy Brodzkiej Biernacki. A jednak w raporcie Sonderkommando 4b otrzymanym w Berlinie 5 VIII 41 znalazła się informacja „milicja ukraińska zamordowała polskie rodziny w Tarnopolu”. W raportach do Berlina, które wysyłało Sonderkommando, znajdowały się, inspirowane przez nacjonalistów ukraińskich, takie wiadomości jak np.: „Z Tarnopola wywieziono przez NKWD 5000 Ukraińców, 2000 zostało zamordowanych”, „Zgodnie z twierdzeniami Ukraińców, Rosjanie zamordowali więcej Niemców ponad dziesięciu.”, „Liczbę zamordowanych przez NKWD Ukraińców ustalono ostatecznie na 600 osób”, „Żydzi i Polacy byli oszczędzani przez NKWD”, „Z 54 Polaków i Żydów, którzy byli agentami NKWD, 8 osób, w tym dwie Żydówki rozstrzelano, a reszta uciekła”.

6 lipca otrzymała centrala w Berlinie raport nr 13, w którym czytamy: „Sowieci ewakuowali 5000 Ukraińców i 2000 zamordowali. W odpowiedzi na to rozpoczęły się aresztowania żydowskiej inteligencji. Ilość ocenia się na 1000”.

Od 5 do 10-go lipca 1941 przebywał w Tarnopolu Obersturmbannführer Günther Hermann z około 80 członkami Sonderkommando.

Dnia 3-go lipca 1941 zmarł w szpitalu nie dobity Bolesław Ostrówka. Władze niemieckie pozwoliły na manifestacyjny pogrzeb, jako ofiary NKWD. 5-go lipca w południowej części cmentarza tarnopolskiego pochowano trzech zamordowanych lotników niemieckich i następnie dn. 6 lipca dalszych siedmiu.

Kiedy do miasta przybył głównodowodzący Korpusem generał piechoty von Wietersheim i dowiedział się o „po-

gromie” i panującym w Tarnopolu chaosie, mianował siebie komendantem placu (Ortskommandant). Jest to bardzo nietypowa sytuacja, bo normalnie taką funkcję sprawował kapitan z jednostki tyłowej. Generał rozkazał wydrukować afisze z obwieszczeniem i rozlepić wszędzie w mieście. Zawierało ono rozkaz natychmiastowego zaprzestania prześladowań Żydów, gwałtów, które mają być zaprzestane natychmiast. Przekroczenia będą karane surowo. Píše o tym oficer prasowy Dywizji Panczernej, przebywający w Tarnopolu w dniach od 3-go do 7-go lipca 1941. Do tego artykułu dołączył zrobione przez siebie zdjęcie przedstawiające Ukrainkę z pałką w jednej ręce, a drugą trzymającą za kark prowadzonego przez siebie Żyda. Mimo tych obostrzeń ukraińska milicja brała Żydów do pracy przy grzebaniu trupów żydowskich i usuwaniu zniszczeń, a po wykonaniu tych prac zabijała ich. Według źródeł żydowskich „pogrom” trwał od piątku 4-go lipca do piątku 11-go lipca. W „pogromie” zginęło 5000 Żydów.

Po ustanowieniu „Judenratu” władze niemieckie wezwały przełożonego rady dra Fischera i zażądały od niego kontrybucji w wysokości 1500000 zł, po 130 zł od głowy. W chwili wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej było w mieście około 17000 Żydów. Z przeliczenia (suma kontrybucji podzielona przez 130 zł) wynika, że po pierwszym „pogromie” w mieście pozostało około 11555 Żydów, czyli, że „pogrom” pochłonął około 5000 ofiar, owoc wspólnego działania niemiecko-ukraińskiego.

Wracając do strat ukraińskich doznanych od NKWD, według źródeł niemieckich Ukraińcy mieli stracić raz 2000 ludzi, w tym 160 inteligentów, innym razem miało to być 5000 wywiezionych i 2000 zamordowanych. Źródła niemieckie były inspirowane przez Ukraińców, którzy ani słowem nie wspominali o tym, że głównie to Polacy byli ofiarami terroru sowieckiego. Kierownicy propagandy ukraińskiej chcieli w ten sposób wykazać, że w Tarnopolu nie było Polaków, a jeżeli byli, to „jak Żydzi byli oszczędzani przez NKWD”, zgodnie z jednym z raportów Einsatzkommando. Ukraiński lekarz szpitala Tarnopolskiego R. Ostrożskij, któremu, jak sam twierdzi, wojskowe władze niemieckie powierzyły przeprowadzenie ekshumacji pomordowanych i który przez cały czas przebywał na terenie więzienia, w swoich wspomnieniach „Spomin zachwytoho zloczynu”, ani słowem nie pisze o „Pogromie” rozgrywającym się na jego oczach. Ilość ofiar sowieckiej zbrodni ocenia na 500 osób. Zanotował dwa wypadki mordowania Żydów przez SS i żołnierzy niemieckich: raz na terenie więzienia (3 lipca), gdy SS-mani ostrzelali i obrzucili granatami grupę Żydów zajętych wykopywaniem trupów, i drugi raz (5 lipca), gdy

przejeżdżający obok cmentarza oddział niemiecki ostrzelał Żydów kopiących tam masowy grób. Lekarz, szukając przyczyn zgonu ofiar sowieckich, doszedł do wniosku, że więźniowie NKWD... zostali otruci arsenem. Wspomnienia emigrantów ukraińskich na Zachodzie podlegały określonej konwencji: Ukraińcy nie mordowali Żydów, a wręcz przeciwnie, jak np. w Tarnopolu pomagali im, przywoząc ich do pracy samochodami i żywiąc zupą i chlebem, o który było tak trudno w tym czasie w mieście. Szczytem zakłamania jest stwierdzenie, że przerażeni Żydzi przyprowadzeni przez żandarmerię niemiecką do pracy na terenie więzienia, gdy dowiedzieli się, że będą pracowali pod kierownictwem „Ukraińców-swojaków”, nie ukrywali swojej radości.

Pozostaje do wyjaśnienia sprawa różnicy ilości ofiar sowieckiego reżymu podanych ze źródeł rosyjskich do r. 1995, wykorzystanych przy opracowaniu „Drogi śmierci”, a opublikowanymi po tym roku danymi „Memoriału”.

„Drogi śmierci” podają, że w dniu 10 czerwca 1941 w tarnopolskim więzieniu przebywało 1577 osób, z czego w planie ewakuacyjnym przewidziano wagony dla 1000, kierowanych do Charkowa i 577 do obłasti Omskiej. Już 22 czerwca, a więc w chwili wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej było 1790, z których 560 rozstrzelano (197 w piwnicy), zwolniono 217 (przestępstwa pospolite), zastrzelono przy próbie ucieczki 18, natomiast 1000 ewakuowano. Tymczasem jeszcze po 22 czerwca NKWD przeprowadziło liczne aresztowania, ofiarą których padły resztki polskiej inteligencji i w większym stopniu Ukraińcy, na których szczególnie została wyładowana nienawiść za akcje sabotażowe na rzecz zbliżającej się armii niemieckiej. Z porównania dwóch wielkości z dat 10 VI i 22 VI wynikałoby, że w tym okresie 12 dni zostało uwięzionych jeszcze 213 Ukraińców i Polaków.

Lista „Memoriału” zawiera imienny wykaz 1076 ofiar zamordowanych w więzieniu tarnopolskim w końcowych dniach czerwca i w dniu 1-go lipca 1941. W czerwcu zginęło 840 ludzi i tylko w jednym dniu lipca aż 236. Wyjaśniły się powody szumów pracujących w więzieniu traktorów. Jak na razie nie istnieje wykaz więźniów ewakuowanych, ocenianych na około 600.

Wg danych z listy „Memoriału” wśród 1076 zamordowanych było: 1055 mężczyzn i 21 kobiet. Najstarszy mężczyzna liczył 70 lat (ur. 1871), najmłodszy natomiast 16 lat (ur. 1925). Tych ostatnich było 290, a wśród nich Polak Tadeusz Wliżło. Pod względem narodowościowym było 840 Ukraińców, 8 Żydów i około 200 Polaków. Wśród tych ostatnich, głównie potomkowie szlachty zagrodowej aresztowani po 22 czerwca 1941. (Bibliografia u Autora) □

## WSPOMNIENIA

Stan Scheller

### Obrońcy Lwowa w czasach pokoju (II)

Po zakończonej wojnie Ojciec usiłował znaleźć się w nowej, koszmarniej rzeczywistości sowieckiego Lwowa. Unikał jak umiał prześladowań (w czym zapewne bardzo pomocny okazał się wyrobiony instynkt dezertera z armii austriackiej), bardzo prawdopodobnych w warun-

kach wszechogarniającej represji wobec Polaków. Jednak dopiero wówczas, gdy znikła już ostatnia nadzieja na rychły koniec Czerwonego Imperium (w który nieodmiennie wierzył), dał się w końcu ekspatriować. Znalazł się we Wrocławiu.

Po kilku latach od zakończenia wojny Ojciec przypadkowo usłyszał o kłopotach jakie miałem na studiach ze strony pewnego „towarzysza”, który był rzadkim okazem zajadłego, tępego fanatyka partyjnego, a w dodatku rzadkiej szuji. Z niewiadomych powodów uparcie robił mi opinię „wroga ludu” chyba dlatego, że wówczas nie wystarczyło być świnią, trzeba to było jeszcze udowodnić. Dla mnie to było niebezpieczne tym bardziej, że właśnie rozpocząłem starania o wolontariat u światowej sławy uczonego, mogłem więc napotkać nie lada przeszkody ze strony „przewodniej siły narodu”! Zupełnie mimo woli wypsnęło mi się nazwisko mego antagonisty. – Poczekaj – podchwycił Ojciec, – spytaj go, czy to jego ojciec był naczelnikiem stacji we Lwowie. Jeśli tak, każ mu przekazać pozdrowienia ode mnie dla jego starego. Zobaczmy jaki będzie skutek. Zrobiłem to. Na następny dzień tamten omalże rzucił mi się na szyję. O dalszych szykanach nie było już mowy! Dopiero wówczas Ojciec odkrył mi tajemnicę tej metamorfozy „towarzysza”.

W dość wczesnym okresie niemieckiej okupacji Lwowa Ojciec spotkał na ulicy naczelnika Fröhlicha. Tamten usiłował uciec i dopiero na wołanie zatrzymał się, nisko kłaniając się Ojcu. Na rękawie miał białą opaskę z gwiazdą Dawida. Ojciec oczywiście od dawna wiedział, że tamten jest Żydem. Gdy jednak na pytanie o powód paniki usłyszał: pan pewnie jest teraz Niemcem – omalże go nie uderzył. Uznał to bowiem za posądzenie o koniunkturalizm, a zatem o świadomą obrazę.

Sprawa zakończyła się podarowaniem Fröhlichowi wózka opału własności f-my pracującej dla Wehrmachtu (to było chyba potem powtarzane) oraz wyrobieniem papierów (oczywiście „lewych”), które pomogły mu przetrwać i przeżyć koszmar zagłady Żydów.

Od przyjazdu do Wrocławia Ojciec pracował w dużej firmie państwowej (chyba MZBM), po kilku latach awansując na kierownicze stanowisko. Tamże stał się mimowolnym bohaterem zdarzenia, które w pewnych kręgach rozniosło się błyskawicznie, budząc powszechną wesołość. A było to tak:

Władza Ludowa rozpoczęła właśnie jedną ze swych słynnych „akcji”, której towarzyszył jazgot nachalnej, skutecznie obrzydającej nakreślone cele propagandy. Tym razem było jeszcze głośniejsze i jeszcze bardziej obrzydliwie niż zwykle. Rozpoczęto bowiem „Publiczną zbiórkę na dom Partii”. Gdy agitacja osiągnęła bliski orgazmu szczyt napięcia, w Zjednoczeniu Ojca urządzono masowy spód załogi pod hasłem: „uczestniczymy w publicznej zbiórce na dom Partii”. Do Ojca zwróciło się kilku towarzyszy: – kierowniku, musicie przemówić. Ojciec zdrtwiał: pomijając „szczytny” cel zbiórki, On nie umiał gadać „pod siebie”, lać wody z trybuny w tłum zebranych. Zwykle w takich momentach jąkał się i zaciął, zupełnie tracąc koncept. Usiłował więc przekonać towarzyszy: – panowie, ja się absolutnie nie nadaję do tego, nie umiem przemawiać, a ponadto jestem bezpartyjny!! – Tym lepiej kierowniku, tym lepiej! – usłyszał w odpowiedzi. Prawie siłą wypchnęli Go na mównicę. Tu już nie było wyjścia. Trzeba było coś powiedzieć tym kilku setkom pracowników, którzy z rozbawieniem przyglądali się tej przepychance przy otwartej kurtynie. Tymczasem Ojcu, gdy stanął na czerwonej ambonie, świat zawirował w oczach, w ustach zaschło,

ale potem ogarnęła Go wściekłość. Wszystko Mu się pomieszało, więc z desperacją ostro zaczął: – proszę państwa, trzeba dołożyć do tej akcji – mówić zacinając się i jękając. – Wszyscy wiedzą o co chodzi, nie będę więc powtarzał raz jeszcze. Proszę więc deklarować się, ile kto da w tej zbiórce na publiczny dom dla Partii! Tu skończył i zszedł z trybuny.

Historia dyskretnie spuszcza prześcieradło na finał tej zbiórki na jakże potrzebny dom publiczny! O ile wiem, była potem wściekła awantura, ale jednak dostrzeżono autentyczność (a może i komizm) sytuacji oraz zupełny brak „prowokatorskiej” intencji. Głos rozsądku i być może elementarna uczciwość w końcu zwyciężyły: nie aresztowano Go natychmiast, jakby tego można było oczekiwać. Tyle, że wkrótce potem wyrzucono Go z pracy.

Chyba w parę miesięcy po tym incydencie, po jakiejś niezbyt mądrej, a w każdym razie na pewno nieostrożnej wypowiedzi Ojca w gronie trzech osób, dostał się w obroty „chłopców o stalowych oczach”, wskutek czego, po swojemu, znikł z Wrocławia. Przeżył jeszcze (tym razem w spokoju) kilkanaście lat, aż do swej śmierci w Rzeszowie, gdzie został pochowany. W mieście leżącym tak blisko Lwowa...

Losy mego Dziadka potoczyły się zupełnie inaczej.

Do wybuchu wojny żył sobie spokojnie na emeryturze zajmując się drobnymi sprawami domowymi, sadząc drzewa i kwiaty w rozległym ogrodzie swego domu przy ulicy Koszarowej. Przesiadywał w kościele, często spotykał się z sąsiadem Szymą (zmieniona pisownia nazwiska Schima) z którym spędził dzieciństwo w Bruckentahlu, niemieckiej wsi koło Żółtkwi, a teraz miał z kim pogawędzić. Jesień życia zapowiadała Mu się spokojnie i szczęśliwie. Nawet po przyjeździe bolszewików jakoś sobie żył, bo – chyba przez niedopatrzzenie dali Mu spokój. Dopiero wejście Niemców zmieniło Jego życie. Krótco po zainstalowaniu władzy cywilnej miał niespodziewaną wizytę. Pojawił się u Niego pan ze swastyką w klapie i wręczając Mu jakieś papiery zażądał podpisu. Była to deklaracja zmiany narodowości, a raczej powrotu do źródeł, czyli do Niemczyzny.

Nie nazywam tych papierów „Volkslistą”, ponieważ dwie moje Ciotki (córki Dziadka) uparcie utrzymywały, że była to „Reichslista”. Byłby to z niemieckiego punktu widzenia niewątpliwie zaszczyt, zresztą całkowicie Mu należny. On jednak nie potrafił docenić tego wyróżnienia i grzecznie odmówił panu z „Hackenkreuzem”. Ten jednak zapowiedział swój rychły powrót.

Dziadek przeżył to spotkanie bardzo ciężko, powtarzając przez dłuższy czas: – taki wstyd, taki wstyd! Tu należałoby jeszcze znać osobisty stosunek Dziadka do Hitlera: nienawidził go i pogardzał nim, uważając za skończonego złodzieja. W Jego nomenklaturze Hitler to był „sprawiedliwy słodziej”, co miało oznaczać – prawdziwy nie kwestionowany złodziej, a więc taki, co do którego nie ma żadnych wątpliwości. Natychmiast po tej wizycie zebrał wszystkie swoje dzieci mieszkające we Lwowie (tj. cztery córki i dwóch synów po to, by zadać im tylko jedno pytanie: co robić w tej sytuacji? Odpowiedź była natychmiastowa i jednogłośnie: absolutnie nie podpisywać! Dziadek podsumował to krótko: – tak i ja miszla!

Drugie odwiedziny pana ze swastyką podobnie zakończyły się niczym, przy czym Dziadek w krótkiej przemowie wygłosił swoje credo, w którym była mowa

o wierności zasadom, przyjaciołom i danemu słowu. Wspominał też o dumnej zasadzie niemieckiej wierności aż do śmierci („die Treue bis zum Tod”) i solidarności z ludźmi, którzy Go tak dobrze przyjęli, a których teraz spotykają same nieszczęścia. Tak więc również i ta wizyta skończyła się niczym, lecz jeszcze w miarę spokojnie. Trzecia była dramatyczna. Dziadek wrzeszcząc – raus!! wyrzucił intruza z domu. Ponoć chwycił go w okolicy kołnierza i pomagał sobie kolanem. Trudno mi w to uwierzyć, ale dla spokoju sumienia przytaczam relację zasłyszaną od Ciotek, które słyszały ryk Dziadka (miał ten głos, miał!) lecz widziały tylko fragmenty szamotaniny. To zresztą nie było chyba takie ważne. Istotne i decydujące w tej sprawie było dziadkowe nie, które poruszyło całą okolicę. Oto „stary Szwab” wywał hitlerowca na zbitą twarz i pozostaje wierny dotychczasowej opcji, wierny swej przybranej Ojczyźnie!

Skutki tej odmowy były natychmiastowe. Dziadkowi odebrano emeryturę i kartki żywnościowe, z ich głodowymi przydziałami. Ten stary człowiek poczuł się wówczas nikomu niepotrzebnym śmieciem (wg Jego określenia). Nie poddał się jednak. Nie chcąc być tylko ciężarem dla rodziny, On, 80-letni starzec, chodził codziennie do lasu na obrzeżu cmentarza Janowskiego i karczował pnie pozostałe po ścinie drzew, formując małe wiązki drewniak na podpałkę, które potem sprzedawał za symboliczne grosze. Zarobione pieniądze oddawał rodzinie na swoje utrzymanie. Z początkiem zimy 1942 zmarł cicho w czasie snu. Serce nie wytrzymało takich obciążeń. Został pochowany na cmentarzu Janowskim. To był prosty, ale jakże szlachetny człowiek.

\*\*\*

Często robię w myślach bilans postaw i dokonań mojej rodziny. Dziadka i dwóch Jego najstarszych synów (Józefa, mego Ojca i Franciszka) już opisałem, pozostali jednak jeszcze inni, o których nie mogę zapomnieć. Przesuwa mi się przed oczami korowód moich niemieckich przodków.

Franciszek Jahnsohn<sup>1)</sup>, młodszy brat mojej Babki. Hallerczyk, który nie wiadomo skąd (chyba jako jeńiec z armii austriackiej lub niemieckiej) wziął się w „Błękitnej Dywizji” generała Hallera. Wrócił z nią do Polski i brał udział w wojnie bolszewickiej, no bo jakżeby inaczej?

Po wojnie, jako osadnik wojskowy, otrzymał 52 hektary (a może morgi?) ziemi na Polesiu w Żabczycach, wsi osadników wojskowych, położonej pod Pińskiem, skąd sowietci w pierwszej deportacji zimą 1940 wywieźli mu całą rodzinę za Archangielsk. Po latach tylko część z nich wróciła. On sam w chwili wywózki był przypadkowo poza domem, dzięki czemu ocalał.

Wiktoria (czy raczej Victoria) Jansohn-Braun, przyrodnia siostra mojej Babki, bardzo piękna i kulturalna kobieta. Na przełomie XIX i XX wieku wyemigrowała do USA, gdzie spędziła chyba ponad 20 lat dorabiając się pewnego majątku i obywatelstwa amerykańskiego. Zamieszkała w Camden (Illinois) gdzie wyszła za mąż i urodziła troje dzieci: Arthura, Halinę i Marię. W 1922 roku rodzina Braunów wróciła do Polski, osiadając w Samborze. Obie dziewczyny ukończyły farmację we Lwowie, Artur (zmieniona już pisownia imienia) jakąś szkołę techniczną, po czym przeniósł się na Śląsk.

Artur Braun był typowym nordykiem: dość wysoki, jasny blondyn o niebieskich oczach, szczupłej, pociągłej



Victoria Braun. Foto: Philadelphia, początek XX w.

przez całe lata, pałętającą się w opowiadaniach rodzinnych wersją miał być Jego wybrzek, polegający na odśpiewaniu w knajpie hymnu polskiego, a następnie uderzeniu interwenującego, niemieckiego żandarma, po



Artur Braun. Zdjęcie z końca lat 30-tych. Foto: Sambor

czym aresztowano Go na miejscu. Długie lata ten scenariusz nie wiadomo skąd wzięty i przez kogo stworzony przyjmowałem za jeszcze jeden z tych przedziwnych paradoksów, w których absolutnie czysty, germański genom realizuje absolutnie czysty, polski typ zachowań. Przypadek zburzył obraz tego incydentu. Dosłownie w ostatnich tygodniach nawiązałem kontakt z Siostrą Artura, Haliną, której adresu dotąd nie miałem. Ta leciwa już 84-letnia dama (w dodatku poważnie chora) rzuciła zupełnie inne światło na ostatni etap życia Artura: – On był bardzo spokojnym, cichym i zamyślonym człowiekiem o dużej wrażliwości, typowym introwertykiem. Nie miał żadnej z cech tak typowych dla Schellerów: nic z zadziorności, siły i nieustępliwości. Był nadwrażliwcem zamkniętym w kręgu łagodnych uczuć i upodobań. To zupełnie nieprawdopodobne, by tak się zachował, – wyznała mi Halina Braun. Wg Niej Artur przed wojną pracował w Dziedzicach w fabryce amunicji eksportowanej do Anglii<sup>3)</sup>, którą w pierwszych dniach września 1939 r. ewakuowano do Lwowa. Na wieść o wkroczeniu sowietów (17 września 1939), Artur uciekł na zachód i trafił do Ursusa. Tam w 1940 roku został aresztowany i przewieziony do więzienia we Wrocławiu, a wkrótce potem do Oświęcimia, gdzie po 2 tygodniach zmarł. Jego Matce

twarży i wąskiej czaszce, co łącznie stanowiło komplet jakże pożądanej przez Niemców cech tej „rasy”. Właśnie On stał się w mojej Rodzinie pierwszą ofiarą „Mitu XX-go Wieku<sup>2)</sup> i chyba zemsty za odszczerpienie od świata germańskich wyobrażeń o Nowym Człowieku. Okoliczności Jego śmierci długo pozostawały okryte tajemnicą w sferze domysłów i legend. Utrwaloną



przysłano w pudełku prochy po kremacji, jako pozostałość po Jej (?) synu, zmarłym „na tyfus”. Tajemnica aresztowania i śmierci Artura nie zostanie już nigdy wyjaśniona. Przypuszczam, że zadziałał tu kompleks faktów i zdarzeń, wśród których trwanie przy polskiej opcji okazowego nordyka, mogącego być sztandarowym typem SS-manna stało się zdarzeniem inicjującym dalszy ciąg fatalnych konsekwencji. Takie są moje domysły oparte na szkicu psychologicznego portretu, nakreślonego przez Jego Siostrę, lecz także na moich własnych, migawkowych wspomnieniach o Nim, z mego wczesnego dzieciństwa. Reszta jest milczeniem.



Edward Scheller. Lata 30-te.  
Foto: Lwów

Wszyscy trzej przeżyli wojnę. W odpowiednim czasie mam zamiar opisać niektóre z Jego (mego Stryja – Edwarda) wyczynów.



Kazimierz Scheller (z prawej).  
Foto: 1 IV 1944 Agnone,  
Włochy

nej Rodzinie: Schellerów, Jansohnów, Braunów, Merianów, Metzów i Heroldów nie było Volksdeutsche. Jedyny niechlubny wyjątek stanowiła jedna z moich ciotek, ale ta na szczęście nazywała się Brodowicz<sup>4</sup>). Janina Brodowicz. Okaz godny utrwalenia w formalinie i

Edward Scheller, młodszy brat mego Ojca i Jego dwaj synowie: Ryszard i Zbigniew. Bardzo mocno zaangażowani w konspiracji (AK), ludzie o dużej, a Stryj o rzadko spotykanej odwadze. Był On klasycznym, czystym typem Lwowiaka, uzasadniającym moją tezę o istnieniu na tamtej Ziemi „niszy eugenicznej”, w której wykształcił się zupełnie odmienny typ człowieka. Homo Lvoviensis – a może raczej: Homo Leopolditanus?

Kazimierz Scheller, ostatni brat Ojca, najmłodszy z tamtego pokolenia. Uczestnik (w randze oficera) Kampanii Wrześniowej. Wzięty do niewoli bolszewickiej, w przebraniu szeregowca przetrwał obóz na Sybirze, skąd dotarł do armii Andersa. Uczestnik bitwy o Monte Cassino. Przeżył wojnę, żyje i do dziś mieszka w Anglii.

W mojej bardzo licznej i rozgałęzionej

rodziny, pokazywania za pieniądze. Przed wojną należała do „Strzelca” i BBWR, w czasie wojny miała Volkslistę Nr 1, a po wojnie – jakżeby inaczej! – została członkiem PZPR! Kiedyś, bardzo dawno, przypadkiem usłyszałem opinię Dziadka o niej, wypowiedzianą do sąsiada Schimy (podobnego Polaka jak Dziadek) – Janka ist ein echnes Konjunkturschwein – Ale czy ja wiem, czy ona była aż tak rzadkim okazem by warto utrwalac ją samą, a także pamięć o niej? Była wyjątkiem, ale tylko w mojej Rodzinie – i tyle! Ileż bowiem podobnych przypadków można było doliczyć się wśród „bliźnich”, kochanych rodaków? Pamiętam moje zaskoczenie, gdy szkolni koledzy o tak niemieckich imionach i nazwiskach jak np. Zdzisław Ciszek, Stanisław Zalewski, Woźniakowski<sup>4)</sup> itp. nagle okazywali się Niemcami, dla białego chleba i kawałka kiełbasy od Meinla,

(„Kto ty jesteś?  
Volksdeutsch mały.  
Jak znak twój?  
Chlebuś biały.  
Kto cię stworzył?  
Zawierucha.  
Co cię czeka?  
Gałąź sucha!”)<sup>5)</sup>

gdy tymczasem Schellery, Jansohny, Brauny, Meriany, Metz i Heroldy byli Polakami. To były cholernie dumne „Szwaby” i niezwykle porządni ludzie, z silnie rozwiniętym poczuciem godności.

Jestem niesłychanie dumny z moich przodków i szczerze się swą przynależnością do tej kiedyś tak rozległej Rodziny, choć jestem tylko jej epigonem, na którym chyba urywa się tradycja, którą tu usiłowałem wskrzesić i zaprezentować Czytelnikowi.

Od dłuższego czasu nie opuszczam mnie myśl o zdefiniowaniu przyczyn i zaprezentowaniu mego poglądu na przebieg procesu tak szybkiej i łatwej asymilacji przybyszów (a szczególnie Niemców) przez tamtą Ziemię i tamto, zaczarowane Miasto.

Przypisy:

1) Nazwisko tej gałęzi mojej Rodziny, wskutek działalności „gorliwych” urzędników PRL-u zostało zmienione i obecnie występuje w trzech wariantach: Jahnsohn, Jahnsn i Janson. Jest nawet czwarty wariant: Janowski. Ktoś z Rodziny dał się zastraszyć i przyjął polskie nazwisko, które mu bez pytania wpisano do dowodu osobistego. Bałwan, który to zrobił nie był w stanie pojąć, że zacierają ślady asymilacji Niemców, a więc zjawiska, którym Polacy mogliby się chwalić, a nie wstydić się go. Napiszę jeszcze o tym.

2) A. Rosenberg: „Mythus des zwanzigsten Jahrhunderts”. Biblia ideologii hitlerowskiej, obok „Mein Kampf” najważniejsza książka hitlerowskich Niemiec.

3) Polska przedwojenna amunicja była absolutnie doskonała, o wiele lepsza od niemieckiej (sowieckiej nawet nie wspominając), stąd jej eksport do Anglii, gdzie była chętnie kupowana. Może więc tu tkwiła tajemnica aresztowania Artura, od którego okupanci spodziewali się uzyskać szczegóły techniczne i tajemnice produkcji?

4) Nazwiska zmieniłem przez litość.

5) Jeden z licznych wierszyków okupacyjnych, które z trudem usiłuję odnaleźć i zebrać w jakąś całość. Po cichu liczę tu na życzliwość i pomoc P.T. Czytelników „Semper Fidelis”. □

## Samotna ucieczka z Reichu (c.d.) – ostatni



Michał Siera. 1943 r.

W sumie, do Rawy Ruskiej dojechałem późnym wieczorem, dalej oczywiście bardzo głodny. Jak wspominałem już w Rawie Ruskiej noc przespałem koło dworca razem z innymi ludźmi czekającymi na swoje pociągi.

Ja miałem swój do Lwowa następnego dnia po południu, nie pamiętam już o której godzinie. Pamiętam tylko, że cały czas kręciłem się koło dworca, czekając na ten pociąg, od czasu do czasu popijając wodę z pobliskiej studni. Wreszcie dostałem się do mojego upragnionego pociągu. Nie było to łatwe, bo tym razem pociąg był straszliwie przepełniony, ale jakoś (byłem bez bagażu co ułatwiało sprawę) udało mi się wpełznąć do środka. Pociąg jechał do samego Lwowa więc większa część podróżnych to byli handlarze, którzy dowozili ze wsi żywność. Zbliżał się już wieczór, ale jeszcze było względnie widno jak pociąg się zatrzymał na jednej z wielu stacji, która nazywała się Zawada. Nazwę tę zapamiętałem na całe życie chociaż stacja była mała i niczym nie wyróżniająca się. Ludzie, którzy byli przy oknach zaczęli krzyczeć, że pociąg jest obstawiony przez policję i SS. Zrobił się straszny rwetes i krzyk nie do opisania. Niemcy pootwierali drzwi wagonów i wrzeszczeli, że wszyscy mają wysiadać z bagażem. Wszędzie słychać było tylko: „raus”, „raus”. Ludzie powoli zaczęli wysiadać, popędzani przez żandarmów biciem kolbami, kijami i czym popadło. Niektórzy pozamykali się w ubikacjach, ale żandarmi rozbijali drzwi kolbami, wyrzucali tych ludzi bijąc niemiłosiernie, nie zważając na płeć ani wiek. Widziałem jak Niemiec wyrzucił z ubikacji starszą już wieśniaczkę, uderzył ją kijem i popchnął aż ta poleciała do przodu i przewróciła się. Widziałem ludzi pokrwawionych, ledwie na nogach się trzymających. Ja wychodząc z wagonu też dostałem porządnie kijem po plecach. Jak wyszedłem z wagonu spostrzegłem i to pamiętam, że na dworze robi się coraz ciemniej i że łańcuch żandarmów, którzy obstawiali pociąg jakby się rozrzedził. Sądzę, że część z nich zaczęła się zajmować ludźmi, którzy już wysiedli bądź ich wyrzucono z pociągu. Mnie jakoś udawało się lawirować przy pociągu, sam nie wiem jak bo żandarmi jeszcze ciągle wyrzucali z wagonów pojedyncze osoby częściej je biciem i kopniakami. Pamiętam, że w pewnym momencie chciałem ukryć się pod wagonem, ale jak tam wlażłem to szybko doszedłem do wniosku, że grozi to śmiercią jak pociąg ruszy. Idąc znowu przy pociągu zobaczyłem jak przede mną, do następnego wagonu, żandarm podprowadził kolejarza w mundurze z rodziną tj. żoną i dwojgiem małych dzieci. Jak rodzina ta wsiadała do pociągu to żandarm ich odprowadzający szybko się odwrócił i pobił w stronę budynku dworcowego gdzie była zgromadzona masa ludzi. W momencie kiedy kolejarz podawał dzieci żonie, która stała na stopniach wagonu, ja zorientowałem się, że jest to dla mnie jakiś ratunek i zbliżyłem się do niego. On zobaczywszy mnie powiedział: szybko wsiadaj! Ulokowaliśmy się wszyscy błyskawicznie w przedziale,

kobieta posadziła mi na kolana małego, może 5-6 lat, chłopczyka, który siedział spokojnie i nie protestował, a sam kolejarz stanął na korytarzu z dokumentami podróży w ręku i jak się zjawił żandarm, bo jeszcze ciągle sprawdzali wagony czy ktoś się nie ukrył, to ten w dość dobrym niemieckim tłumaczył, że wsiadł na tej stacji za zgodą jakiegoś komendanta i jedzie do pracy we Lwowie. Żandarmi świecąc już latarkami, bo zrobiło się ciemno, sprawdzali jego dokumenty i biegli dalej. Nie wiem jak to wszystko długo trwało, ale chyba długo, aż wreszcie pociąg ruszył. Boże, jaki byłem szczęśliwy. Miałem jeszcze jeden konkretny dowód, że Opatrzność Boska czuwa nade mną w tej ucieczce. Dzisiaj patrząc na to, przy rekonstrukcji tych wydarzeń w myślach i pamięci, to tak naprawdę nie wiem jak mi się to udało. Dla mnie to był cud, bo tak prawdę powiedziawszy to ja właściwie nie wiedziałem wtedy i tym bardziej nie wiem dzisiaj jak to udawało mi się krążyć cały czas przy pociągu, pomiędzy żandarmami. A jak wspominałem musiało to wszystko długo stosunkowo trwać bo pociąg był przepełniony i usunięcie z niego wszystkich ludzi częściowo usiłujących się ukryć pod ławkami w ubikacjach itp. nawet dla sprawnych żandarmów niemieckich nie było sprawą łatwą, wymagało też czasu. Co się stało z tymi wyrzucenymi z pociągu ludźmi do dzisiaj nie wiem. Zazwyczaj w takich sytuacjach hitlerowcy wszystkich legitymowali i kto miał bardzo dobre papiery z pracy (i to ważnej dla nich pracy) to go wypuszczali, ale takich było niewiele. Reszcie zabierali przewożoną żywność, następnie wypuszczali ludzi starych, niezdolnych do pracy i matki z małymi dziećmi. Zdolnych do pracy wywożono do Niemiec, wsadzano do obozów, a czasem brano zakładników. Takie przypadki są na ogół znane ludziom, którzy świadomie przeżyli okres okupacji hitlerowskiej.

W pewnym momencie do naszego przedziału wszedł konduktor i poinformował nas, że tylko my jedziemy w tym pociągu, jednym słowem mamy do dyspozycji cały pociąg. Po wyjściu konduktora żona kolejarza zaczęła obdzielać rodzinę jedzeniem, spojrzała na mnie i poczęstowała mnie kawałkiem ciemnego chleba oraz dwoma pomidorami. Widocznie zbyt łapczywie zabrałem się do jedzenia bo zdążyłem tylko dwa albo trzy razy ugryść i kolejarz od razu zapytał: panie, a kiedy pan ostatnio jadł? Jąkając się wydusiłem z siebie, że przeszło dwie doby nie jadłem nic. Wtedy on odebrał mi pozostałe 1,5 pomidora. To może panu zaszkodzić, lepiej niech pan je sam chleb, a jego żona nałała mi do kubka zimnej herbaty (cieplej nie miała) i dodała jeszcze kawałek chleba. Moje przyznanie się, że tak długo nic nie jadłem wzbudziło ich ciekawość. Zaczęli dość bezceremonialnie dopytywać się co było powodem, że tak długo nie jadłem. Powiedziałem tym dobrym ludziom całą prawdę. Pamiętam, że chcieli mi dać jeszcze jakieś pieniądze, ale ja podziękowałem mówiąc, zgodnie z prawdą, że we Lwowie mam krewnych, którzy na pewno mi pomogą.

Nasz pociąg przyjechał do Lwowa już po godzinie policyjnej. Znowu więc na dworcu musiałem czekać do rana. Tym razem byłem ostrożniejszy i nie spałem na dworcu chociaż byłem bardzo wyczerpany. Przyszło mi to z dużą trudnością, ale jakoś dotrwałem do godziny 6-tej rano i poszedłem na ulicę Lwowskich Dzieci do moich krewnych.

Musiałem wyglądać bardzo źle bo jak mnie zobaczyli to się przerazili chociaż nie wiedzieli, że ja w ogóle byłem w Niemczech.

Oczywiście nakarmili mnie i wreszcie po wielu dniach mogłem się porządnie umyć. Pociąg do Przemyślan (45 km) miałem po południu z dworca tyczakowskiego i do tego czasu spałem w czystym łóżku.

Do Przemyślan dotarłem jak jeszcze było widno, musiałem więc przeczekać u dobrego znajomego z harcerstwa aż się ściemni bo tam już mogłem spotkać kogoś znajomego, na wszelki wypadek wołałem tego uniknąć. Do domu, do Uszkowic (3 km od Przemyślan) poszedłem nie drogą lecz przez pole też żeby nie spotkać kogoś kto mnie znał, a zwłaszcza np. Ukraińca, których tam było sporo.

Już było całkiem ciemno kiedy dotarłem do domu. Też musiałem zachować ostrożność i upewnić się, że w domu nie ma kogoś obcego, przypadkiem.

Matka jak mnie zobaczyła to myślała, że to mój duch, ale szybko się przekonała, że to jednak jestem ja, żywy. Przez dwa miesiące ukrywałem się zamknięty w domu, w jednym pokoju, aż ojciec wyrobił mi papiery na podstawie których mogłem się we Lwowie zameldować, mieszkać,

wyrobić tzw. kennkartę czyli niemiecki dowód tożsamości i rozpocząć pracę w elektrowni miejskiej.

W czasie kiedy ukrywałem się w domu przez te dwa miesiące to dwa razy przychodzili niemieccy i ukraińscy żandarmi, dopytywali się o mnie i nie dość dokładnie zaglądali do pomieszczeń w domu, a ja w tym czasie zdążyłem się ukryć na strychu. Rodzice mówili im, że nie mają żadnych wiadomości co się ze mną dzieje. Później, już jak byłem we Lwowie, to już więcej nie przychodzili do domu.

Trudno opisać jak byłem szczęśliwy, że przestałem być niewolnikiem i jestem wśród swoich. Oprócz pracy w elektrowni mogłem się dalej uczyć.

Tak mniej więcej wyglądał stosunkowo mały fragment okupacyjnego życia młodego chłopca.

Później wiele razy zastanawiałem się jaki ta dramatyczna ucieczka miała wpływ na psychikę i dalsze moje życie. Wydaje mi się, że na pewno miała pozytywny, ale i negatywny też.

W życiu zdarzają się zupełnie nieoczekiwane zdarzenia. Otóż opisaną wyżej freulein Krystę spotkałem po 40 latach, w jednym z krajów arabskich, jako żonę ambasadora byłego NRD. Ale to już zupełnie odrębna historia. □

## Franciszka Grodecka (Kanada)

### Wspomnienia (c.d.)

Było to dnia 13 kwietnia 1940 roku

Jesteśmy na dworcu kolejowym Podzamcze. Kazali wychodzić z ciężarówki, rzeczy ustawiali przy nas, żołnierze z najeżonymi bagnetami na karabinach pilnowali żebyśmy nie zwiali... Skupieni przy sobie trzęśliśmy się z zimna, niewyspania i strachu, dzieci patrzyły na mnie tuląc się, jakby pytały: dlaczego tu jesteśmy, dokąd jedziemy, a oczy zapuchnięte z płaczu. Modliłam się płacząc, bo wspomnienie tego miejsca dławi. Stąd właśnie 12 października 1929 roku wyjeżdżałam z narzeczonym, rodziną i przyjaciółmi, szczęśliwa, wesoła, na ślub nasz do Podkamenia koło Brodów, do klasztoru OO. Dominikanów, na zaproszenie znajomych księży.

12 października 1939 r. minęła 10ta rocznica szczęśliwego pożycia małżeńskiego. W jakże smutnych i beznadziejnych przypadła czasach. Jakże ciężko przeżywać ją musiał mąż w więzieniu, na pewno płakał.

Ścisk, płacz i lamenty. Chorych niesiono na noszach, łóżkach, proszą o wodę. Starych, sparaliżowanych niosą w krzesłach, niektórych ciągną prawie po ziemi... To wszystko było i to mam głęboko w pamięci. Rozpaczłam bardzo po zgonie Rodziców, teraz dziękowałam Bogu, że nie żyją, nie widzą co się z nami dzieje. Zmarli w spokoju, pochowani uczciwie w polskiej ziemi.

Staliśmy bardzo długo, aż załadowali cały długi pociąg. Zaczęto i nas pakować do wagonu. Zostaliśmy wprost siłą wepchani przez żołnierzy, bo nikt nie miał siły, aby wejść na bardzo wysoki stopień. Drzwi z hałasem zaryglowano. Stało się, zamknięci na wieczność. Wartuje przy wagonie „widelczak”. Tak nazwaliśmy żołnierza sowieckiego z karabinem i bagnetem.

W wagonie bydłowym, gdzie nie usunięto nawet nawozu, zaczęliśmy nowe życie, było ciężko, powietrze okropne. Oczyszcziło się podłogę jakimś szmatami. Było nas 40 osób plus bagaże. Same kobiety i dzieci.

Wagon ciemny, dwa małe okienka w górze, pod dachem, wąskie nie dawały światła, ani powietrza. Wkrótce przyzwyczailiśmy się do tego półmroku. Dostałam trochę miejsca na górnej pryczy, tyle, że nóg nie mogłam wyciągnąć. Tu dopiero zorientowałam się co bym zrobiła, gdyby mi ten bolszewik nie spakował trochę pościeli. Błogosławiłam go teraz. W domu powiedział do mnie: „dlaczego nie bierzesz rzeczy, masz małe dzieci, ja też mam”. A ja byłam zupełnie znieczulona na wszystkie perswazje.

Na środku wagonu w podłodze był otwór, to nasza łazienka. I jak tu załatwiać się na oczach dzieci i starszych. Ktoś ofiarował koc, zrobiliśmy zasłonę. Biedni ci, którzy mieli locum na dole.

Zaczęliśmy się wzajemnie zaznajamiać. Z naszej kamienicy była p. Józefa Ilnicka z 4 dzieci, p. K. Bieniaszewska z 2 dzieci, p. Maria Motykiewicz z 2 dzieci. Oprócz tych p. Maria Sokołowska z córką, p. Maria Rudnicka, 80-letnia b. dyr. szkoły, wywieziona za ukrywanie gen. Januszajtisa, p. Zofia Knopińska, właśc. sklepu przy ul. Wałowej, p. Janina Knopp, żona pułkownika, jakaś Ukrainka. Więcej nazwisk nie pamiętam. Zaczęły się pytania, za co, za kogo wywiezieni. A no, do więzień zabrali mężów, synów, ojców, braci, czy siostry, a za ich niepopelnione winy wywieźli całe rodziny.

W tej beznadziejności w niedzielę rano ujrzeliśmy na wzgórzach, tuż przy torze przechodzącego księdza z krzyżem w ręku, błagalnie wyciągał ręce do Nieba. Błogosławił nas na drogę, na nasze wygnanie. Wywarło to na nas przeogromne wrażenie.

Ciągle wierzyliśmy, że się coś stanie, że się ktoś o nas upomni. Łudziliśmy się, że Zachód pamiętać będzie i nie pozwoli na takie bezprawie.

Nadzieje nasze, że może nas jednak zostawią, spełzy. Jedziemy... o Boże drogi... Rozpacz nasza nie do opisania. Z potwornym płaczem śpiewamy Z tej Biednej ziemi...

I tak żegnałam swoje rodzinne, ukochane miasto Lwów na zawsze...

Lwów, Lwów, jak słodko brzmi i jak nam tętni to słowo w krwi, ten tylko poznał wartość twą, kto cię raz żegnał rozstania łzą...

Od dwóch dni nie mieliśmy wody, wołaliśmy o nią na próżno. Pragnienie zaczęło dokuczać. Biedne dzieci błagały o wodę. Niektóre panie miały wino w butelkach. Byli u nich zapewne jacyś uczciwsi enkawudziści, pozwolili zabrać, albo wiedziały one o wywozie wcześniej, mogły się przygotować, ja dowiedziałam się od siostry o godz. 10tej wieczór.

Jechało z nami dwoje niemowląt, chłopcy. Z braku płynów, choćby wody, matki nie miały pokarmu, toteż biedactwa płakały dzień i noc. Jak ja nad tym bolałam patrząc na zrozpaczone matki i głodne dzieci.

Otworzyłam walizkę i ku wielkiej rozpaczycy zobaczyłam, że stoik z marmoladą rozbity, smalec z chleba wypłynął na bieliznę. Ot dola, ani co zjeść, ani w co dzieci przebrać.

Jesteśmy na granicznej stacji Podwołoczyska-Wołoczyska. Pociąg stanął. Jacyś ludzie zwabieni dużym transportem podbiegali do wagonów, wołali krewnych i znajomych, chcieliby coś podać, ale widelczaki nie dopuścili.

Irma patrzyła przez okienko, jakaś kobiecina podała jej woreczek z kaszą gryczaną. Pocziwe serce, na pewno matki.

Wyrzucaliśmy przez okno kartki do rodzin, zawiadamialiśmy o naszym ciężkim położeniu, niektóre doszły adresatów, dzięki naszym rodakom.

Minęliśmy polską granicę, żegnamy Ojczyznę miłą, Matkę naszą, ukochaną ziemię polską szalonym płaczem, wyrywaniem z piersi wygnańczych: Jeszcze Polska nie zginęła... i modlitwą. W pamięci mamy wioski, nasze polskie chaty, kiedy nasza Ojczyzna po stuletniej niewoli dźwigała się do życia. Skromne były jej szaty, ale... jaśniała radością, szła ku lepszej doli, a dziś...

Tu przypomniał mi się urywek z wiersza Marii Konopnickiej pt. „Na Sybir”.

*O Polsko – Ojczyzno ukochana!  
O straszna chwila, straszna godzina!  
Rodząca matka bólu zapomina,  
Ale mnie owej nie zapomnę chwili...*

Nikt, kto tego nie przeżył nie pojmie ogromu gehenny.

Przy każdym postoju pociągu, spaleni gorączką, wołaliśmy o wodę, waląc w deski wagonu, drzwi, jednak na darmo. Dopiero po czterech dniach męki pociąg stanął na małej stacyjce, otworzono drzwi, przy których stał widelczak i zawołał: „dawaj dwa czelawieka za wodoju”. W naszym wagonie nie było mężczyzny, więc starsi chłopcy i panie, zebrali wiadra, butelki, garnki, dzbanki, wszystko co tylko mogło służyć na ten skarb bezcenny i pod wartą poszli. Przynieśli, ach jaka była dobra i cenna, ani kropli nie zmarnowaliśmy, wiemy ile warta. Szczęśliwe karmiące matki i dzieci. Zaczęli nas żywić, budzili w nocy i dawali „sup” z liści kapusty, buraków i sęchłych krup. Dawaliśmy karmiącym matkom i dzieciom, same nie jedząc.

Jakoś ułożyło się nam życie 40 osób, jak jednej rodziny, choć o sobie niewiele wiedzieliśmy, złączył nas koszmar życia. Powietrze okropne, siedzieć trzeba było z podkulonymi nogami i tak spać, zresztą i tak nie spałam. Gdy nadchodził wieczór zapalaliśmy świeczkę w latarce, która chybotwała się u sufitu i przy tym ogarku każdy z nas w ten wąty płomyk spogląda z nadzieją, że może ujrzy dom... Bo o czym można marzyć w takiej groźnej chwili; aby się stąd wydostać, być wolnym. Łojówka zgasła, przepadła nadzieja. A pociąg dudni wciąż i kołami toczy. Wciska się i ogarnia zapłakane oczy, zagubione serca, sen błogosławiony. Wagon pogrąża się w ciszy.

Różne były sceny w wagonie, kłócono się o dostęp do okna. Była pani pułkownikowa, która kategorycznie żądała,

aby jej 12-letnia córka Alina, stała przy oknie. Na prośbę matki 9-cio miesięcznego synka, aby choć na chwilę dziewczynka odeszła od okna, aby choć trochę weszło powietrza do wagonu, odpowiedziała: że on i tak żyć nie będzie. Na to biedna matka z szalonym płaczem odpowiedziała: o, ja wiem, że on żyć nie będzie, bo nie ma na to warunków, umrze z głodu. Ale Pan Bóg sprawiedliwy. Pani ta miała kilka butelek wina, gdy to wypijała, nabierała do nich wody, aby mieć zapas. Robiła to nie patrząc na innych. Jednego razu moja Irma miała temperaturę, błagała mnie o wodę: mamusiu wody... Wody nie dawali tego dnia. Zwracam się do niej z prośbą, odpowiedziała, że nie ma. Ale gdy na drugi dzień przyniesiono wodę wylała starą, by nabrać świeżej. Byli i tacy egoiści.

Dziewięciomiesięczny chłopczyk zmarł na moich rękach w Rosji, a córka tej pani już po wyjeździe z Rosji zmarła na tyfus. Tak się spełniła przepowiednia matek.

P. Sokołowska, żona syndyka miejskiego, którego znałam, miała z sobą 3 olbrzymie kosze i 2 kufry, a widząc, że ja nie mam nic, prosiła, abym się w razie rewizji przyznała do dwóch. Rewizji nie było. Piszę to dlatego, że jednak ludzie przygotowali się na tę podróż.

Po 10-dniowej podróży pociąg zatrzymano w czystym polu i pozwolono nam wyjść na „świeże powietrze”. Cóż, kiedy nóg nie mogłam rozprostować, ledwie mnie panie ściągnęły. Było to zdarzenie wielkiej wagi i rozkosz dla dzieci. Piętnaście minut to zbyt mało, aby się można nacieszyć wolnością i świeżym powietrzem. Kiedy wypuścili nas z klatki to już jakby święto. Bardzo serdecznie zapraszali nas do wagonu: „bistro, bistro... bo strelaju”. Tyraliera w jednej chwili zwinęła się, rozpoczął się bieg do klatki. Do pilnowania transportów mieli specjalnie tresowane psy, o ucieczce nikt nie mógł marzyć, a przy tym było już bardzo daleko od ukochanej Ojczyzny.

Przejeżdżamy przez Ukrainę. Gdy pociąg zwalnia przybiega biedota i nas zesłańców, zamkniętych w wagonie, błagają o suchy kawałek chleba. Kraj ten był kiedyś spichlerzem Europy, dzisiaj żebrze chleba. Trudno w to uwierzyć.

A my? Wciąż nie wiemy dokąd nas wiozą. Słońce pokazuje Wschód daleki, przejechaliśmy Wołgę, wjechali w góry, w pasma Uralu, potem znów przez rzeki.

W drodze spotykaliśmy transporty zesłańców z innej części Polski. Zdarzało się też, że staliśmy tor w tor z drugim pociągiem, rozmawialiśmy, a pytaniom nie było końca.

Nie mieliśmy mapy, orientowaliśmy się po słońcu. Jurek zapisywał mijane stacje.

Jedziemy, ciągle jedziemy. Już noc się kończy, dzień wstaje, ale nie dla nas, bo u nas duszno, ciasno, zapachy podróżne, bo jak i kiedy to, co ludzkie odbywać w zamkniętym wagonie. Ach, żeby już zatrzymali, wodę dali... nie, o Boże! Jedziemy dalej... Zjeżdżamy z jednych torów na drugie, spadamy z nar. A rankiem okrzyk radości po koszmarniej nocy: „dwa czelawieka za wodoju” powrócił nam siły.

Gdy noc zapada, to według zwyczaju budzą nas ze snu, tak o nas pamiętają. Ten sam gatunek zupy, ale smakuje znakomicie, wylizujemy do ostatniej krupeczki. Głód to najlepszy kucharz, byle było dużo, a z czego nikt nie pytał w tej dziwnej podróży.

I tak dojechaliśmy do punktu granicznego. Stał tam wysoki słup granitowy z napisem Europa – Azja. Co się działo w naszych sercach... Czuliśmy się na zawsze już zgubieni w tym dalekim, wrogim świecie.

Góry Uralu. Był to masyw górski o szerokich grzbietach, łagodnych stokach i zalesiony. Tam były obozy niewolnicze, dziesiątki baraków z drzewa, koło nich uwijali się ludzie obszarpani, nędzni, o twarzach zbiedzonych, szarych.

Nam jadącym z Polski nie mogło się pomieścić w głowie, że człowiek może być tak nędzny. U nas nawet w najbardziej wiosecie takiej nędzy nie było. Niedługo przekonaliśmy się na własnej skórze o dobrodziejstwach zachwalanego raj.

I wspomnienie: po aresztowaniu męża Jurek często w domu wpatrzony w atlas właśnie stale zatrzymywał się nad Azją. Jednego razu mówi do mnie: Mamo, chciałbym być w Azji. Zdziwiona odpowiadam: nie ma tam nic godnego uwagi. I znowu: ale dlaczego nie mógłbym tam być? Mówię mu, że jak się będzie dobrze uczył, zdobędzie dobre stanowisko, będzie miał pieniądze, to raczej może pojechać do Australii, obu Ameryk... Jeszcze kilka razy powracał do tego. No i spełniło się marzenie, był w Azji, ale w jakich warunkach...

Wjechaliśmy do centralnej Azji – do Kazachstanu. Kraj szeroki, rozległy. Ludność to Kazachy.

Przejechaliśmy taki kawał świata, a wszędzie widziało się brud i nędzę. O niej ludzie Zachodu nie mają pojęcia.

Podróż nasza trwała 18 przepłakanych nocy i dni. Na wyznaczone nam miejsce zesłania przyjechaliśmy furmankami ze stacji kolejowej Semipałatyńsk dnia 30 kwietnia 1940 r. w południe. Jechaliśmy stepem do Żana Semej na „kypricznyj zawod” Nr 2. Na mieszkanie oddano nam świetlicę w baraku drewnianym. Była to niewielka izba ze sceną. Leżeliśmy na gołej ziemi, ciasno jeden obok drugiego. Było nas 56 osób, bo przyłączyli z innych wagonów.

Na drugi dzień święto 1 maja. Kazano nam wyjść na zabawę na dworze. Niektóre panie wyszły i tańczyły z so-wietami. Dziewczynki ubrały ołtarzyk majowy w baraku, przy którym wieczór modliliśmy się odmawiając litanie i śpiewali wszyscy głośno z płaczem prosząc Matkę Najświętszą o wytrwanie. Przychodziły do nas starsze Rosjanki, a jak się one cieszyły. Niestety zabroniono nam, wobec tego mo-

dliliśmy się cichutko i po ciemku. Nasze miejsce pracy w stepie nad rzeką Irtysz, koło Semipałatyńska. Wyrabiano tu cegły i dachówki (kypricze i czerpice). Było sześć baraków, świetlica, sklep i kantor. Na zawodzie Nr 1 była Janka Dzie-dzic z córkami.

2 maja wszystkie niewiasty wyszły rano do pracy. Nade mną o dziwo zlitował się „zawiedujuszczy” widząc obanda-żowane okno. Pozostałam w baraku, pilnowałam dzieci wszystkich i każdemu posprzątałam. Dzięki Irmie zaleczy-łam nieco oko, na postojach pociągu mogłam dać do oka krople i maść, dzięki Opatrzności nie straciłam oka. Bardzo jeszcze bolało. Nie wolno dźwigać, schylać się, a tu taka ciężka praca.

Z olbrzymiego na 90000 cegieł pieca musiałyśmy „wy-grużać” tj. wynosić gorące jeszcze cegły na powierzchnię i układać w stosy. Nie pamiętam już jaka była norma, ja jej i tak nigdy nie odrobiłam, nie mogłam, toteż nigdy nie otrzy-małam przysługującej mi racji chleba. Inne panie miały większe dzieci więc pomagały. Po przyjeździe z pracy musia-łyśmy stać w ogonku za chlebem. Pomagaliśmy sobie jak tylko można było. Ruscy patrzyli na nas z zawiścią i równo-cześnie z podziwem. Nie mogli się nadziwić, że życzliwie odnosimy się do siebie i pomagamy sobie. U nich było ina-czej. Jeden krył się przed drugim ze wszystkim. Gdy z nami rozmawiali rozglądali się dookoła, czy kto tego nie widzi i nie słyszy. Rodzice bali się własnych dzieci, szczególnie bali się starsi, którzy pamiętali dawne czasy.

Pozwolili nam na korespondencję z rodzinami w Polsce. Płacili nam 3-5 rubli dziennie, a ceny żywności wynosiły:

- 1 litr mleka 2 ruble
- 1 kg ziemniaków 3 ruble
- 1 kg słoniny 35 rubli
- 1 metr drzewa 75 rubli.

Ruscy zarabiali tak samo, toteż rozumieliśmy ich nędzne położenie. Mieliśmy jeszcze ubrania, obuwie z Polski, żyli-śmy nadzieją, że może przetrzymamy kilka miesięcy. Oni jej nie mieli. □

## Józef Dobrowolski

### „Z trembowelskiego raptularza – 1997”

Wspomnienie to dedykuję księdzu prałatowi Januszowi Popławskiemu – „Strażnikowi kościołów wschodnich”, bo wszędzie tam z potwierdzeniem prawdziwości tych słów spotkałem się.

Jest późny wieczór jednego z ostatnich październiko-wych dni, zaczyna drobny deszcz. Trembowla tonie w ciem-nościach. Na jednej z centralnych ulic nieliczni przechodnie z zainteresowaniem spoglądają w stronę wyniosłego budyn-ku z kolumnadą, niektórzy nawet przystają. Gdzieś ze szczytu budowli dobiega wyraźny polski śpiew. Poprzez ciemność i jesienną szarugę na tę była kresową stanicę Rze-czypospolitej wypływają przejmujące żalem słowa: „... gdzie my o Matko, ach gdzie pójdziemy i gdzie ratunku szukać będziemy? Gdyśmy ściśnieni bólu cierniami, Ucieczko grzesznych módl się za nami...”

#### TREMBOWLA POTRZEBUJE POMOCY

Ten nostalgiczny obrazek ukazał się oczom przedstawiciela pilskiej Caritas, który wraz z transportem pomocy humanitarnej 23 października 1997 roku dotarł do tego

podolskiego, niewielkiego miasta nad rzeką Gniezną. Akcję podjęto w odpowiedzi na dramatyczny apel proboszcza pol-skiej parafii Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Trem-bowli o pomoc dla znajdujących się w niezwykle ciężkiej sytuacji życiowej trembowelskich Polaków. Dzięki organiza-cyjnemu wsparciu Caritas parafii św. Stanisława Kostki w Pile z ks. Leonardem Zychem oraz ofiarności pilskiego Ban-ku Odzieży i Sprzętu, a także zwykłych mieszkańców mia-sta, zgromadzono około czterech ton, głównie odzieży, ale również i żywności. Wdzięczność obdarowanych nie miała granic, bo też i głęboką biedę widać tam było na każdym kroku. Celowość przedsięwzięcia okazała się bardzo trafna. Czy jednak tylko jednostronnie zaowocowała darami...?

#### BASTION WIARY I POLSKOŚCI

Z przedwojennej, kilkunastotysięcznej rzeszy polskich mieszkańców Trembowli obecnie pozostało nie więcej jak dwieście osób. To ostatni Mohikanie niegdysiejszej wielko-ści tego grodu. W ogromnej większości skupieni są wokół rzymsko-katolickiego Kościoła. Mówi autor wspomnianego

apelu, 30-letni lwowianin, były ministrant i wychowanek legendarnego ks. Rafała Kiernickiego – ks. Michał Murygin, który do kapłaństwa doszedł przez studia rozpoczęte w Rydze, a ukończone w Lublinie. – Tu parafianie mogą cieszyć się i delektować głośno artykułowanym polskim językiem, którego dotychczas używali wyłącznie w domu. Zachęcam ich: mówcie po polsku, także i na ulicach. Niech wszyscy słyszą, że jeszcze i wciąż tu jesteśmy! Z konieczności, bo nie ma tu żadnego stowarzyszenia polonijnego, kościół traktowany jest również jako centrum oświatowe, kulturalne i narodowo-patriotyczne, a kapłan jako oddelegowany polski konsul. W tym kraju milczenia Kościół musi być i jest uniwersalny. Tutaj polskość znaczy patriotyzm, a patriotyzm to obowiązek, także dbałość o moralne odrodzenie obywateli i społeczeństwa, które przez wiele lat było systematycznie ogałane przez komuny z wszelkich patriotycznych uczuć i wartości. Staram się aby wpojona tym ludziom bierność – z natury antyspołeczna – nie stała się ich winą... O starszych parafian nie obawiam się – zahartowani doświadczeniem mają już absolutny słuch... wiary. Martwi mnie młodsze pokolenie. Na Ukrainie z reguły nie prowadzi się katechizacji dzieci i młodzieży. Ich edukacja religijna kończy się na I Komunii Świętej. Dlatego wbrew i na przekór wszystkim przez jakiś czas nauczałem religii w szkole, dopóki „komuniagom” nie zaczęło to przeszkadzać... Ten problem nie daje mi spać! Przykro, że w tych, ale i innych sprawach, nie mam żadnego wsparcia, nie tylko ze strony Cerkwi prawosławnej, ale i siostrzanej grekokatolickiej. Tak blisko jesteśmy Polski, a tak daleko od Europy! Problemów nie brakuje, staram się robić to, na co tylko człowieka stać, nawet jeszcze trochę więcej...

– Może gdybyśmy tak tej Polski nie kochali, nie byłoby nam teraz tak ciężko – z wyraźnym odcieniem przekory w głosie zwierza się Maria Gruszczyńska, urzędniczka, obecnie gospodyni na plebanii. Jest coś smutnego w tych ludziach, którzy chcą, ażeby przez całe życie wszystko im się udawało. Najprawdopodobniej moje życiowe pięć minut już przeminęło, ale nadal cieszy gdy widzę, że energia i życzliwość księdza Michała zachęca ludzi do działania i dodaje im skrzydeł. W maju byliśmy w Krośnie na spotkaniu z Papieżem i tam Ojciec Święty wyraźnie powiedział, aby ludzie nigdy nie byli bez nadziei i aby inni Boga poznawali przez naszą nadzieję. My o tym nie zapominamy!

– Tu jest zupełnie inaczej aniżeli w lwowskiej metropolii czy nawet w wojewódzkim Tarnopolu. Ogromnie trudno znaleźć pracę, ludzie są biedniejsi i bardziej życiowo zagubieni. Łatwiej poddają się różnym fobiom i nacjonalizmowi. To margines, ale czasem bardzo głośny – wyznaje Wanda Dobrońska, emerytowana nauczycielka. Wypominają nam niekiedy, że obnosimy się ze swą polskością, a Polska podbiła i ciemniżyła te ziemie – ogniem i mieczem. Skoro tacy są obeznani z literaturą i historią, odpowiadam im za twórcą Trylogii, zaczerpniętym z niej cytatem: „Kto nie umie sercem odplacić swemu dobroczyńcy i przyjacielowi, ten chętnie szuka w nim win, ażeby usprawiedliwić swą niewdzięczność”.

#### KAPŁAN I KUSTOSZ

Nasz kościół parafialny pod wezwaniem Świętych Piotra i Pawła, zaprojektowany przez znanego architekta lat międzywojennych – Adolfa Szyszko-Bohusza, zbudowany został w stylu bazylikowym. Frontowy dziedziniec otacza monumentalna kolumnada zwieńczona arkadami – pozostałość



*Kaplica w wieży kościoła w Trembowli*

dawnych krążanków procesyjnych. Wewnątrz świątyni, trzy nawy oddzielone są dwoma rzędami wyniosłych kolumn, z każdej strony po dziesięć. Ołtarz główny usytuowany był pomiędzy czterema kolumnami w środkowej części prezbiterium. Był, bo wraz z prezbiterialnymi kolumnami został wyburzony przez komunistów. Dla zatarcia sakralnego wyglądu obcięto również dwie wieże Bazyliki i włączono weń dom kultury, który wegetuje w niej po dzień dzisiejszy. Przed pięcioma laty udostępniono nam jedną z okaleczonych wież. Urządziliśmy tam wysoko kapliczkę w której pierwszą, uroczystą i do dzisiaj wspomnianą Mszę Świętą odprawił ksiądz Janusz Popławski – objaśnia, oprowadzając po swym wymodlonym i ukochanym skrawku świątyni ksiądz Michał. Pietyzm z jakim dotyka i patrzy na pokazywane elementy wyposażenia kaplicy świadczą, że dla tego kapłana nie są to już tylko przedmioty kultu, to świadkowie historii tego Kościoła i tej ziemi. – To kopia obrazu Matki Bożej Szkaplerznej z Trembowli. Oryginał przed wojną znajdował się w trembowelskim kościele garnizonowym OO. Karmelitów Trzewiczkowych (obecnie zajmowanym przez Cerkiew prawosławną), a po wojnie wywieziony został do Gdańska gdzie znajduje się w kościele św. Katarzyny. Ksiądz Michał, wskazując na niszę okienną i starannie poukładane w niej kawałki cementowej czy gipsowej płyty, kontynuuje objaśnienia. – Jest to rozbita, ale uratowana od całkowitego zniszczenia, tablica fundacyjna tego kościoła. Zaczyna się od słów. „Ten kościół parafialny wystawiony na chwałę Bożą i pożytek dusz w latach 1924-28, konsekrowany w dniu 15 kwietnia 1928 roku...”. Drugą bezcenną pamiątką po przedwojennym wyposażeniu kościoła są cztery



*Kościół parafialny Św. Ap. Piotra i Pawła  
w Trembowli. Józef Dobrowolski*

niezwykłej urody lichtarze. Tylko tyle ocalało! Z prawej strony kaplicy widać obrazy – stacje Drogi Krzyżowej. Pochodzą ze zlikwidowanego kościoła pod Buczaczem. Jest ich dwanaście, bo tylko tyle zdołano odnaleźć u okolicznych mieszkańców. Były w opłakanym stanie (jeden przechowywano nawet w oborze), ale po renowacji we Lwowie wyglądają jak nowe. Większość ustawionych tu figur, ale i wiele, wiele innych obrazów, elementów i fragmentów ołtarzy, nawet ram i pozornych drobiazgów stanowiących wyposażenie okolicznych, zniszczonych świątyń zbieram, zabezpieczam i przechowuję w naszej wieży. Przydadzą się gdy odzyskamy kościół! Niestety, nie mamy w tej sprawie żadnej decyzji... Nie ukrywam, że ogromną nadzieję na odzyskanie kościoła wiążemy z osobą pani marszałek Senatu Rzeczypospolitej. Przy okazji spotkania z Ojcem Świętym w Krośnie, wówczas jeszcze senator, pani Alicja Grześkowiak obiecała nam interwencję w tej sprawie... To chyba jedyna nasza szansa!

Po tygodniu Trembowla otulona została białym puchem, spadł śnieg. Trzeba wracać do domu, a jednocześnie żal opuszczać tych wspaniałych i serdecznych ludzi i tego gościnnego, dzielnego kapłana. Żal, żal, serce płacze, czy cię, przepiękna kraino, jeszcze zobaczę? □

Janina Oparowska

## Gdzie ziemia rodzinna i rodzinny dom

Każdy człowiek przeżywa w swoim życiu różne chwile, które ze sobą nawzajem się przeplatają.

Ale są też chwile szczególnie, które przynoszą radość, budzą żal i tęsknotę, a także przyczyniają się do odżywiania wspomnień i przeżyć, głęboko nieraz ukrytych w pamięci i w sercu.

Takie niezwykłe przeżycia doznali dawni mieszkańcy parafii Nawaria, Hodowica, Sokolniki, Basiówka koło Lwowa – którzy w dniach 25-30 czerwca 1999 r. odbywali pielgrzymkę do ziemi rodzinnej – do Ziemi Lwowskiej.

W piątek 25 czerwca o godz. 18 wszyscy uczestnicy pielgrzymki wzięli udział we Mszy św. celebrowanej przez ks. kanonika Franciszka Rozwoda i ks. prałata Walentego Szałęgę z Jawora w kościele św. Idziego obok Katedry we Wrocławiu. W czasie tej Mszy św. modliliśmy się o szczęśliwą podróż.

Kierownikiem i opiekunem duchowym tej naszej pielgrzymki był ks. prałat Walenty Szałęga.

Wrocław pożegnał nas deszczem i przenikliwym chłodem. Już na początku drogi za Patronkę naszej pielgrzymki obraliśmy Matkę Bożą Pocieszenia z Hodowicy oraz Matkę Bożą Różańcową z Sokolnik. W związku z tym zaraz za Wrocławiem odśpiewaliśmy starą pieśń ku czci Matki Bożej Pocieszenia zaczynającą się od słów: „O Najświętsza Matko Boga wielki z nieba cud”. Następnie ku czci Matki Bożej Różańcowej odmówiliśmy cząstkę różańca.

Podróż trwała całą noc. Ziemia Lwowska powitała nas bezchmurnym niebem i ciepłem słonecznych promieni.

Przed kościołem w Nawarii czekali na nas nasi znajomi i bliscy z poprzednich spotkań w tym miejscu. Powitano nas bardzo serdecznie.

Uściski, pocałunki, radosne zawołania i uśmiechy poprzez lzy towarzyszyły tej wyjątkowej i niepowtarzalnej chwili.

Ale przede wszystkim na pielgrzymów czekały otwarte szeroko drzwi nawaryjskiego kościoła – a w nich skromna, z uśmiechem przyjaznym na twarzy postać franciszkanina – O. Tomasza Ryby, proboszcza tutejszej parafii.



*Fragment kościoła w Nawarii, do którego od 1992 r. corocznie odbywają się pielgrzymki dawnych mieszkańców parafii nawaryjskiej koło Lwowa.*

Weszliśmy wszyscy do świątyni. A tu otoczyła nas wspaniała woń czerwonych róż i białych lilii, którymi były ustrojone ołtarze.

O. Tomasz Ryba powitał nas bardzo serdecznie i życzył nam miłego spędzenia tych kilku dni na ziemi rodzinnej.

Następnie ks. prałat Walenty Szałęga odprawił dziękczynną Mszę św. w czasie której dziękowaliśmy Panu Bogu za szczęśliwie przebytą podróż.

Po Mszy św. uczestnicy pielgrzymki zostali zaproszeni na kwatery do swoich bliskich i znajomych.

Niedziela – 27 czerwca – została przeznaczona na odwiedzić okolicznych miejscowości. Było to ważne wydarzenie dla większości uczestników tej pielgrzymki. Mogli bowiem odwiedzić swoje rodzinne miejsca – niektórzy po raz pierwszy od 1946 roku.

Zwiedziliśmy kolejno następujące miejscowości: Sokolniki, Hodowica, Basiówka, Obroszyn, Glinna, Pustomyty i Siemianówka.

W czasie przejazdu autokarem przez Sokolniki p. Mikołaj Gołębiewicz – dawny ich mieszkaniec – przypominał kto i gdzie kiedyś mieszkał, gdy mijaliśmy poszczególne domy i gospodarstwa. Z zainteresowaniem wsłuchiwano się w jego wspomnienia i uzupełniano je własnymi przeżyciami z dawnych, przeżytych tutaj lat, przeważnie dziecińczych.

W Sokolnikach zatrzymaliśmy się przed kościołem, który obecnie pełni funkcję cerkwi grekokatolickiej. Kościół był otwarty, w środku znajdował się kapłan – proboszcz tej parafii. Nieśmiało wchodziliśmy do tej świątyni. Ale ów duchowny z życzliwym uśmiechem zaprosił nas blisko ołtarza, nawet pozwolił nam obejść go naokoło, co uczyniliśmy z chęcią i w modlitewnym skupieniu. Ta świątynia w Sokolnikach budzi niesamowite wrażenie. Jest piękna poprzez oryginalne ozdoby, złocenia i specyficzny kresowy wystrój. To spotkanie w sokolnickiej świątyni upamiętniliśmy wspólną fotografią.

Wychodziliśmy z tego kościoła podbudowani i uspokojeni, że oto miejsce poświęcone Bogu – mimo różnych kolei losu – przetrwało i tak imponująco się reprezentuje.

W Hodowicy ze smutkiem i żalem przyglądaliśmy się niszczącym murom dawnego parafialnego kościoła. Zagląaliśmy do środka poprzez szpary w zamkniętych prymitywnie na kłódkę drzwiach. Wnętrze tego kościoła porośnięte różnego rodzaju wysokimi chwastami budziło przygnębienie i przerażenie.

Nieco dalej od kościoła stoi niewzruszenie figura Matki Boskiej, ta sama, jak za dawnych lat. Różne kwitnące rośliny wokół tej figury świadczą o tym, że mieszkańcy dbają o jej otoczenie.

Grupa pielgrzymów otoczyła figurę Matki Boskiej. Ktoś zaintonował pieśń: „O Maryjo, czemu biegiesz w niebo”. Inni podchwycili słowa i melodię i zaśpiewali tą pieśń tak, jak kiedyś śpiewano ją w dniu 15 sierpnia – wtedy, gdy odbywał się w Hodowicy odpust ku czci Matki Bożej Pocieszenia.

W Basiówce przejeżdżaliśmy obok miejsca, gdzie stał pomnik upamiętniający pobyt Marszałka Józefa Piłsudskiego w tej miejscowości w czasie obrony Lwowa w 1918 r. Niestety, po tym pomniku pozostało jedynie puste miejsce. W Basiówce podziwialiśmy cerkiew wybudowaną w ciągu ostatnich kilku lat.

W Obroszynie zatrzymaliśmy się przy dawnym kościele pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża św. Wspominaliśmy odpust, który odbywał się w Obroszynie 14 września. Ktoś przypomniał, że jego dziadek na odpuscie w Obroszynie zawsze kupował gruszki i śliwki.

Z Obroszyna pojechaliśmy przez Glinę, Pustomyty aż do Siemianówki. W Siemianówce odwiedziliśmy kościół rzymskokatolicki, który jest pierwszą świątynią oddaną Polakom do użytku na tym terenie. Ten kościół także był bardzo zniszczony, ale został wyremontowany i obecnie jest bardzo ładnie utrzymaną świątynią.

Wszystkie te miejscowości, które odwiedziliśmy zupełnie zmieniły swój wygląd. Nowe domy, nowe drogi przyczyniły się do tego, że prawie wszystkie wioski i osiedla powiększyły swój zasięg.

Po tej autokarowej wycieczce po najbliższej okolicy pełni wrażeń wróciliśmy do Nawarii.

Tu o godz. 15 w kościele odbyła się uroczysta Eucharystia celebrowana przez ks. proboszcza – O. Tomasza Rybę oraz ks. prałata Walentego Szalęgę. W tej Eucharystii uczestniczyli – my – pielgrzymi z Polski oraz tutejsi mieszkańcy – Polacy i Ukraińcy.

To wspólne w tym uroczystym nabożeństwie uczestnictwo i w tym kościele w Nawarii stanowiło niezaprzeczalny znak tak

bardzo dziś potrzebnego pojednania. I to było takie dziwnie swojskie i bardzo wymowne.

Następne dwa dni spędziliśmy we Lwowie. W czasie zwiedzania tego pięknego, pełnego zabytkowych obiektów miasta, każdy pragnął odnaleźć tutaj coś, co kiedyś było mu bliskie i znane. Jakaś ulica, którą kiedyś chodził, jakiś dom, szkoła, sklep czy jakiś inny obiekt, który pozostał w pamięci – to wszystko było powodem wzruszeń, wspomnień i drżenia serca.

Pod przewodnictwem p. Teresy Pakosz – lwowianki – podziwialiśmy zabytkowe kamienice i świątynie, posiadające własną, niekiedy dość osobliwą i frapującą historię, a które tak mocno tkwią w samym sercu tego wspaniałego miasta. Niezmiennie stojące dwa kamienne lwy przy Ratuszu na Starym Rynku stały się tłem do robienia zdjęć przez zwiedzających. Chodziliśmy po najpiękniejszej ulicy Lwowa, obok pomnika Adama Mickiewicza – a wieszcz dumnie i z powagą spoglądał na tłumy przechodniów – jak za dawnych lat.

Z Wysokiego Zamku zachwycaliśmy się niepowtarzalną panoramą miasta. Przed nami roztaczał się wspaniały widok: wieże kościołów, kopuły cerkiew i innych świątyń, dachy różnych gmachów, ulice biegnące wzdłuż i wszerz, zielen parków i ogrodów. Zauroczył nas niezwykle obraz miasta oglądanego ze wzgórza o historycznym znaczeniu. Zostało to wzgórze usypane – jako Kopiec Unii Lubelskiej – przez mieszkańców Lwowa w trzechsetną rocznicę ustanowienia Unii.

Z Wysokiego Zamku udaliśmy się na Cmentarz Łyczakowski. Przed bramą Cmentarza lwowskie kwiatarki zachęcały do kupowania kwiatów. Oczywiście kupiliśmy od nich róże, blawatki, margerytki i położyliśmy je na grobach Marii Konopnickiej, Gabrieli Zapolskiej oraz innych znanych i zasłużonych Polaków tu spoczywających.

Podziwialiśmy nagrobki o wyjątkowej architekturze, które mimo upływu czasu i braku konserwacji zachowały swoje niepowtarzalne piękno. Ze wruszeniem i zadumą wczytywaliśmy się w epitafia i nagrobkową poezję – pełne refleksji, smutku i żalu.

Na Cmentarzu Orłąt Lwowskich z wyrazami pamięci i głębokiej czci dla bohaterów poległych w obronie Lwowa pochyliłiśmy głowy i pomodliliśmy się za ich dusze. Zawsze budzi wzruszenie i podziw młody wiek tych, którzy oddali swoje życie dla sprawy ojczyzny i jej wolności. W Kaplicy Orłąt dokonaliśmy wpisu do księgi pamiątkowej i zaśpiewaliśmy hymn „Boże coś Polskę”.

Park Stryjski zachwyił wszystkich urodą rzadkich okazów drzew i krzewów, szczególnym usytuowaniem romantycznego stawu, a na nim pływające białe łabędzie. Tu odpoczęliśmy w cieniu starych dębów, jesionów i buków po kilkugodzinnej wędrówce po Lwowie.

Woda ze źródła miłości orzeźwiła spragnionych i zmęczonych upałem, ponieważ w tym dniu dopisała piękna, prawdziwie letnia pogoda.

Środa – 30 czerwca – to był ostatni dzień naszego pobytu w Nawarii. O godz. 9 uczestniczyliśmy w nabożeństwie pożegnalnym w kościele nawaryjskim. Tu została odprawiona Msza św. celebrowana przez proboszcza tej parafii – o. Tomasza Rybę i naszego opiekuna ks. prałata Walentego Szalęgę. W tym dniu dziękowaliśmy Panu Bogu za nasz pobyt w rodzinnych stronach oraz prosiłiśmy o szczęśliwą drogę powrotną do kraju.

Po nabożeństwie zgodnie z dotychczasową już tradycją udaliśmy się do nawaryjskiej cerkwi grekokatolickiej.

Tu odbyło się spotkanie – nas przybyłych z Polski oraz tutejszych mieszkańców – Polaków i Ukraińców. W tym spotkaniu wzięli udział także księża: proboszcz kościoła w Nawarii, proboszcz cerkwi grekokatolickiej oraz opiekun naszej pielgrzymki.



Każdy z obecnych na tym spotkaniu kapłanów przekazał nam wiele cennych pouczeń, które wpływały na umocnienie wiary – nas dawnych mieszkańców Nawarii i okolic oraz tutejszych Polaków i Ukraińców.

Pieśnią „My chcemy Boga” zaśpiewaną po polsku i po ukraińsku zakończyliśmy to spotkanie. Z cerkwi udaliśmy się na cmentarz. Jak zawsze tak i tym razem skupiliśmy się wokół grobowca ks. Gabriela Trzebnickiego – śp. długoletniego proboszcza parafii nawaryjskiej. W serdecznych słowach ks. prałat Walenty Szalęga przypomniał postać tego zasłużonego dla parafii nawaryjskiej kapłana.

Pamięć o zmarłych spoczywających na tym dawnym parafialnym cmentarzu uczciliśmy wspólną modlitwą oraz odśpiewaniem „Anioł Pański”.

Pożegnanie z mieszkańcami Nawarii było bardzo wzruszające. Szczególnie ich prośby wyrażone słowami:

„przyjeżdżajcie do nas – nie zapominajcie o nas – jesteście nam potrzebni” – zapadły nam głęboko w serca i w pamięć.

Już w autokarze, gdy wszyscy pielgrzymi zajęli swoje miejsca, na pożegnanie z rodzinną ziemią – Ziemią Lwowską – zostały odczytane dwa wiersze autorstwa Janiny Oparowskiej

pt. „Wędrowanie po tamtej Ziemi” i „Pożegnanie”. Recytacja tego wiersza przez p. Ziutę Machalską wywołała u słuchaczy głębokie wzruszenie aż do łez.

Szczególnie słowa wiersza „Pożegnanie”:

*„Chciałabym zabrać stąd ze sobą  
błękit tego nieba –  
świergot tutejszych ptaków,  
kresowy powiew wiatru,  
upajający zapach pól i lasów,  
mgłę znad doliny  
i ten obłok biały  
przepływający na horyzoncie...  
Ale zabieram ze sobą obraz  
tej wspaniałej, przepięknej Ziemi Lwowskiej  
w oczach, w pamięci i w sercu...”  
wzbudziły przejmujące wrażenia.*

Z pieśnią „Kto się w opiekę podda Panu swemu” opuściliśmy Nawarię, Lwów oraz wszystkie miejsca, które na zawsze pozostaną dla nas bliskie i drogie.

A w drodze powrotnej do Polski długo towarzyszył nam zapach tamtej ziemi oraz woń czerwonych róż i białych lilii z nawaryjskiego kościoła. □

Prof. dr hab. Andrzej Kola

## Prace archeologiczno-ekshumacyjne na Cmentarzu Obrońców Lwowa w latach 1997-1998

(Przedruk z „Przeszłość i Pamięć” nr 4 (9) 1998)

Prace zostały przeprowadzone w 1997 i 1998 r. przez grupę polskich specjalistów na zlecenie Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie. Ich podjęcie było wynikiem negocjacji prowadzonych od kilku lat przez Polskę z władzami Lwowa w sprawie odbudowy tej nekropolii, zniszczonej prawie całkowicie w latach 70. i 80. i przekształconej w znacznej części w komunalny zakład produkcji pomników nagrobnych, w części natomiast pokrytej nadkładem gruzu i ziemi z pobliskiej budowy (Dom Pioniera). Ponadto przez fragment tzw. „pokojoyej” części cmentarza przeprowadzono w latach 70. asfaltową drogę jako obwodnicę Cmentarza Łyczakowskiego, skracającą przejazd z dzielnicy Górny Łyczaków w rejon ul. Pohulanki. Spowodowało to zniszczenie mogił w tej części cmentarza na przestrzeni prawie 50 m w pasie o szerokości około 8 m. W tym też czasie na skraju części „pokojoyej” wzniesiono ceglany mur dzielący dawny Cmentarz Orłąt na dwie części. Dawna część „pokojoya” cmentarza z pochówkami obrońców Lwowa zmarłych śmiercią naturalną w latach międzywojennych (1922-1939) wraz ze wspomnianą drogą znalazły się poza wydzieloną w ten sposób dawną częścią „wojenną”, przekształconą wówczas w swej partii północnej (katakumby i ich rejon) w zakład produkcji betonowych pomników nagrobnych.

Decyzja o odbudowie przez Polskę Cmentarza Obrońców Lwowa dotyczyła jego części pierwotnej tzw. „wojennej”, z fragmentem jedynie części „pokojoyej” sięgającej do zbudowanej w latach 70. drogi. Odbudowany w takim kształcie cmentarz oddzielony miał zostać od pozostałej swej części, tuż przy wspomnianej drodze, nowym murem. W ten sposób pewna liczba grobów z dawnej części „pokojoyej” cmenta-

rza miała znaleźć się w obrębie nowego zasięgu tej nekropolii. Natomiast większość pozostałych grobów z części „pokojoyej”, po ich wyekshumowaniu, postanowiono przenieść w rejon odbudowanej już na początku lat 90. przez działającą we Lwowie polską firmę „Energopol” kaplicy, znajdującej się w przeznaczony do pełnej odbudowy części „wojennej” cmentarza. Kwestią nie wyjaśnioną była sprawa ewentualnych grobów zalegających pod drogą. Nie było wiadome, czy w momencie budowy drogi w latach 70. znajdujące się w jej zasięgu pochówki zostały zachowane, czy zniszczone. Wątpliwości te miały swoje uzasadnienie w znacznym wcięciu drogi w teren cmentarza, szczególnie w jej dolnej partii południowej. Wyjaśnić to miały zaproponowane przez Andrzeja Przewoźnika sondażowe badania archeologiczne, które miały w tym miejscu wyprzedzić ewentualne prace ekshumacyjne. Dodać należy, iż według planu cmentarza z 1939 r. w obrębie biegnącej przez Cmentarz Orłąt drogi powinno znajdować się około 70-80 grobów.

Wstępny program zasięgu ekshumacji grobów z części cmentarza przeznaczony do likwidacji, łącznie z propozycją lokalizacji nowych kwater dla ich pochówków, przedstawiła Rada OPWiM (autor: inż. arch. Jarosław Skrzypczyk). Program ten, po pewnych korektach uzgodnionych ze stroną ukraińską, przyjęty został do realizacji. W myśl ustaleń, w których zakres przestrzenny obszaru przeznaczony do likwidacji określano na przedwojennych planach cmentarza (głównie najbardziej aktualnego z 1939 r.), ekshumacji należało poddać około 400 grobów, tyle ich bowiem w świetle dostępnych w momencie podejmowania ekshumacji danych archiwalnych było na tym obszarze. Po przybyciu do Lwowa polskiej ekspedycji archeologiczno-ekshumacyjnej, już w



*Trumny z tabliczkami identyfikacyjnymi  
po ekshumacji*

pierwszym sezonie prac dokonano archeologicznej i archiwalnej weryfikacji tej liczby grobów, zmniejszając ją szacunkowo do około 300. Okazało się bowiem, iż niektóre z występujących na planie cmentarza z 1939 r. kwatery nie były wypełnione pochówkami.

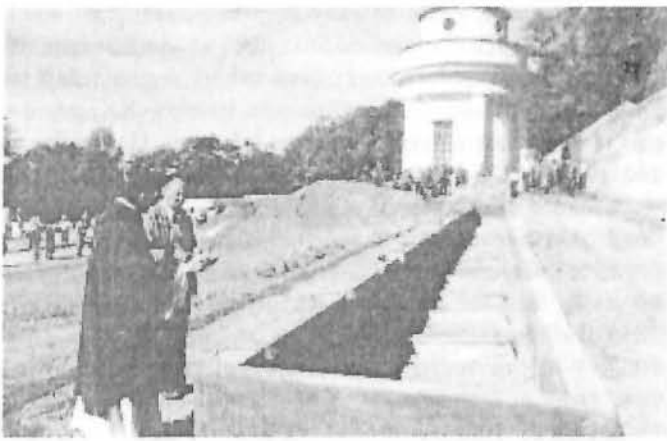
Realizacja zadania obejmowała więc w pierwszej kolejności przeprowadzenie archeologicznej lokalizacji grobów, których naziemne mogiły zostały zniszczone (bądź niezupełnie precyzyjnie odtworzone) w latach 1992-1993 w trakcie społecznych działań ratowania Cmentarza. Prace te wyprzedzały właściwe czynności ekshumacyjne, połączone z równocześnie prowadzonymi badaniami archeologicznymi, antropologicznymi i ekspertyzą PCK. W programie zadania powierzonego ekspedycji znalazł się też obowiązek pogrzebania wyekshumowanych szczątków w nowych kwaterach przygotowanych przez realizatora odbudowy Cmentarza, wyłonionego w ramach konkursu dopiero w 1998 r. (został nim „Energopol”). Kierownictwo ekspedycji powierzono autorowi niniejszego sprawozdania, umożliwiając mu dobór specjalistów nieodzownych dla sprawnej realizacji zadania. W pracach tych w różnych okresach uczestniczyli specjaliści, głównie z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, z których większość legitymowała się doświadczeniem badawczym w ramach ekspedycji katyńskich (Charków, Miednoje). Były to następujące osoby: prof. dr hab. Andrzej Kola – archeolog (kierownik ekspedycji), mgr Mieczysław Góra – archeolog (z-ca kierownika ekspedycji), dr Andrzej Florowski – antropolog, mgr Beata Iwaniuk – antropolog, mgr Wiesława Matuszewska-Kola – archeolog, dokumentalista, konserwator, eksplorator, mgr Eugeniusz Taradajko – ekspert PCK, mgr Robert Kola – geodeta, geomorfolog, fotograf oraz pracownicy pomocniczy – Beata Kwiatkowska (studentka archeologii, eksplorator), Ewa Góra (studentka medycyny, eksplorator), Zbigniew Wieczorkowski (student archeologii, eksplorator), Dominika Siemińska (studentka archeologii, eksplorator), Krzysztof Rybka (student archeologii, konserwator, eksplorator), Roman Dąbrowski i Leszek Kieszkowski (kierowcy). Do prac fizycznych zatrudniano osoby miejscowe, głównie Polaków ze Lwowa.

Całość prac archeologiczno-ekshumacyjnych na Cmentarzu Orłąt, zgodnie z porozumieniem ROPWiM ze stroną ukraińską, postanowiono zrealizować w ciągu dwóch sezonów badawczych w l. 1997-1998. Sezon pierwszy podzielono na dwa etapy, z których wstępny (11-16 VIII 1997 r.) obejmował rozpoznawcze prace rekonesansowe o charakte-

rze wyłącznie archeologicznym, drugi – prace archeologiczno-ekshumacyjne (24 VIII – 28 IX 1997 r., przy czym wobec wcześniejszego braku formalnej zgody władz Lwowa ekshumacje rozpoczęto dopiero w dniu 1 IX, poświęcając kilka pierwszych dni na techniczne ich przygotowanie). W sezonie 1998 r. prace archeologiczno-ekshumacyjne prowadzono w okresie od 13 VII do 20 IX oraz kontynuowano – ze względu na wynikłą konieczność dodatkowych ekshumacji – od 12 do 17 X. Równocześnie z pracami prowadzonymi na cmentarzu, członkowie ekspedycji uzupełniali źródła dla brakujących lub niepełnych biogramów ekshumowanych osób w Lwowskim Archiwum Państwowym, weryfikując zarazem w tym zakresie posiadane dane źródłowe (głównie z literatury). Efektem tych prac było również powstanie obfitej dokumentacji, zarówno o charakterze sprawozdawczym, jak i naukowym, sukcesywnie przekazywanej do Rady OPWiM.

Już archeologiczne prace rekonesansowe przeprowadzone na cmentarzu w 1997 r. wyjaśniły kwestię występowania pochówków pod drogą. W dokonanych wówczas kilku archeologicznych sondażach wiertniczych potwierdzono zachowanie w niezniszczonych układach większości dolnych partii wykopów grobowych z pochówkami zalegającymi od 60 do około 150 cm pod powierzchnią jezdni. Potwierdziły to również wykonane wówczas sondaże wąskoprzestrzenne zlokalizowane bezpośrednio przy jezdni drogi. Jak wynikało z analizy konfiguracji rejonu cmentarza przeznaczonego do likwidacji, zniszczone mogły zostać jedynie groby w kwaterach XX, XXIX i XXX. Jednakże w świetle będących wówczas w dyspozycji ekspedycji danych archiwalnych, kwatery XXIX i XXX (podobnie jak i część kwatery XX) nie były wypełnione pochówkami, tak więc można było oczekiwać zniszczeń grobów jedynie w położonej najbardziej na południe kwaterze XX, gdzie droga została najbardziej wcięta w grunt cmentarza. Całkowite zniszczenia płycej zalegających pochówków w grobach tej kwatery potwierdziły późniejsze ekshumacje.

Lokalizacje kwater i grobów ustalano na podstawie zachowanych jeszcze na powierzchni w układzie pierwotnym niektórych nagrobków (mocno z reguły zniszczonych), a także na podstawie odtworzonych w l. 1995-1996 części mogił ziemnych. Niestety, nie zawsze wiernie zaznaczały one miejsce pochówku. Dane te korelowano z mapą cmentarza z 1939 r. Do poziomu szczątków ludzkich spoczywających w grobach dochodzono w ramach dużych wykopów, z których każdy obejmował rząd grobów poszczególnych kwater. Ekshumacje przeprowadzono w ramach 36 takich wykopów o długościach dochodzących do 32 m i przeciętnych szerokościach 2,5-3 m. Z reguły pochówki przeznaczone do ekshumacji występowały na głębokościach około 2 m. Dlatego też, ze względu na duże masy ziemi konieczne do wyeksplorowania dla dojścia do poziomu pochówków, wykopy te do głębokości około 1,5-1,6 m eksplorowano przy użyciu koparki, a dopiero od tej głębokości ręcznie. Prace wykonywane łopatami rozpoczynano tu od wypreparowania dna, na powierzchni którego, na naturalnej strukturze gruntu macierzystego (tj. na archeologicznym calcu), zaznaczały się wyraźnie wkopy grobowe. Dopiero od tego momentu dalszą eksplorację kontynuowano jedynie w pasach między grobami, dochodząc do głębokości około 2 m, tj. do poziomu dna poszczególnych grobów. Wkopy te z reguły realizowane były szerokością odpowiadającą odległościom pomiędzy sąsiadującymi w rzędach kwater wkopami grobów,



*Powtórny pochówek*

tj. około 70-90 cm. W ten sposób relikty trumien zawierających pochówki były przewyższone w stosunku do tych wykopów, co zdecydowanie ułatwiało odstawianie szczątków. W praktyce antropologicznej taka metoda eksploracji grobów szkieletowych określana jest niekiedy mianem metody katafalku. Łącznie dla przeprowadzenia ekshumacji wykopano około 2200 m<sup>3</sup> ziemi. Struktura eksplorowanego gruntu w tej części cmentarza składała się z mało przesiąkliwego, glinastego ilu, który podczas deszczów przekształcał się w strukturę błotnistą, uniemożliwiającą ekshumację. Na szczęście oba letnie sezony ekshumacji nie obfitowały w deszcze, stąd nie odnotowano specjalnych przerw w pracach z tego powodu.

W pierwszym roku prac ekspedycji wyekshumowano łącznie 121 grobów, z których szczątki ludzkie, przeważnie całkowicie zeszkielecone, po dokonaniu odpowiednich badań antropologicznych, archeologicznych (analiza wyposażenia grobów) i ekspertyzy PCK, w zapieczętowanych workach foliowych umieszczano w specjalnie zakupionych we Lwowie drewnianych trumnach (o długości 1 m). Jedynie w przypadkach szczątków jeszcze niezupełnie zaszkieleconych (takie występowały w szczelnych trumnach cynkowych lub trumnach podwójnych – drewnianych i cynkowych) nie prowadzono analizy antropologicznej, a zwłoki w ich pełnym, zastałym w trumnach układzie, przenoszono do pełnowymiarowej trumny drewnianej. Ekshumacji poddano wszystkie groby w kwaterach XX-XXIV, położone na wschód od drogi. W ten sposób uzyskano obszar wolny od grobów, przez który w roku następnym zamierzano zbudować obwodnicę. Był to warunek postawiony stronie polskiej przez władze Lwowa dla umożliwienia zdjęcia nawierzchni drogi na odcinku kwater XX-XXIV i dokonania ekshumacji spoczywających pod drogą pochówków. Ponadto w pierwszym roku prac przeprowadzono pełną ekshumację grobów kwatery XXVIII, stwierdzając niewypełnienie pochówkami oznaczonymi na planie z 1939 r. miejsc dla grobów nr 2220-2225. We wszystkich (poza jednym) wypadkach ekshumowane szczątki pochodziły z grobów ziemnych. Wyjątkiem był tu grobowiec, niewidoczny na powierzchni (kwatery XXVIII, nr grobu 2242 – Jan Gwałbert Ziembicki), którego ekshumację przeprowadzono w obecności przedstawicieli rodziny. Wszystkie trumny z wyekshumowanymi szczątkami po zakończeniu prac zostały złożone w specjalnie przygotowanym pomieszczeniu w rejonie katakumb (w istniejącym jeszcze, ale przeznaczonym do wyburzenia garażu dawnych zakładów kamieniarskich). Odpowiednio zabezpieczone, miały być tu przechowywane do roku następnego, kiedy

to przewidziano ich powtórny pogrzeb (po dokończeniu całej ekshumacji).

W drugim sezonie prac ekshumacje kontynuowano według zasad przyjętych w roku poprzednim. Łącznie wyekshumowano 186 grobów, w tym 14 ze zniszczonych i sprofanowanych dwóch katakumb (nr VI i VII). Poza katakumbami ekshumacje objęły teraz groby w kwaterach XXVI i XXVII oraz spod drogi i przebiegającego obok niej chodnika w kwaterach XX-XXIV, a także – z tych samych kwater – po kilka grobów zlokalizowanych na zachód od chodnika. Granicę ekshumacji w tej części (po zachodniej stronie drogi) stanowiła linia przebiegu nowo projektowanego muru cmentarza, który ma wyznaczyć zasięg zachowanej granicy Cmentarza Obrońców Lwowa od strony wschodniej. Wiążącą decyzję w tym względzie podjęto już po wyjeździe ekspedycji do kraju, stąd też nastąpiła konieczność ponownego przyjazdu części ekspedycji w dniach 11-17 X i dokonania ekshumacji jeszcze 9 grobów. Przyjazd ten był zresztą i tak planowany ze względu na obowiązek dokonania pochówku trzeciej, ostatniej partii wyekshumowanych szczątków do sukcesywnie przygotowywanych przez „Energopol” nowych kwater A i B, nie gotowych w momencie zakończenia ekshumacji w pierwotnie planowanym zakresie. Pogrzeb ten, połączony z mszą św. odprawioną w kaplicy cmentarnej w obecności pracowników „Energopolu”, członków ekspedycji ekshumacyjnej i lwowskich Polaków, odbył się 15 X 1998 r. Dwa pierwsze pogrzeby odbyły się wcześniej – w dniach 9 i 17 IX.

Również i w drugim sezonie ekshumacji zdecydowanie przeważały groby ziemne, a w nich pochówki w drewnianych trumnach, z reguły bardzo słabo zachowanych, w których szczątki ludzkie zastano mocno zeszkielecone. W części jednak grobów zmarłych chowano w trumnach wykonanych z blachy cynkowej lub trumnach podwójnych – cynkowej i drewnianej. W przypadku gdy trumny te (szczególnie podwójne) utrzymały do chwili obecnej dostateczną szczelność, spoczywające w nich szczątki nie uległy pełnemu zeszkieleczeniu i z tego względu umieszczono je w całości w nowych trumnach dużych (nie przeprowadzając na szczątkach kostnych, jak i podobnych przypadkach w roku ubiegłym, pomiarów antropologicznych). Szczątki zeszkielecone natomiast poddawano rutynowym analizom antropologicznym, archeologicznym i ekspertyzie PCK, umieszczając je następnie w nowych trumnach.

Łącznie w ciągu dwóch sezonów prac ekspedycji, zgodnie z oznakowaniem kwater i grobów na mapie Cmentarza Obrońców Lwowa z 1939 r., zamierzano poddać ekshumacji 387 grobów, które znalazły się w strefie cmentarza przeznaczonego do likwidacji. Jak już wspomniano, część figurujących na mapie grobów – co stwierdzono w niektórych wykopach ekshumacyjnych – nie została wypełniona pochówkami. W większości te puste, nie wypełnione pochówkami miejsca w poszczególnych kwaterach odpowiadają brakiem nazwisk, które powinny być przypisane tym grobom w indeksie nazwisk do wspomnianej mapy z 1939 r. (zob. Przewodnik po Cmentarzu Obrońców Lwowa, staraniem i nakładem Straży Mogił Polskich Bohaterów we Lwowie w dwudziestą rocznicę powstania Towarzystwa, Lwów 1939). Ogółem w ekshumowanej części cmentarza stwierdzono 76 numerowanych grobów, w których nigdy nie umieszczono pochówków. Są to groby: kwatera XX, nr 1857-1867 (11); kwatera XXVI, nr 2123 (1); kwatera XXVII, nr 2156 i 2158 (2); kwatera XXVIII, nr 2220-2225 (6); kwatera XXIX,



*Nowe kwatery*

nr 2249-2283 (36) oraz kwatera XXX, nr 2293-2312 (20). Tak więc ekshumacji w likwidowanej strefie cmentarza poddano w rezultacie tylko 293 groby oraz dodatkowo 14 grobów ze sprofanowanych i zniszczonych katakumb VI i VII. Ponadto jak się okazało, w siedmiu czytelnie rysujących się wykopach grobowych podczas prowadzonej przez nas ekshumacji nie natrafiono już na szczątki ludzkie, aczkolwiek występowały w nich szczątki drewnianych trumien. W grobach tych ekshumację przeprowadzono więc już w bliżej nieokreślonej przeszłości i obecnie były to już groby puste. Są to groby: nr 1871 w kwaterze XX (Władysław Gerard Ślęczkowski-Pobój); nr 1911 w kwaterze XXI (Władysław Ziembicki); nr 1951 w kwaterze XXII (NN); nr 2000 w kwaterze XXIII (Stanisław Muhler); nr 2045 w kwaterze XXIV (Henryk Jaksmanicki) i nr 2290 w kwaterze XXIX (Władysław Garbicz).

Jak już zasygnalizowano, większość ekshumowanych grobów (291) zawierała szczątki ludzkie zeszkieletowe, które po przeprowadzeniu programowych badań umieszczono w małych trumnach drewnianych z przeznaczeniem do powtórnego pochówku. Z tak zachowanych szczątków 227 pochodziło z grobów kwater likwidowanej części cmentarza, natomiast 14 z katakumb. Do dużych trumien (16 szt.) przeniesiono ekshumowane szczątki nie w pełni zeszkieletowe, głównie pochodzące z pierwotnych trumien metalowych (cynkowych) – 43 w ekshumowanych grobach.

Umieszczenie zwłok w podwójnych trumnach, metalowych i drewnianych, a więc bardziej szczelnych, w znacznej części wynikało – jak można sądzić z przekazów archiwalnych – z faktu przeniesienia ich już w okresie międzywojennym z innego miejsca pierwotnego pochówku (w wyniku ekshumacji) lub przewiezienia zwłok z miejsca zgonu do Lwowa dla pogrzebania ich na Cmentarzu Orłąt.

Stwierdzenie w wyniku archeologicznych prac rekonesansowych przeprowadzonych w 1997 r. występowania pochówków pod drogą spowodowało podjęcie decyzji o ich ekshumacji. Ekshumacje zachowanych grobów w tej strefie przeprowadzono w 1998 r. po uprzednim zdjęciu asfaltowej nawierzchni i utwardzonego podkładu o strukturze kamiennego tłucznia. W strefie tej (pod jezdnią drogi i pod chodnikiem oraz w pasie około 3 m na zachód od chodnika, aż do linii projektowanego tu muru) stwierdzono łącznie miejsca 84 grobów, odpowiadające lokalizacjom występującym na mapie cmentarza z 1939 r. Układ tej drogi, obniżającej się z północy na południe, a więc najbardziej wciętej w teren na swym odcinku południowym, spowodował, iż pochówki w grobach w momencie prowadzonej ekshumacji

występowały na zróżnicowanych głębokościach, od około 1,5 m w północnej części odcinka drogi – do zaledwie 30-40 cm w części południowej. Najbardziej w pierwotny poziom gruntu wcięto drogę w miejscu kwatery XX, gdzie w obu rzędach całkowicie zniszczono wówczas 11 grobów (nr 1851-1856, 1876-1880), oraz także w niewielkim zakresie – we wschodniej części kwatery XXI, gdzie w trakcie budowy drogi zlikwidowano jeden grób w jej południowym rzędzie (nr 1906). Całkowitemu zniszczeniu uległy więc następujące groby: w kwaterze XX nr 1856 (ks. Gerard Szmyd), nr 1855 (Helena Paleolog-Szczerbowska Juszkiewiczowa), nr 1854 (Wilhelm Todt), nr 1853 (Kazimierz Szydłowski), nr 1852 (Antoni Rzepecki-Łada), nr 1860 (Jakub Korajski), nr 1876 (Antoni Hałatowski), nr 1877 (Jan Kramarz), nr 1878 (Leopold Firmhofer), nr 1879 (Leokadia Wąsowicz-Dunin), nr 1880 (Artur Rupp) oraz w kwaterze XXI nr 1906 (Fryderyk Bisanz). Analiza planigraficzna zniszczonych grobów, w konfrontacji z datami zgonów tych osób, wskazuje ponadto, iż pośrednią przyczyną tego zniszczenia było stosunkowo płytsze umieszczenie trumien w gruncie. Związane to było, nieprzypadkowo chyba, ze stwierdzonym faktem grzebania tych osób w sezonie zimowym, a więc w okresie utrudnionych warunków dla kopania dołów grobowych. Tak więc, z powyższej przyczyny, z 84 grobów, które zamierzano tu wyekshumować zgodnie z danymi oznaczonymi na mapie z 1939 r., czynnościom tym poddano jedynie 71 nie zniszczonych pochówków, bowiem dwa groby z tej grupy wyekshumowano już wcześniej (nr 1951 i 2045 – o czym wyżej), natomiast w grobie 1976 stwierdzono występowanie dwóch pochówków, umieszczonych w dwóch trumnach jedna nad drugą, co zresztą było już wiadome ze źródeł archiwalnych (pochowani tu byli bracia Tadeusz i Zygmunt Willnerowie).

Analiza źródeł archiwalnych wsparta danymi antropologicznymi, odnotowanymi w trakcie ekshumacji, ujawniła w grobach zdecydowaną przewagę pochowanych mężczyzn, bowiem na prawie 300 ekshumacji z tej partii cmentarza jedynie w 14 wypadkach były to szczątki kobiet (niecałe 5%).

Należy odnotować, iż w grobie nr 1901, kwatera XXI, w świetle danych archiwalnych powinien być pochowany Stanisław Dydiuk (ur. 1886 r., zm. 3 V 1926 r.), co nie odpowiada ocenom antropologicznym i archeologicznym tego grobu. Analiza szczątków kostnych z tego grobu przemawia bowiem za tym, iż szkielet ten należał do kobiety w wieku 25-30 lat, o czym świadczą również występujące w grobie wyznaczniki archeologiczne. Na obecnym etapie badań trudno wytłumaczyć zaistniałą niespójność pomiędzy danymi archiwalnymi a antropologicznymi i archeologicznymi. Ponadto w trakcie ekshumacji stwierdzono błędną lokalizację pomnika grobowego Xawery Gurskiej-Pobóg w kwaterze XXVII, bowiem wzniesiono go (na nowo w ostatnich latach) nad grobem 2173 zamiast prawidłowo nad rzeczywistym grobem 2172.

Źródła archiwalne i dane z literatury w przeważającym procencie pozwoliły na identyfikację osobową ekshumowanych szczątków. W kilku jednak wypadkach, jak dotąd, okazało się to niemożliwe. Poza sygnalizowanym już, określonym archeologicznie i antropologicznie grobie anonimowej kobiety (nr grobu 1901, kwatera XXI), niemożliwość identyfikacji pochowanych osób dotyczy ponadto czterech innych grobów. Brak danych archiwalnych dla tych grobów oraz ich lokalizacja w obrębie kwatery XXIX, gdzie pozostałe, zidentyfikowane w tej kwaterze, należą do najmłodszych w tej części cmentarza (pochówki z miesięcy letnich

1939 r.), przemawiają za tym, iż mogą one pochodzić z września-listopada 1939 r. Nieodnotowanie tych pogrzebów w Księżce Cmentarnej mogło być spowodowane problemami związanymi z działaniami wojennymi.

W zakres aspektów archeologicznych prac ekshumacyjnych wchodziła m.in. pełna ewidencja wyposażenia grobowego pochowanych osób. Na wyposażenie to, poza trumnami, składały się przedmioty osadzone na zewnętrznej powłoce trumny, oraz wewnątrz – a więc ubiór zmarłego i inne przedmioty, które na gruncie archeologii określa się darami grobowymi. Stan ich zachowania był różny, uzależniony zarówno od tworzywa, z którego były wykonane, jak i warunków przechowania. W lepszym stosunkowo stanie przetrwały przedmioty w trumnach metalowych, w przewodzie cynkowych, wśród trumien drewnianych natomiast – wykonane z drewna dębowego. Nie zaobserwowano wyraźnych różnic w zakresie stanu zachowania przedmiotów przy zmarłych ze względu na lokalizację grobów i wynikające z tego zróżnicowanie środowiskowe zalegania trumien. Może jedynie w grobach o płytszym zaleganiu pochówków (np. pod drogą) słabiej zachowały się przedmioty wykonane z tworzywa organicznego i z żelaza.

Z wyposażenia zmarłych stosunkowo najlepiej były zachowane dość liczne tu odznaczenia i medale, związane najczęściej z uhonorowaniem tych osób za zasługi wniesione dla odzyskania przez Polskę niepodległości, w tym głównie za obronę Lwowa 1918-1920. Wykonane były one często z tworzywa nie poddającego się szybkiemu działaniu korozji (stopy metali, brąz, miedź). Ta grupa przedmiotów została programowo poddana pełnej ewidencji dokumentacyjnej – opisowej i fotograficznej. Czynności identyfikacyjne odznaczeń i medali, ze względu na ich nieczytelność spowodowaną zabrudzeniem i korozją powierzchniową, poprzedzić należało każdorazowo ich oczyszczeniem i zakonserwowaniem. W zespole ekspedycji znajdowali się specjaliści przygotowani do wykonania takich zabiegów, dysponujący doradźnie zorganizowaną, połową pracownią konserwatorską. Medale i odznaczenia – w przewodzie wojskowe – stwierdzono w 58 grobach, czyli w około 20% ogółu ekshumowanych. Najczęściej przy zmarłym znajdowały się jedno lub dwa odznaczenia, wyjątkowo pięć lub sześć. Wszystkie te przedmioty, po ich konserwacji oraz po sporządzeniu dokumentacji opisowej i fotograficznej, umieszczone zostały wśród wyekshumowanych szczątków w zaplombowanych trumnach.

Znacznie gorzej zachowały się inne kategorie wyposażenia grobowego. Relatywnie lepiej w tej grupie przedmiotów

przetrwały elementy zewnętrzne trumien, takie, jak: krzyże z wieka trumien (łącznie 79 szt.), metalowe okucia trumien (65 szt.) czy krzyże pogrzebowe (124 szt.). Wśród gorzej zachowanego wyposażenia grobowego znalezione przy szczątkach zmarłych wymienić natomiast należy przedmioty kultu religijnego, fragmenty odzieży i obuwia. W 16 trumnach znaleziono ponadto relikty kwiatów i wiązanek. Powyższe, generalnie znacznie gorzej zachowane wyposażenie, przeważnie o cechach destruktywów, poddane zostało jedynie inwentaryzacji opisowej i wraz ze szczątkami zmarłego umieszczone zostało w trumnach.

Na życzenie niektórych rodzin ekshumowanych osób, ROPWiM w porozumieniu z ekspedycją ekshumacyjną wyraziła zgodę na udział przedstawicieli rodzin w ekshumacjach. Niektórzy z przedstawicieli rodzin uczestniczyli również w powtórnych pogrzebach.

Pochowanie wyekshumowanych szczątków odbyło się w trzech etapach na nowo przygotowanych kwaterach, oznaczonych jako kwatera A (na zachód od kaplicy cmentarza) i kwatera B (na wschód od kaplicy). Konieczność przeprowadzenia pogrzebów w trzech etapach podyktowana była sukcesywnym przygotowywaniem przez „Energopol” miejsc dla tych pochówków. Ostatecznie nowymi grobami, które używały specjalnie zaprojektowane betonowe obrzeża i płyty wierzchnie z krzyżami, wypełniono całkowicie kwaterę A (175 grobów) i prawie w całości kwaterę B (115 grobów na 140 projektowanych). Wśród grobów kwatery B ustanowiono jeden grób symboliczny, w którym umieszczono zebrane do trumny nieliczne ludzkie szczątki kostne, luźno znalezione w obrębie obszaru prowadzonej ekshumacji, głównie z rejonu kwatery XX. Należy przypuszczać, iż kości te pochodzą z grobów zniszczonych w trakcie budowy drogi, tak więc ten symboliczny grób ma przypominać o osobach pochowanych niegdyś w 12 grobach tej części cmentarza.

Z wyekshumowanych grobów szczątki 4 osób pogrzebane zostały poza nowo utworzonymi kwaterami A i B. Dotyczy to osób, które pochowane zostały pierwotnie w 3 grobowcach. Na prośbę rodzin Rada OPWiM wyraziła zgodę na złożenie ich wyekshumowanych szczątków również w komorach grobowców. Grobowce te zlokalizowano w wolnych miejscach kwatery II, mając na uwadze niezakłócanie rytmu ujednoliconych nagrobków żołnierskich w kwaterach A i B.

\* Sprawozdanie przedrukowano – ze względu na jego objętość – ze skrótami. □

## UROCZYŚĆCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLiKPW

Zbigniew Grata

### „Siódmy Zjazd Brodzian”

*Pamiętasz Brody?!...*

*Ukochane Brody... Rojekówki zieleń... Sokół... Waly...*

*ulicę Żółtą, Kościelną i Lwowską*

*i wszystkie inne jakże się tam zwały*

*ta Jurydyka albo ta Zawodą, gdzie Suchowólka*

*rzeczka wolno płynie.*

*Wszystkie uliczki, wszystkie zakamarki są w myśli mojej  
nieudanym rymem,*

*lecz nie o rym chodzi, a o nasze serce, co w słowie  
„Brody” świat cały zamyka naszej młodości, naszego*

*dzieciństwa*

*co choć minęło to z myśli nie znika.*

*Lecz czas ucieka, a życie przemija*

*i pamięć naszą w szarą wstęgę zmienia.*

*Więc też chcę Brody,*

*tak jak mistrz Konstany ocalić od zapomnienia!*

Te słowa, które wypłynęły spod serca i ręki Kochanej „Anulki”, Anny Marii Andrzejewskiej-Heinrich podczas pierwszego Zjazdu Brodzian w roku 1993 pozostały aktualne i dotrwały do kolejnego, Siódmego Zjazdu Brodzian, który odbył się w dniach 27-28.05.1999 r. w Wiśle.

Inicjatorką i wciąż organizatorką Zjazdu jest Pani Stanisława Valis-Schyleny, mieszkanka Wisły.

Siódmy Zjazd Brodzian, jak co roku, odbył się w Wiśle-Uzdrowisku w hotelu „Start”.

Mimo, że Zjazd rozpoczynał się 27-go maja, już w przeddzień, 26-go prawie 90% uczestników „zameldowało się” w recepcji hotelowej i zakwaterowało się i jeszcze w tym samym dniu nastąpiło podczas wspólnej kolacji oficjalne otwarcie Zjazdu.

Występując w imieniu własnym, jak również w imieniu Zarządu Głównego, wręczyłem Pani Stasi medal dziesięciolecia naszego Towarzystwa, który został przyjęty z wielkim wzruszeniem i radością. Zostały również odczytane telegramy i listy od tych Brodzian, którzy z różnych przyczyn, a najczęściej z przyczyn zdrowotnych nie mogli wziąć udziału.

Tych, którzy zameldowali się osobiście było 64, a wiele z nich przyjechało z całymi rodzinami. Między innymi z Nowego Jorku zameldowali się Kwaśniczy, z Anglii Tadzio Skupień i Hawranowie.

Pierwszy dzień Zjazdu rozpoczął się, jak co roku, Mszą Świętą w Kościele Parafialnym, którą w intencji Brodzian odprawił Ksiądz Proboszcz. Mimo woli gardło ścisnął skurcz i oczy zawilgotniały gdy zaśpiewaliśmy Hymn Męskiej Sodalicji Mariańskiej „Błękitne rozwinięty sztandary” i „Modlitwę Harcerską” „O Panie Boże, Ojciec Nasz”.

Ksiądz proboszcz podczas homilii odczytał przesłanie od biskupa kamieniecko-podolskiego Jana Olszańskiego, również Brodzianina.

Po nabożeństwie wszyscy uczestnicy zostali zaproszeni na party do willi „Zacisze” – własności Stasi Valis – gdzie oczekiwały lody, napoje i słodkości. Można było również zwiedzić wnętrze, w którym podziwialiśmy wspaniałą kolekcję dzwonek niemalże z całego świata. Historia „Zacisza” to osobny temat związany z życiem i działalnością ks. biskupa protestanckiego J. Busche, wielkiego polskiego patrioty.

Jeszcze w tym samym dniu przed obiadem wszyscy uczestnicy pozowali do wspólnego zdjęcia, a po obiedzie rozpoczęły się rozmowy „przy okrągłym stole”. Były sprawozdania z rocznej działalności Koła Brodzian oraz dyskusje. Temat jaki zdominował obrady w tym dniu to sprawa budowy w Brodach nowego kościoła, jako że kościół Św. Krzyża zajęli Ukraińcy. Została pobudowana kaplica drewniana spełniająca na razie rolę kościoła, obok zaś przeznaczona została parcela pod budowę nowego kościoła. Kwestia zdobywania funduszy na ten cel była wiodącym tematem w pierwszym dniu obrad.

Honorowym gościem Zjazdu w tym roku była Pani Jarosława Pawluk, polska pisarka i poetka pochodząca również z Brodów.

Pani Jarosława opowiedziała nam o swoim życiu i twórczości prezentując równocześnie wiersze z tomiku „Zwracam się do Pamię-

ci” w którym, w postłowie „O autorce” napisano: „Urodziła się J. P. 5 czerwca 1932 r. w Brodach. W czasie drugiej wojny światowej została przemocą wywieziona do Niemiec wraz z rodziną. Po zakończeniu wojny powróciła do stron rodzinnych i ukończyła szkołę średnią, a potem Instytut Pedagogiczny we Lwowie, gdzie studiowała filologię. Pracowała jako nauczycielka, potem jako dziennikarka w rejonowych gazetach. Ostatnio mieszka na Żytomierszczyźnie w m. Lubar. Od 1990 r. wykłada w szkole język polski i zaczyna pisać wiersze po polsku. Pierwsze wydrukowane w „Rocie” (kwartalnik nauczycielski w Lublinie) w 1991 r., potem jej wiersze publikowano w „Dzienniku Kijowskim”, czasopiśmie w Polsce. Píše również teksty piosenek i komponuje melodie. Uczestniczyła w festiwalach polonijnych, konkursach, posiada dyplomy za wykonywane pieśni autorskie, wyróżnienia.” Pani Jarosława swym poetyckim słowem odtwarza obrazy historycznej i kulturalnej przeszłości narodu polskiego, wzywa do porozumienia i zgody. Jej wierszom właściwe subtelne odczucie słowa, melodyjna rytmika.

Podczas uroczystej kolacji była symboliczna lampka szampana, „sto lat” dla Przewodniczącej, Stasi Valis, jak również piosenki związane z latami młodości, latami związanymi z miastem, które tak bardzo związało nas na całe Życie, pomimo „rozsiania” niemal po całym świecie.

Drugi dzień zjazdu to dalszy ciąg debaty nad planem wytyczającym działanie na rok bieżący. Wobec trudności w zdobywaniu funduszy na budowę kościoła w Brodach uznano, że sprawą priorytetową jest dalsze zdobywanie funduszy na ten cel, odsuwając na dalszy plan kontynuowanie działań związanych z budową pomnika Józefa Korzeniowskiego w Brzegu.

W tym samym dniu po obiedzie chętni, a tych była większość, wzięli udział w wycieczce autokarowej podczas której podziwialiśmy piękno Beskidów. Warte jest odnotowania spotkanie na trasie z uczestnikami „Zjazdu Tarnopolan”, który w tym samym czasie odbywał się w Ustroniu.

Siódmy Zjazd Brodzian zakończył się i po wielu serdecznych pozdrowieniach i pożegnaniach rozjechaliśmy się przyrzekając sobie ponowne spotkanie za rok znowu w gościnnej Wiśle, pod troskliwym przewodnictwem Stasi Valis-Schyleny.



Zdjęcie zbiorowe uczestników. W pierwszym rzędzie, trzecia z lewej, Przewodnicząca i organizatorka zjazdu – Pani Stanisława Valis-Schyleny.

O. Cherubin M. Kuczowicz ofm.

## Dziesięciolecie istnienia Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddział w Tychach

W dniu 15 marca 1989 r. w Urzędzie Miasta w Tychach odbyło się zebranie grupy inicjatywnej dotyczące utworzenia Klubu Towarzystwa Miłośników Lwowa w Tychach.

Porządek posiedzenia był następujący i powiedziałbym pilny:

– wybór zarządu tymczasowego.

Przewodniczącym Klubu wybrano Zbigniewa Czyżowicza

W-ce przewodniczącym Jana Lewickiego

Sekretarzem Romanę Czerkowską

Skarbnikiem Marię Ziober

Członkiem zarządu Ryszarda Wysockiego.

29 kwietnia 1989 r. został powołany Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa, uroczystie zatwierdzony Uchwałą Zarządu Głównego Towarzystwa nr 61 we Wrocławiu na terenie miasta Tychy z siedzibą w Tychach, dnia 2 czerwca 1989 r.

Przewodniczącym został Jan Lewicki.

Od tego czasu oddział Towarzystwa rozpoczął swą działalność. Zaczął się rozwijać coraz szerzej. Postawił sobie za cel pielęgnowanie tradycji ojców, ich dorobku historycznego i całej spuścizny kulturowej, jak również utrzymanie bliskiej więzi z ziemią przodków.

Skąd w Tychach wzięli się „Kresowiacy”, ludzie pochodzący z terenów Ziemi Lwowskiej? Tak jak w wielu innych miastach naszej Ojczyzny, w latach po drugiej wojnie światowej wielu szukało schronienia, „dachu nad głową” na tzw. „Ziemiach Odzyskanych”, w tym również i na tyskiej ziemi.

Po dzień dzisiejszy żyją złączeni w więzi rodzinnej ze swoją ukochaną ziemią, na której się narodzili, wychowali i dorastali. Dzisiaj wracają pamięcią i nie tylko, do tych miejsc umiłowanych. Przeżywają to co większość rodaków przeżywa, ogromne przywiązanie i miłość, a nawet „kult” do swojej ziemi, do swojego ulubionego Lwowa i Ziemi Południowo-Wschodnich.

Działalność oddziału TMLiKPW w Tychach jest może niewidoczna i skromna, ale dość znaczna. Co miesiąc gro-

madzą się członkowie Towarzystwa i sympatycy na spotkaniach, które przepełnione są wspomnieniami, ale i konkretną pracą podjętą dla budowania więzi międzyludzkich. Dwa razy w roku organizowane są spotkania z okazji świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy, mające za cel m.in. zbiórki pieniężne na odbudowę Kościołów w archidiecezji lwowskiej: w Samborze, Biskowicach, Nawarii, na Wołyniu w Turczynie. W 1997 i 1998 r. z racji Uroczystości Wszystkich Świętych zorganizowano zbiórkę pieniężną na odbudowę Cmentarza Łyczakowskiego i Orląt.

Na jednym spotkaniu opłatkowym 1999 r. podjęto decyzję o zorganizowaniu kolonii letnich dla dwunastu dzieci z Drohobycza w tegoroczne wakacje. Te kolonie będą dofinansowywane częściowo ze skromnych składek oddziału.

Jest to cel bardzo wzniosły i szlachetny, żeby tylko znaleźć ofiarodawców i tych, którzy zajmą się stroną organizacyjną tych wakacji.

Większość członków Towarzystwa opiekuje się rodzinami na terenie Lwowa, Mościsk, Sambora, Czukwi i in.

W tym roku mija dziesiąta rocznica powołania do życia oddziału TMLiKPW w Tychach. Z tej to okazji członkowie i zarząd tegoż oddziału postanowili zafundować dla Towarzystwa sztandar. Ze składek członkowskich ten sztandar został zamówiony i wykonany w pracowni haftu Sióstr Borneuszek w Piekarach Śląskich.

Dzień 24 kwietnia br. przejdzie do historii. Rozpoczęto świętowanie dziesięciolecia istnienia oddziału Towarzystwa w Tychach uroczystą Eucharystią w najmłodszej tyskiej świątyni pw. Św. Rodziny. Ks. Proboszcz tutejszej parafii powitał członków i sympatyków TMLiKPW. Mszę św. odprawioną przez dwóch kapłanów, wspomnianego Proboszcza ks. Józefa Włoska i O. Cherubina M. Kuczowicza byłego proboszcza w Sądowej Wiszni w Archidiecezji Lwowskiej rozpoczęło odśpiewanie starej pieśni: „Śliczna gwiazdo miasta Lwowa, Maryjo...”. Piękną homilię wygłosił franciszkanin O. Cherubin. Nawiązując do tradycji ojców wspominał o losach Polaków w tamtych czasach o obecnych.



Poświęcenie sztandaru. Tychy 24.04.1999 r.

O exodusie Kosowian, który porównał z exodusem lat wojennych i powojennych.

Celebrans poświęcił następnie sztandar symbolizujący herb Lwowa i Matkę Boską Łaskawą patronkę Lwowa. W uroczystym apelu wzywającym do tradycji ojców i matek został sztandar przekazany tzw. „Kawalerom” sztandaru Waldemarowi Bana-Sikowskiemu chorążemu oraz Emilianowi Piaseckiemu i Jerzemu Krynickiemu.

Po uroczystościach w świątyni zostało zrobione uroczyste zdjęcie ze sztandarem.

W trakcie kolacji w siedzibie Związku Górnośląskiego zawiązała się serdeczna atmosfera. Było wielu zaproszonych gości m.in. Pani Maria Kasprówicz z Zabrze, która recytowała poezję Zbigniewa Herberta – Lwowianina i Mariana Hemara. Pod koniec naszego miłego spotkania odwiedzili nas aktorzy Teatru Ludowego ze Lwowa, którzy przyjechali do Tych ze swoim programem artystycznym w ramach Przeglądu Kultur. Gościliśmy również aktorów teatru lu-

dowego z Wilna, którzy zostali obdarowani skromnymi upominkami.

Na koniec zabrał głos prezes Towarzystwa oddziału Tychy Pan Franciszek Ferenc. Podziękował wszystkim, którzy przyczynili się do zakupu sztandaru i zorganizowaniu tej imprezy. W uroczystościach wzięli udział przedstawiciele bratnich organizacji z Katowic, Gliwic i Zabrze oraz Związek Górnośląski koła Tychy.

Na koniec w poczet członków TMLiKPW oddział Tychy został przyjęty piszący te słowa o. Cherubin M. Kuczowicz, ofm.

Dnia 3 maja br. delegacja Towarzystwa oddziału w Tychach wraz z poczem sztandarowym wzięła udział w uroczystościach związanych z odsłonięciem pomnika Józefa Piłsudskiego w Katowicach.

Druga grupa wzięła udział we Mszy św. za Ojczyznę w kościele Marii Magdaleny w Tychach i złożyła wiązanek kwiatów pod pomnikiem Powstańców Śląskich. □

## X-lecie Oddziału TMLiKPW w Koszalinie

7-go kwietnia br. minęło 10 lat od powstania koszalińskiego Oddziału TMLiKPW. Za względu na świąteczny charakter kwietniowego spotkania, obchody 10-lecia przenieśliśmy na maj.

Msza św. w naszej intencji została odprawiona 9-go maja br. w kościele pw. Ducha Św. w Koszalinie: z podziękowaniem za minione 10 lat, o zdrowie i błogosławieństwo Boże dla członków naszego Oddziału i wszystkich Lwowiaków, gdziekolwiek są. Śpiewaliśmy „Śliczna Gwiazdo Miasta Lwowa”, była homilia o Lwowie, a na zakończenie Ks. Proboszcz zaśpiewał dla nas Dumkę Podolską do słów M. Konopnickiej.

Uroczyste spotkanie odbyło się następnego dnia. Sala została udekorowana naszą flagą z herbem Lwowa, znacznikiem naszego Towarzystwa i napisem, informującym o 10-leciu. Obok była ekspozycja Wystawy Prezesa T. Zawadzkiego.

Przybyli zaproszeni goście: Prezydent Miasta, przedstawicielka Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego, dyrektorzy instytucji kulturalnych Koszalina, sekretarz „Wspólnoty Polskiej” oraz prezesi: Oddziału TMLiKPW w Szczecinku i Klubu w Świdwinie. Otrzymaliśmy od nich listy gratulacyjne, upominki i kwiaty.



Od lewej: Dyrektor Woj. Bibl. Publ. – mgr Andrzej Ziemiński, Dyrektor Miejskiego Ośr. Kultury – mgr Janusz Bastrzyk, Prezydent Miasta – mgr Henryk Sobolewski, Vice Prezes Oddziału – Ryszard Adel, Sekretarz Oddziału – Halina Bogucka, Prezes Oddziału – Tadeusz Zawadzki, Sekretarz O / Wspólnoty Polskiej – Zbigniew Ciechanowski

Były odznaczenia i pamiątki: w imieniu Zarządu Głównego Złote Honorowe Odznaki naszego Towarzystwa wręczyliśmy mgr Alicji Zarychto z Wydziału Kultury U. M. i kol. J. Korotkiewiczowi, a dyplomy: Prezesowi T. Zawadzkiemu, V-ce Prezesowi R. Adlowi, Sekretarzowi H. Boguckiej i kol. E. Rogużowi – członkowi Zarządu.

Cztery pamiątkowe Medale 10-lecia, zakupione przez nas w Zarządzie Głównym otrzymali: Prezydent Miasta, Dyrektor Woj. Biblioteki Publ., Dyrektor Miejskiego Ośrodka Kultury i kol. R. Adel. Rozdaliśmy naszym członkom 22 dyplomy za 10-letni staż w Oddziale.

Wszyscy uczestnicy uroczystości otrzymali okolicznościowe proporceyki, pisanki, znaczki do przypinania i mini-gazetkę „To śpiewaliśmy we Lwowie”, gdzie oprócz piosenki znajdowało się kalendarium naszego 10-lecia.

Grali i śpiewali dla nas: Koszalińska Kapela „Przylesianie”, Bolesław Kurek ze Lwowa i Marta Sokołowska – laureatka IV-go Konkursu Poezji i Piosenki Lwowskiej. Wiersz K. Wajdy deklamowała kol. K. Górka. Był toast szampanem i słodki poczęstunek. Zamknęliśmy I tom naszej Kroniki, wydarzenia następnych lat odnotowujemy już w II tomie. Radio Koszalin nagrało wywiady z nami, wiersze i piosenki. Audycje nadano 15-go i 16-go maja br.

Sekretarz Halina Bogucka  
Prezes Tadeusz Zawadzki



Lwowskie piosenki grała i śpiewała Koszalińska Kapela „Przylesianie”



# Dni Lwowa w Tarnowie



*Dni Lwowa w Tarnowie 29.05.1999 r.  
Zarząd Gł. i członkowie Oddziału w Tarnowie*

W dniach 29-30 V 1999 odbyły się bardzo uroczyste kolejne Dni Lwowa, zorganizowane pod patronatem Wojewody Małopolskiego, Prezydenta Miasta Tarnowa i Starosty Powiatu Tarnowskiego.

Uroczystość zainaugurowała wystawa w Tarnowskim Centrum Kultury – „Cmentarz Obrońców Lwowa – Historia, dewastacja, stan obecny”. Wystawa odwiedza kolejne miasto, którą sponsorowała Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Historię cmentarza przedstawił zebrany licznie tarnowskim lwowiakom (i nie tylko) dyrektor Centrum Kultury.

Następnie w amfiteatrze letnim odbyły się występy zespołu węgierskiego ze Szkoły Nr 15 w Tarnowie i Zespołu Pałacu Młodzieży w Tarnowie. Z dużym aplauzem został przyjęty występ młodzieży z Nowego Sącza. Główne uroczystości odbyły się w Sali Lustrzanej przy ul. Wałowej. Pani dr Barbara Krupińska – vice prezes oddziału tarnowskiego – przedstawiła osiągnięcia oddziału z okazji jego 10-lecia. Program artystyczny był bardzo bogaty. Wystąpili uczniowie

Szkoły im. Orłąt Lwowskich z okazji 3-ciej rocznicy nadania imienia szkole. Wystąpił również zespół muzyczny „Sercanie” pod kierownictwem K. Wesołowskiego i zespół młodych wykonawców z Nowego Sącza pod kierownictwem dr. J. Masióra. Odbyła się także promocja książki P. Pawliny „Ta joj, ta Lwów” – lwowskie opowieści K. Wesołowskiego.

Władze miasta Tarnowa w ciepłych słowach gratulowały osiągnięć Oddziałowi TMLiKPW, które były kierowane na ręce prezesa Adama Lewickiego. Obecność prezesa na uroczystościach była bardzo gorąco przyjęta przez zebranych, który powraca do zdrowia po ciężkiej operacji. W niedzielę w Bazylice Katedralnej w Tarnowie odbyła się uroczysta msza św. w intencji lwowiaków – celebrowana przez ks. Biskupa Władysława Bobowskiego.

Gratulujemy osiągnięć całemu Oddziałowi i Wszystkim jego członkom oraz cieszymy się z życzliwości i pomocy jakiej udzielają władze miasta, a prezesowi inż. Adamowi Lewickiemu życzymy szybkiego powrotu do zdrowia i kontynuowania działalności na rzecz Lwowa i Kresów Wschodnich.

(A.K.)



*Tarnów 29.05.1999 r.  
Otwarcie wystawy „Cmentarz Obrońców Lwowa”*



*Tarnów 29.05.1999 r. Otwarcie wystawy „Cmentarz Obrońców Lwowa”*

## V Dni Lwowa we Wrocławiu

Już po raz piąty z inicjatywy Oddz. Wrocławskiego TMLiKPW odbyły się w dn. 19-21 czerwca V Dni Lwowa we Wrocławiu. W ich organizacji pomagały: Fundacja Kresowa Semper Fidelis, Klub Leopoldus, Pracownia Animacji Kulturalnej oraz Bractwo Kurkowe. Impreza cieszyła się dużym powodzeniem nie tylko wśród członków Towarzystwa, ale szczególnie wśród mieszkańców Wrocławia, którzy tłumnie przybyli na imprezy odbywające się 20 czerwca na wrocławskim rynku. A było co oglądać. Po raz pierwszy bowiem do współorganizacji włączyło się Bractwo Kurkowe, kierowane przez byłego prezesa Zarządu Głównego TML – dr. Tadeusza Myczkowskiego, a którego korzenie sięgają lwowskich tradycji. Wybór nowego króla kurkowego zgromadził przed pomnikiem Aleksandra Fredry setki wrocławian. Ale wcześniej delegacje bractw z całej Polski oraz członkowie naszego Towarzystwa uczestniczyli we mszy św. celebrowanej przez kapelana TMLiKPW ks. Janusza Popławskiego. Wygłoszone przez niego kazanie zebrani przyjęli oklaskami na stojąco. Ponieważ 20 czerwca obchodziliśmy 206 rocznicę urodzin Aleksandra Fredry, jednym z punktów programu festynu na rynku był właśnie ten fakt. Jak zwykle wrocławsko-lwowski poeta Andrzej Bartyński był gospodarzem tej uroczystości, a piękne lwowskie piosenki śpiewał kabaret „Ferajna” prowadzony przez Zofię Puchałową oraz Jachyna. Niestety zabrakło Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, którego zmoła choroba.

Niezwykle rodzinna atmosfera panowała przy otwarciu wystawy zorganizowanej przez Fundację Kresową Semper Fidelis w Muzeum Medalierstwa – „Szlakami bohaterów trylogii H. Sienkiewicza”. Osobą, która ją otwierała był bowiem długo oczekiwany we Wrocławiu Jerzy Janicki, który dzień wcześniej spotkał się w auli Politechniki Wrocławskiej z członkami Towarzystwa prezentując między innymi swój najnowszy film o Lwowie. Nadmienić należy, że Jerzy Janicki zaraz po wojnie był redaktorem sportowym Słowa Polskiego, która to redakcja była patronem medialnym V Dni Lwowa we Wrocławiu.

Przez całą niedzielę wrocławski rynek rozbrzmiewał lwowskimi piosenkami, które wykonywały zespoły: Kapela z Brzegu „Baniaki”, zespół Podolanki z Czerwonej Wody k/Bolesławca, Paka Buziaka z Jeleniej Góry, zespół „Orliki”, zaprzyjaźniona z Towarzystwem kapela ludowa „Marciny” z Marcinowa k/Trzebnicy oraz zespół „Fantazja” z Węglińca. A całość prowadzili w lwowskim bałaku Zofia Puchała i Jan Słaby.

Do niezwykle udanych imprez należało spotkanie w Zespole Szkół Nr 3 z p. Januszem Ragankiewiczem oraz laureatkami VII Dziecięcego Festiwalu Piosenki Lwowskiej w Lesznie. Wiersze o Lwowie Janusza słuchała nie tylko młodzież szkolna, ale także członkowie Towarzystwa mieszkający w pobliżu szkoły.

Spotkaniu towarzyszyła wystawa widokówek Lwowa (ok. 800 szt.) ze zbiorów Zdzisława Piwko – wiceprezesa Oddziału Wrocławskiego.

Dzięki ofiarności wrocławskich piekarzy: p. Sergiusza Siemiowko oraz Mieczysława Kubiaka wszyscy uczestnicy spotkania byli częstowani „słodkościami”. A wszystko to za sprawą p. Tadeusza Szczyrbaka,

rzecznika prasowego Chrześcijańskiej Demokracji III Rzeczypospolitej Polskiej, który aktywnie włączył się do organizacji imprez. Zakończenie Dni odbyło się w Teatrze Muzycznym, nieodpłatnie udostępnionym przez Dyрекcję, podczas „Lwowskiej Gali”, prowadzonej w niezwykle serdecznej atmosferze przez p. Annę Damm, od wielu lat oddającej społecznie swoje artystyczne umiejętności Towarzystwu.

Z dużym aplauzem publiczności spotkał się występ kabaretu „Pacalycha” z Bytomia, prowadzony przez Danutę Skalską.

Zawód publiczności sprawili długo oczekiwani we Wrocławiu Barbara Dunin i Zbigniew Kurtycz. Tego ostatniego zmoła choroba i w ostatniej chwili występ został odwołany. Wspaniałe zastępstwo solistów Wrocławskiej Operetki pp. Ewy i Ryszarda Klanieckich zrekompensowało nieobecność pp. Barbary i Zbigniewa.

W czasie „Lwowskiej Gali” wręczono odznaczenia państwowe przyznane działaczom Towarzystwa z okazji X lecia jego istnienia przez Prezydenta RP. Wojewoda Dolnośląski Witold Krochmal, który uczestniczył w uroczystościach, wręczył je następującym osobom:

I. Stanisław Krzaklewski – Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski

II. Danuta Nespiak i Emil Teśluk – Złote Krzyże Zasługi

III. Srebrne Krzyże Zasługi –

Danuta Fakowska

Jadwiga Kaluscha

Andrzej Kaminski

Maria Krupska

Helena Mędrak

Leszek Mulka

Tadeusz Myczkowski

Marek Rogalski

Danuta Tabińska-Juhasz

Zdzisław Zieliński (odebrał później).

Prezes Zarządu Głównego TML Andrzej Kaminski wręczył Zbigniewowi Berlingowi – członkowi Zarządu Oddz. Wrocławskiego, za Jego niezmiennie oddaną pracę Towarzystwu – Złotą Odznakę TML.

Trzydniowa impreza nie mogłaby się odbyć bez pomocy oraz wsparcia finansowego wielu osób i instytucji. Tą drogą pragnę podziękować p. Marii Berny – b. senator RP, p. Andrzejowi Sicińskiemu – radnemu Rady Miejskiej Wrocławia, Gminie Wrocław, Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Dolnośląskiego, Elektrociepłowni SA, „Auto-Zatoka”, Zakładom Zielarskim „Herbapol”, Hotelowi Maria-Magdalena, Restauracjom Lwowskiej i Bankowej, Kombinatowi Ogrodniczemu w Siechnicy, p. Stefanowi Plackowi – kierownikowi Klubu Muzyki, Towarzystwu Miłośników Lilii, Muzeum „Panorama Raclawicka” oraz Medalierstwa, Politechnice Wrocławskiej, dyrekcji i nauczycielom ZS Nr 3, Spół. Domu Handlowemu „Feniks” oraz Wszystkim Koleżankom i Kolegom z Oddz. Wrocławskiego, Klubu Leopoldus oraz Fundacji Kresowej Semper Fidelis, którzy poświęcili swój wolny czas na włączenie się w organizację V Dni Lwowa we Wrocławiu.

Krystyna Karbownik  
Prezes Oddz. Wrocławskiego



Fot. M. Rogalski

19.06.1999 r. Inauguracja V Dni Lwowa we Wrocławiu  
w Zespole Szkół nr 3 we Wrocławiu



Fot. M. Rogalski

19.06.1999 r. Dni Lwowa we Wrocławiu w szkole  
nr 6, ul. Szkocka. Janusz Ragankiewicz



Fot. M. Rogalski

20.06.1999 r. Dni Lwowa we Wrocławiu. Muzeum  
Medalierstwa. Fotograficzna Wystawa Kresów



1.



2.



3.



4.

*Podpisy pod zdjęciami:*

1. Kościół Garnizonowy we Wrocławiu. Mszę św. odprawia ks. Janusz Popławski. Fot. M.R.
2. Dni Lwowa we Wrocławiu. Poczet Sztandarowy ZG TMLiKPW przed Kościołem Garnizonowym Św. Elżbiety. Fot. M.R.
3. Dni Lwowa we Wrocławiu – Rynek, pod pomnikiem Al. Fredry Zarząd Klubu Leopoldis – współorganizator Dni Lwowa. Fot. M.R.
4. Andrzej Bartyński – lwowsko-wrocławski poeta rozpoczyna 206 rocznicę urodzin Al. Fredry w towarzystwie Krystyny Karbownik – prezesa oddziału wrocławskiego.



Rynek we Wrocławiu. Bractwo Kurkowe. Hetman T. Myczkowski i J. Janicki.



Dni Lwowa we Wrocławiu na Rynku. Występ „Paki Buziaka” z Jeleniej Góry. Fot. M.R.



Dni Lwowa we Wrocławiu na Rynku. Zespół „Ferajna” bawi wrocławian w ogródku Kawiarni Lwowskiej. Fot. M.R.



1.

*Podpisy pod zdjęciami:*

1. 20.06.1999 r. Dni Lwowa we Wrocławiu. Muzeum Medalierskie. Fot. M. R.

2. 21.06.1999 r. Prezes ZG TML wręcza Złotą Odznakę TML Zbigniewowi Berlingowi – członkowi Zarządu Oddziału Wrocławskiego podczas „Lwowskiej Gali” w Teatrze Muzycznym. Fot. Cz. Filipowski

3. Teatr Muzyczny we Wrocławiu. Wojewoda Dolnośląski Witold Krochmal i odznaczeni działacze Towarzystwa. Fot. Cz. F.



2.



3.

# Świdwiński Dzień Kultury Kresowej

W dniu 30 maja 1999 r. po raz trzeci Świdwin fetował Dzień Kultury Kresowej. Ta udana inicjatywa kulturalna na stałe wpisana została do kalendarza imprez kulturalnych Świdwina. Jej organizatorzy to: Klub Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział Towarzystwa Miłośników Wilna i Kresów Wschodnich i Świdwiński Ośrodek Kultury. Imprezę rozpoczęli o godz. 10.00 jej organizatorzy Mieczysław Kostur, Anna Teresińska, Marian Wiszniewski z udziałem burmistrza Józefa Pietraszka – sprawującego patronat nad imprezą. Otwierając III Festyn Kultury Kresowej podkreślił burmistrz znaczącą rolę Towarzystw Kresowych w życiu społeczno-kulturalnym miasta oraz potrzebę organizowania takich imprez. Z kresowym programem artystycznym wystąpiły szkoły podstawowe Nr 1, 2, 3 i 4, Liceum Ogólnokształcące, zespół taneczny „PLAŚ” ŚOK. Podsumowano też konkurs „Tradycje wileńskie w naszym regionie” organizowany przez TMWiKW, Miejską Bibliotekę Publiczną i ŚOK.

W kościele pw. MBNP o godz. 13.30 odprawiona została Msza św. w intencji Polaków na Wschodzie i Kresowiaków na ziemi świdwińskiej celebrowana przez proboszcza ks. kan. Jana Wszółka z udziałem kresowiaków przy czytaniu lekcji, modlitwie wiernych i ofiarowaniu darów: chleba wileńskiego, miodu, nowalijek i kwiatów. Miłym akcentem było śpiewanie przez lwowiaka Bolesława Kurka ballady „Wierne Madonny”. Po Mszy św. utworzony został barwny korowód z zespołów artystycznych, kapel, kresowiaków oraz organizatorów z burmistrzem na czele, który z muzyką i piosenką kresową przeszedł ulicami centrum miasta pod ratusz na plac Konstytucji 3 Maja. W tej części festynu wystąpili: Bolesław Kurek, muzyk ze Lwowa od dwóch lat mieszkający w Połczynie Zdroju. Śpiewał ballady i piosenki lwowskie przy akompaniamencie gitary. Krystyna Górka z TMLiKPW Koszalin recytowała poezję lwowską, po czym wystąpiły zespoły: „Leszczyna” z Pęczeryzna, MOPSIKI z Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej, kapela „Przylesianie”, kapela „Podwórkowa” – obie z Koszalina. W Miejskiej Bibliotece Publicznej zorganizowano wystawę wydawnictw pn. „Lwów i Kresy” oraz „Juliusz Słowacki”.

Występującym zespołom i wyróżnionym w konkursie wręczono okazjonalne dyplomy uczestnictwa w FESTYNIE KULTURY KRESOWEJ w Świdwinie z wyrazami wdzięcz-

ności za propagowanie folkloru lwowskiego i wileńskiego w naszym regionie oraz książki ufundowane przez sponsorów.

Przedstawione w programie artystycznym recytacje, melodie, piosenki, dialogi Szczepcia i Tońcia oraz tańce przeniosły kresowiaków w odległą krainę tak bliskie naszemu sercu z lat dzieciństwa i młodości.

Dlatego organizatorzy imprezy sięgają do korzeni i tradycji naszych przodków, chcąc tą drogą przekazać społeczności Świdwina swój dawny regionalny folklor kresowy by ocalić go od zapomnienia.

Imprezę z takim rozmachem można było zorganizować dzięki zainteresowaniu i wsparciu władz miasta, gminy Świdwin oraz sponsorów, którym organizatorzy serdecznie dziękują.

Wyrazy wdzięczności i podziękowania kierujemy do dyrektorów szkół, nauczycieli, kierowników zespołów i wykonawców programów artystycznych.

Słowa uznania należą się też osiemdziesięcioletniemu – dziarskiemu, jak na batiara przystało, członkowi klubu TMLiKPW Zdzisławowi Teliczekowi za szczególną jego aktywność przydającą zarówno artystom jak też publiczności splendoru. Jego familia jest bardzo znana i szanowana w środowisku lwowskim.

Mieczysław Kostur  
Prezes Klubu TMLiKPW w Świdwinie



Na zdjęciu od lewej strony: Prezes K. TMLiKPW M. Kostur, wiceburmistrz A. Rauflajsz, prezes O. TMLiKPW A. Teresińska i J. Mieczkowska-Kostulska na czele korowodu ul. centrum Świdwina.



Na zdjęciu od lewej strony: prezes Klubu TMLiKPW Mieczysław Kostur i Zdzisław Teliczek na tle imprezy „Dzień Kultury Kresowej” w ramach „Dni Świdwina” 30.06.1999 r.

## Minęło dziesięć lat

# Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Krakowie

Oddział Krakowski TMLiKPW jest jednym z osiemdziesięciu kilku, działających w dzisiejszych granicach RP – od Przemyśla po Szczecin i od Zgorzelca po Olsztyn. Należy jednak ten oddział do bardziej znanych w kraju. Co jest tego przyczyną? Liczebność? Szczególne dokonania? Potencjał intelektualny? Wszystko po trosze.

Krakowskie środowisko lwowian należy zapewne do bardziej licznych w kraju, jeśli nie brać pod uwagę Wrocławia czy Górnego Śląska z Bytomiem i Gliwicami na czele, a nawet Warszawy. W Krakowie zatrzymało się na stałe w czasie II wojny światowej i po niej kilkanaście tysięcy wygnańców z całej Małopolski Wschodniej (a ponadto z Wileńszczyzny, Wołynia i wszystkich innych Ziemi Wschodnich), było to jednak środowisko ekspatriantów osobnych. Nie zatrzymywały się tu wszak pociągi zwane (niesłusznie) repatriacyjnymi, a osiadających tu lwowiaków – tym skrótem określane są zazwyczaj wszyscy przybyli z ziem południowo-wschodnich – łączyły z Krakowem więzy rodzinne, możliwość pracy na uczelniach, czasem przypadek. Trzeba jednak pamiętać, że w Krakowie, który szczęśliwie uniknął zniszczenia i rozbicia własnej społeczności, przybysze ze Wschodu musieli – każdy z osobna – szukać sobie nowego miejsca wśród ludzi. Nie obywało się to bez goryczy...

Jeśli dodać do tego, że ze względów politycznych trzeba było nieraz ukrywać swoje wschodnie pochodzenie – tutejsi funkcjonariusze komunistyczni nie byli do tych niezbyt licznych wszak przypadków przyjaźnie nastawieni – to nie dziw, iż nasze środowisko zaczęło się integrować dopiero w połowie lat siedemdziesiątych. W roku 1976 ukazało się po raz pierwszy w „Tygodniku Powszechnym” zawiadomienie o mszy św. za duszę śp. Jurka Bitschana, o czym zawiadamiali rodzina i przyjaciele (któż z ówczesnych partyjnych cenzorów to kojarzył? A może kojarzył, ale liczył, że partyjni przełożeni nie mają o niczym pojęcia? A może nie przykładano do tego większej wagi?). Organizatorką tych spotkań w kościele była dr Janina Winowska.

Tu i ówdzie rozpoczęły się w tym samym czasie domowe spotkania lwowiaków, już nie tylko towarzyskie, lecz o charakterze wyraźnie zorientowanym na rozpoznanie sytuacji politycznej i bytowej Polaków w okupowanym Lwowie i całej tamtej Ziemi (czy w ogóle Ziemi Wschodnich), na pogłębianie świadomości i wiedzy historycznej. Integrację środowiska w szerszym zasięgu przyspieszyły wieczory lwowskie, organizowane od lat 70. m.in. przez Stanisława Wasiuczyńskiego i grono jego młodych przyjaciół, wśród których nie sposób pominąć nazwiska Romana Hnatowicza (recytacja poezji) oraz Andrzeja Kotarby, który te wieczory uświetniał wraz ze swym zespołem muzycznym.

Na sygnał dany z Wrocławia, gdzie w jesieni 1988 r. zawiązało się Towarzystwo Miłośników Lwowa (nazwa dopiero nieco później rozszerzona: i Kresów Południowo-Wschodnich), w lutym 1989 r. powstał jego oddział w Krakowie. Zebranie organizacyjne, zwołane przez grupę inicjatywną pod przewodnictwem prof. Janusza Orkisz, odbyło się w sali Filharmonii Krakowskiej 25 lutego 1989.

Do Towarzystwa zapisało się wtedy w Krakowie ok. 1500 osób. Jest oczywiste, że część na tym poprzestała, przez następne jednak lata kontakt z Zarządem Oddziału utrzymuje mniej więcej jedna trzecia.

Program przedstawiony przez nowy zarząd przewidywał utworzenie kilku sekcji: współpracy i łączności (ze Lwowem i z zagranicą), organizacji wewnętrznej, organizacyjno-prawnej, finansowej, imprezowej, historyczno-dokumentacyjnej, turystycznej oraz kół (kombatantów, twórców, młodych, duszpasterzy, adwokatów). Niektóre z tych sekcji zawiązały się, inne nie. Te, które powstały, po niedługim czasie zaprzestały działalności, natomiast w ich miejsce utworzyły się koła regionalne, o których niżej.

Biuro Zarządu Oddziału kilkakrotnie zmieniało swoje miejsce. Pierwotnie mieściło się przy Klubie Adwokatów przy ul. Sławkowskiej 3, potem kolejno w budynku Stowarzyszenia PAX (Garbarska 9), przy Klubie Inteligencji Katolickiej (Sienna 5) oraz przy Instytucie Spraw Międzynarodowych (Szewska 20). Od lutego 1992 r. biuro działa w gmachu PTG „Sokół” przy ul. Piłsudskiego 27.

Pierwszy okres pracy Oddziału to głównie umacnianie jedności i pogłębianie wiedzy o rodzinnej Ziemi. Na comiesięcznych ogólnych spotkaniach w klasztorze oo. Dominikanów przy ul. Stolarskiej – to miejsce zawdzięczamy naszemu kapelanowi, ojcu pułkownikowi Adamowi Studzińskiemu – wystąpiło z prelekcjami wielu profesorów (nie tylko lwowian), działaczy, księży, artystów; urządzono sporo koncertów, dyskusji, relacji z podróży, rocznicowych akademii (o nich niżej) itd. Spotkania odbywały się zrazu w tzw. Krypcie (gdzie schodzono się jeszcze półkonspiracyjnie przed 1989 r.), potem już – od wielu lat do dziś – w pięknym gotyckim Kapitularku. Przez 10 lat i 10 miesięcy w roku było niemal 100 takich spotkań. Jako niezwykle ważne i ciekawe w ostatnich 5 latach należy wymienić coroczne relacje młodych historyków sztuki z UJ z akcji inwentaryzacji kościołów w archidiecezji lwowskiej.

Rok 1994 – w stulecie Wystawy Krajowej we Lwowie – obwołano pod patronatem Prezydenta Krakowa jako „Rok Lwowski”. W ciągu kilku miesięcy Towarzystwo urządziło wtedy całą serię wystaw, m.in. o historii teatru lwowskiego (w Śródm. Ośrodka Kultury), o lwowskich bibliofilach i kolekcjonerach (w Bibliotece Jagiellońskiej), o wydawnictwach na temat Lwowa i Małopolski Wschodniej od II wojny światowej (w galerii „Wspólnoty Polskiej”), połączone ze spotkaniem redakcji czasopism kresowych z całej Polski, i jeszcze parę innych. Ukoronowaniem Roku był koncert „Homagium Leopoli” w Filharmonii Krakowskiej, wykonany przez Capellę Cracoviensis pod dyrekcją Stanisława Gałońskiego i Stanisława Krawczyńskiego (śpiewał Andrzej Hiolski). Program koncertu złożono z utworów specjalnie skomponowanych na tę okazję przez siedmiu wybitnych kompozytorów polskich urodzonych we Lwowie.

We wczesnym okresie pracy Towarzystwa w Krakowie zawiązały się działające prężnie do dziś Koła Regionalne: w 1989 r. Tarnopolan (X) i Stanisławowian (XI), w IX 1991 – Stryjan. Powstały też koła: Samborzan (nie rozwinęło się),



Żółkiewian (zamarło po paru latach) oraz Złoczowian (oddzieliło się od TMLiKPW, tworząc osobny Klub Złoczowski). W VII 1990 r. powstało w Krakowie Koło Zaleszczykowień, które w 1995 r. włączyło się do Oddziału Krakowskiego TMLiKPW. Ponadto oddzielnie od wielu lat działa w Krakowie Koło Drohobyczan oraz niedawno reaktywowane Koło Samborzan.

Wielkie zainteresowanie, jakim cieszy się w Krakowie problematyka Ziemi Południowo-Wschodnich, doprowadziło do zorganizowania kolejnych cykli spotkań. Od 1993 r. urządzane są comiesięczne wieczory klubowe Towarzystwa (bardziej kameralne) w Klubie „Zaufek” przy ul. Poselskiej 9 oraz prelekcje z przeżyciami o Lwowie oraz innych miastach i okolicach wschodniomałopolskich arch. Piotra Korpantego w Śródmiejskim Ośrodku Kultury, cieszące się dużą frekwencją. Koła Regionalne spotykają się regularnie z Klubem „Zaufek” oraz w niezwykłym lokalu Muzeum Przyrodniczego.

Nie można tu pominąć szczególnych uroczystości, urządzanych każdego roku przez Oddział. Najważniejsza z nich, ogólnopolska, to rocznica Obrony Lwowa w 1918 r., obchodzona 22 listopada. Rozpoczyna ją koncelebrowana msza św. w Bazylice Mariackiej, w czasie której odmawia się m.in. specjalnie układaną lwowską litanię. Na organach gra od samego początku prof. Bogusław Grzybek, a śpiewa Chór Cecyliański. Po mszy św. odbywa się w dominikańskim Kapitułarzu rocznicowa akademicka, na którą zapraszani są prelegenci, zespoły artystyczne i soliści. I tak już od kilkunastu lat.

Również corocznie w marcu lub kwietniu odprawiana jest msza św. w intencji rychłej beatyfikacji Sługi Bożego Józefa Bilczewskiego, wielkiego arcybiskupa lwowskiego. Odprawia ją każdorazowo ks. kardynał Franciszek Macharski, arcybiskup krakowski, który w czasie pierwszej mszy w 1995 r., zorganizowanej przez Oddział Krakowski u grobu św. Jana Kantego (patrona uczonych i rodaka Bilczewskiego) w kościele św. Anny, zaproponował spotkanie się w tej intencji co roku, aż do skutku. Kolejne msze odbyły się w kościołach: Misjonarzy na Kleparzu (przed cudownym obrazem Chrystusa z Milatyna), Bernardynów (przed cudownym obrazem MB Sokalskiej), Karmelitów oraz Dominikanów (stare kopie MB Częstochowskiej z lwowskich kościołów tych zakonów).

Równoległe z powołaniem do życia TMLiKPW i jego oddziałów w wielu miastach RP powstała bratnia organizacja we Lwowie: Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, wraz z kilkunastoma oddziałami na terenie województwa lwowskiego. Analogiczne, lecz osobne towarzystwa pojawiły się w miastach województw stanisławowskiego i tarnopolskiego, a połączyła je (razem z innymi organizacjami na terenach za Zbruczem) Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie. W tym samym czasie (i nieco wcześniej) zaczęły się budzić na nowo do życia w wielu miejscowościach Archidiecezji Lwowskiej parafie rzymskokatolickie, a w 1991 r. reaktywowano we Lwowie arcybiskupstwo (trwające dotąd od II wojny w Lubaczowie).

Zapoczątkowując więc nowy okres działalności, w którym dominuje pomoc, w różnych formach udzielana Polakom we Lwowie i Małopolsce Wschodniej, Oddział Krakowski – podobnie jak inne oddziały TMLiKPW – nawiązały niezwłocznie kontakty z wspólnotami polskimi, integrującymi się na nowo wokół zwróconych do kultu kościołów oraz towarzystw polskich. Z Krakowa wyszła inicjatywa

utworzenia sieci opieki, wiążącej poszczególne oddziały Towarzystwa z poszczególnymi wspólnotami polskimi na tym terenie. Oddział Krakowski wybrał Nowe Miasto (niedaleko Przemyśla), po pewnym czasie zrezygnowano jednak z tego, wobec aktywnej tam działalności organizacji b. mieszkańców tej okolicy, z siedzibą w Przemyślu. W ostatnim okresie Oddział świadczy pomoc na rzecz parafii katedralnej we Lwowie, w najbliższym czasie zostanie jednak nawiązany kontakt z innym jeszcze skupiskiem Polaków na prowincji.

Polacy zza kordonu są częstymi gośćmi w Krakowie, z racji jego położenia przy głównym szlaku, mamy więc sposobność świadczenia różnych doraźnych form pomocy lub ułatwień. Kilka razy w ciągu roku (w tym w okresach przedświątecznych) wysyłane są przez Zarząd i Koła Regionalne paczki żywnościowe, z odzieżą, leki, książki.

Towarzystwo w Krakowie współpracuje ponadto w różnych formach pomocy z tutejszym oddziałem Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, z krakowskim „Sokołem” i „Sokołem-Macierz-Lwów” (z siedzibą w Krakowie), z Centrum Młodzieży im. dra Jordana i wieloma innymi instytucjami, świadczącymi na rzecz Polaków na Wschodzie, oraz dąży do pozyskania nowych sprzymierzeńców w tym dziele – lekarzy i szpitali, uczelni, instytucji i stowarzyszeń. Na tej drodze umożliwiono nieodpłatne leczenie w Krakowie kilku osobom z tamtej strony kordonu – w tym operację i rehabilitację (nie wszystkie starania odniosły skutek). Udzielano zapomogi studiującym na uczelniach krakowskich, starano się o pracę i pomoc prawną, a także o rozwiązanie większych i mniejszych problemów życiowych. Niestety tylko raz udało się zorganizować kolonie dla młodzieży ze Wschodu (z okolic Sambora).

W 1996 r. Oddział Krakowski podjął inicjatywę ratowania popadających w ruinę zabytkowych obiektów Cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie. Przedsięwzięto już trzy kwesty na cmentarzach krakowskich w dzień Wszystkich Świętych i Zaduszki, organizując następnie przy pomocy lwowskich Polaków (co dodatkowo stanowi dla nich pomoc finansową) oczyszczanie kolejnych pól cmentarnych, zabezpieczanie i uzupełnianie grobowców, pomników i nagrobków. Podobne akcje podjęły za wzorem krakowskiego niektóre inne oddziały.

Warto dodać, że z inicjatywy tutejszego Oddziału we wrześniu 1992 r. zorganizowano w Krakowie spotkanie zainteresowanych odbudową Cmentarza Orłąt, dążąc do uporządkowania dotychczasowych nieskoordynowanych wysiłków i działań (było to jeszcze przed podjęciem całości sprawy przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa). Zawiązał się wtedy społeczny komitet, który został przy Radzie afiliowany.

W r. 1995/96 Oddział Krakowski miał swój merytoryczny udział w przygotowaniu jubileuszu 180-lecia szkoły im. św. Marii Magdaleny we Lwowie. To tu, w Bibliotece Jagiellońskiej, odnaleziono materiały dotyczące powstania w 1816 r. i dziejów obecnej Szkoły nr 10. Przekazano też szkole kilkadziesiąt listów byłych uczniów i uczennic obu szkół (męskiej i żeńskiej) z RP i zagranicy, otrzymane po apelu, ogłoszonym w „Przekroju” w 1989 r. Zostały one wykorzystane w pamiątkowym wydawnictwie.

Jednym ze szczególnych osiągnięć Oddziału Krakowskiego jest wszczęcie od r. 1985 – dzięki pozyskaniu jako sponsorów wydziałów kultury Urzędu Wojewódzkiego i Urzędu Miasta Krakowa – wydawnictwa pisma „Cracovia-

Leopolis”. Kwartalnik ten od razu znalazł się w czołówce czasopism kresowych (obok wrocławskiego „Semper Fidelis”) dzięki zamieszczanym w nim artykułom i materiałom, informującym o szczególnych związkach między Krakowem i Lwowem, oraz o roli tego miasta i jego wybitnych obywateli w historii i kulturze Polski. Pismo cieszy się wielkim zainteresowaniem nie tylko w Krakowie i na terenie całej RP, ale także we Lwowie i w innych ośrodkach odciętych kordonem, stanowiąc dla tamtejszych Polaków kopalnię wiedzy o własnej Ziemi, sprawach i ludziach, o których prawda była ukrywana lub przeinaczana. Kwartalnik może się poszczycić doskonałym doбором autorów – profesorów i młodszych pracowników naukowych, fachowców z różnych dziedzin, literatów i publicystów. W rezultacie prace w nim ogłaszane – mimo iż pismo nie ma charakteru naukowego – są uznawane za dorobek naukowy autorów.

Warto dodać, że redakcja kwartalnika zainicjowała Bibliotekę Cracovia-Leopolis, a jako pierwszy tomik wydano „Listy ze Lwowa” K. Makuszyńskiego, opublikowane po raz pierwszy w latach 20. w tomie, który po II wojnie nie był wznawiany, a nawet został wycofany z bibliotek.

W lokalu Zarządu Oddziału prowadzona jest wewnętrzna dystrybucja książek o tematyce kresowej i czasopism kresowych, ukazujących się na terenie RP i we Lwowie oraz za granicą.

Przy Oddziale Krakowskim urządzone są dość liczne i cieszące się zainteresowaniem wycieczki do Lwowa i na ziemie wschodniomałopolskie (3-4 razy do roku). Ich organizatorami są p. Łucja Gedl oraz Koła Regionalne. Przyjęto zasadę, że uczestnicy zamieszkują we Lwowie w domach Polaków, tym samym wspomagając ich materialnie.

Oddział Krakowski wchodzi w drugie dziesięciolecie swej pracy z optymizmem. Zyskano doświadczenie i uznanie. Członków per saldo nie ubywa. Odchodzących, których pożegnaliśmy z żalem – zastępują nowi, zapisów nie brakuje. Nawiązujemy nowe kontakty z instytucjami i organizacjami, z ludźmi, którzy pragną uczynić coś dobrego w sprawach tak nam bliskich.

Na zakończenie przeto wypada podziękować dawnym i nowym przyjaciółom, którym te bliskie nam sprawy coś zawdzięczają. Wyrażamy wdzięczność Władzom Wojewódzkim i Miejskim, Kościołowi i Wojsku Polskiemu, Uczelniom i Szkołom, Instytucjom i Organizacjom, a w szczególności sposób „Sokołowi”. Dziękujemy wszystkim życzliwym Osobom w nich działającym, a także szlachetnym Przyjaciołom, którzy świadczą dobro całkiem prywatnie.

Dziękujemy za dziesięć lat wspólnej pracy i wspólnej satysfakcji (a czasem i wspólnej goryczy). Idźmy nadal razem.

Zarząd Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Halina Bogucka

## Poświęcenie Tablicy

W dniu 16-go lipca br. na Cmentarzu Komunalnym w Koszalinie została odstonięta i poświęcona Tablica o następującej treści:

PAMIĘCI POLSKIEJ LUDNOŚCI CYWILNEJ  
WYMORDOWANEJ W LATACH 1943-1945  
NA WOŁYNIU  
I KRESACH POŁUDNIOWO-WSCHODNICH

Kresowiaci

U góry tablicy widnieje krzyż w płomieniach, kościół i jedna z zabytkowych budowli Krzemieńca, z którego pochodzi inicjator i główna fundatorka Tablicy – kol. Walentyna Wiszniewska, członkini naszego Oddziału.

Uroczystość prowadził Prezes Oddziału, kol. Tadeusz Zawadzki. Głos zabrała kol. Wiszniewska. Tablicę poświęcił Jego Eminencja Ksiądz Biskup Tadeusz Werno. Honory



Przemawia W. Wiszniewska

oddał poczet sztandarowy Światowego Związku Armii Krajowej. Złożyliśmy kwiaty z szarfą o barwach lwowskich i zapaliliśmy znicze. Autorem projektu Tablicy jest znany koszaliński rzeźbiarz Zygmunt Wujek.



Koszalin. Tablica. Projekt – Zygmunt Wujek

Alfred Janicki

## Wielkie bałakanie



Zespół „Fantazja” ze St. Węglińca

Doczekaliśmy się czasów, kiedy coraz częściej pojawiają się (aczkolwiek nadal skromnie) informacje o imprezach związanych z polską kulturą Kresów Południowo-Wschodnich. Jedną z takich imprez stał się Ogólnopolski Festiwal Polszczyzny Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Węglińcu, który odbył się w dniach 26-27 czerwca br.

W ubiegłym roku, 11 lipca, poświęcono w Węglińcu obelisk z tablicą upamiętniającą krewnych rodzin z Kresów Wschodnich tu osiadłych, którzy cierpieli i ginęli podczas ostatniej wojny za to, że byli Polakami. Wielu mieszkańców uznało ten fakt za osobistą satysfakcję. Obserwowałem ich i stwierdziłem, że pragną oni jeszcze czegoś – pragną promocji swego dzieciństwa w postaci słów, melodii w atmosferze spotkań kresowych. Uznałem, że najlepszą promocją Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich będzie „bałak” – gwara ze wszystkimi jej odcieniami. Przekonywałem naszych radnych o celowości zorganizowania festiwalu jakiego w Polsce nie ma (są imprezy, na których wspomina się Lwów, czy Podole), że dzisiejsza polszczyzna do końca nie oddaje piękna i bogactwa języka ziem naszej młodości. Władze miasta wyraziły zgodę, choć niedowierzania było wiele. Zacząłem szukać sponsorów i znalazłem: Zarząd Główny TMLiKPW, ERA GSM, Samorząd Mieszkańców Węglińca, Związek Gmin Zgorzeleckich, Starosta Zgorzelecki, „Słobud” Ruszków, Bank Spółdzielczy w Pieńsku, Rada Gminy i Miasta Węglińca. Szukałem też ludzi, którzy pomogą mi w realizacji tego pomysłu i znalazłem ich. Oto oni: Krystyna Majewska, Irena Majdziak, Teresa Basarab, Mirosław Sochon, Zenon Zator, Krzysztof Chroma, Wojciech Naskręt, Tadeusz Burda, Jerzy Petrus, Janina Deptuła, Stanisław Mikolajczyk i Andrzej Kutrowski. Sponsorom i tym osobom, którzy uwierzyli w szansę powodzenia tego zamierzenia, przesyłam kresowe: „Piękni dziękuj i daj Wam Boży zdrowie!”.

Główne hasło festiwalu brzmiało: „Człowiek może żyć wszędzie, ale serce zostaje tam, gdzie się urodził i wychował”. Symbolem graficznym był „Sokół Wędrowny”, a sygnałem, skomponowanym przez Krzysztofa Zielińskiego, była parafraza pieśni o podolskich sokołach. Czasu było mało, napływały zgłoszenia. Część zespołów nie mogła uporać się z „bałakiem”, ostatecznie zakwalifikowaliśmy następujących wykonawców: „Ferajna” z Domu Kultury Wrocław



Na „Wielkim bałakanu” w Węglińcu. Ks. Janusz Popławski, Danuta Krupska, Alfred Janicki

Leśnica, „Podolanie” z Czerwonej Wody, „Fantazja” ze Starego Węglińca, Dziecięcy Zespół Poezji ze Szkoły Podstawowej w Starym Węglińcu, Chór „Grochowiczanki” z Kotli, duet z Leszna (Daria Matecka i Anna Janowicz), duet Zofia Puchała i Antoni Smalec, a indywidualnie – Zofia Puchała, Janusz Ragankiewicz, Kazimierz Tarnowski i Michał Turczyński.

W dniu 26 czerwca br. dźwięki sygnału oznajmiły początek festiwalu, a następnie Podolanie odśpiewali pieśń „Gdyby orłem być”. Oficjalnego otwarcia festiwalu dokonał burmistrz Gminy i Miasta Węglińca – Andrzej Kutrowski. Wprowadzenie w atmosferę „bałaku” dokonali swym występem Krystyna Pater z córką, synem i Janem Węglowskim. Od pierwszych minut festiwalu zjednął sobie widownię prowadzący konferansjerkę – oczywiście w „bałaku” – Jan Marian Słaby z Wrocławia, zgrabnie, z elementami humoru, przybliżał widowni poszczególnych wykonawców i ich utwory. Zespół „Ferajna” pokazał swój profesjonalizm, obycie ze sceną i tematyką, „Podolanie” z Czerwonej Wody przeciwstawili im swą żywiołowość, prostotę i kresowy autentyzm, który dał się zauważyć w interpretacji różnych utworów. Pieśń o festiwalu w Węglińcu, napisana i dedykowana mnie i innym organizatorom przez Janusza Ragankiewicza, a wykonana przez duet leszczyński, wprowadziła atmosferę skupienia. W niejednych oczach pojawiły się łzy nostalgii. Klasą dla siebie byli Janusz Ragankiewicz oraz Kazio Tarnowski z Bytomia. Ogólną sympatię zdobył Dziecięcy Zespół Poezji (prowadzony przez p. Władysławę Zielińską-Barańską). Nie potrafię ukryć podziwu dla talentu dzieci, które nauczyły się „bałaku”! Rewelacją festiwalu był zespół „Fantazja” ze Starego Węglińca, ze swoją solistką Anią Przędzak, kierowany przez opiekuna zespołu – Krzysztofa Zielińskiego. Oprócz sygnału festiwalu napisał on i skomponował pieśń „Wielkie bałakanie”, po usłyszeniu której widownia zgotowała wykonawcom dużą owację. Decyzją jury nagrody Grand Prix festiwalu zdobyli „Podhalanie” i „Fantazja”.

Po występach konkursowych, wieczorem, w ośrodku rekreacyjnym „Czerwona Woda” odbyło się spotkanie integracyjne uczestników festiwalu z mieszkańcami gminy. Tutaj, już „na luzie”, królowały pieśni kresowe, a członkowie różnych zespołów świetnie się razem bawili. Atmosfera była wspaniała! Uczestnicy nocowali w prywatnych pensjonatach: u p. Danuty Koza w Ruszowie, p. Mieniek i pp. Petrusów w Czerwonej Wodzie, którzy podejmowali ich z węglińsko-kresową gościnnością.

W drugim dniu festiwalu, kapelan Towarzystwa ks. Janusz Popławski, wygłosił piękną homilię w czasie Mszy św., a zespół „Ferajna” zaśpiewał pieśń do Matki Boskiej z Placu Mariackiego we Lwowie.

W koncercie galowym uczestniczyli: Starosta Zgorzelecki – Szymon Pacyniak, Burmistrz Gminy i Miasta Węglińca – Andrzej Kutrowski, sponsorów reprezentował dyr. BS Zygmunt Listwan. Wśród wielu gości festiwalu obecni byli: Danuta Krupska – wiceprezes ZG TMLiKPW i Krystyna Krabownik prezes Oddz. Wrocławskiego TMLiKPW. Podziękowania kieruję do red. Katarzyny Klem z Polskiego Radia Wrocław za jej relacje z festiwalu na antenie, oraz do TV Polonia i TV-5 Wrocław za promocję naszego festiwalu i ludzi, a szczególnie dziękuję red. Elżbiecie Sitek-Weksler, p. Lidii Chojnackiej i zespołowi TV Wrocław realizującego audycję „Bez montażu” w dniu 9 lipca br.

Raz jeszcze wszystkim serdecznie dziękuję za życzliwość, uczestnictwo w festiwalu, jego przygotowanie i promocję. Do zobaczenia w ostatnią sobotę i niedzielę czerwca 2000 roku!

„Ta daj Boży zdrowi!”

Jury I Ogólnopolskiego Festiwalu Polszczyzny Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Węglińcu w składzie: Danuta Nespiak, Danuta Tabińska-Juhasz, Jadwiga Gumeński i Władysław Postępski wysoko i z uznaniem ocenili pomysł zorganizowania takiej imprezy wśród kresowiaków osiadłych po wojnie na naszych Kresach Zachodnich oraz ich zaangażowanie w „Wielkim Bałakanu”.

Zespoły i indywidualni wykonawcy uczestniczący w tym festiwalu – zdaniem Jury – prezentowali dobry, a niekiedy b. dobry poziom artystyczny recytacji i śpiewu. Potwierdzeniem trafności oceny Jury, które przyznało w Węglińcu Grand Prix Zespołowi „Fantazja”, był fakt zaproszenia tego zespołu na V Festiwal Kultury Kresowej do Mrągowa w dniach 13-15 sierpnia br. Występ czterech uroczych dziewcząt ze Starego Węglińca, ich śpiew podobał się publiczności festiwalowej Mrągowa, co wyraziła gorącymi brawami. Użył także wysoką ocenę etnografa-muzykologa z Uniwersytetu Poznańskiego, który podsumowując występy poszczególnych zespołów stwierdził, że w śpiewie „Fantazji” usłyszał „najbardziej świeże i czyste głosy” na V Festiwalu Kultury Kresowej.

Z satysfakcją gratulujemy  
Jury „Wielkiego Bałakania”

## KRESOWE KOŚCIOŁY

Jarosław Tadeusz Leszczyński

### Wschodniokarpacka Jasna Góra – Hoszów

Wśród licznych sanktuariów leżących na Kresach Południowo-Wschodnich należy wymienić Hoszów. Wieś leży w województwie stanisławowskim i powiecie dolińskim, nad rzeką Świcą (dopływ Stryja), przy drodze z Bolechowa do Doliny, w pobliżu linii kolejowej Stryj-Dolina, na przedpolu Bieszczadów Wschodnich. Ponad drogą wznosi się niewielkie wzniesienie, porośnięte od jej strony lasem sosnowym, zwane Jasną Górą, z cerkwią greckokatolicką p.w. Przemienienia Pańskiego i klasztorem oo. Bazylianów. Z centrum wsi idzie się ok. 20 min. drogą pokrytą lichym asfaltem. Z góry, na której rozlokowane jest hoszowskie sanktuarium roztaczają się widoki na Bieszczady, dolinę rzek Świcy i Sukielu oraz równiny ciągnące się aż do Dniestru. Hoszów zamieszkuje kilkanaście rodzin bojkowskiej szlachty zagrodowej pieczętującej się herbem Sas.

#### 1. Historia sanktuarium

Klasztor w Hoszowie założony został w 1570 r. początkowo jako prawosławny, a po zawarciu unii z Rzymem stał się unickim monasterem. Nie stał on początkowo na tym miejscu co obecnie, ale na pld.-zach. od Jasnej Góry w lesistym jarze ciągnącym się od rzeczki Łużanki do góry Kiczarki. Fundatorem jego był rycerz wojska koronnego Kuczaład, pochodzący z Tucholszczyzny we wschodnich Bieszczadach. Na pierwotnym miejscu mnisi wiodli spokojne i bogobojne życie przez ponad 30 lat. W pocz. XVII w. jedna z rozbójniczych watah grasujących w Karpatach spłądowała klasztor i pozabijała mnichów. Po kilkunastu latach od tego zdarzenia klasztor odbudował Eustachy Szumlanski (ojciec biskupa lwowskiego Józefa), rotmistrz króla Jana

Kazimierza. Był ożeniony z Anną Hoszowską i dzierżawił Hoszów. Odbudowanemu przez siebie klasztorowi podarował 3000 złotych polskich. W starszym wieku sam został mnichem i po śmierci został pochowany pod głównym ołtarzem cerkwi klasztornej. Prawdopodobnie częste napady Turków i Tatarów zmusiły mnichów do przeniesienia się na obecne miejsce najpóźniej w poł. XVII w. Obecnie nie ma śladów po pierwszym klasztorze, a miejsce na Czarnym Dółku porasta dziś lasek leszczynowy z domieszką świerku.

Klasztor zaczął się rozwijać w 2 poł. XVII w. dzięki szczodrości rodu Szumlanskich i innych przedstawicieli szlachty obrządku wschodniego – Wasyla Strutyńskiego i Katarzyny Czołgańskiej. Po wyprawie chocimskiej (1673 r.) i wiedeńskiej (1683 r.) gdy oddziały tatarskie płądowały oraz paliły pobliskie wsie i miasta, miejscowa szlachta pod wodzą Stefana Bratkowskiego ustawiła na górze armatę i strzałem z niej zabiła dowódcę wroga. W ten sposób zmusiła hordy do zaniechania oblężenia i być może ocaliła klasztor przed zniszczeniem.

Dotychczasowe drewniane – cerkiew i klasztor – wielokrotnie padały pastwą pożaru na skutek nieostrożnych zaproszeń ognia. Po jednym z takich pożarów w poł. XVIII w. klasztor został odbudowany wyłącznie z ofiar wiernych za rządów ihumena o. Witalisa Piłńskiego. Po kolejnym pożarze jaki wybuchł w dniu 11 kwietnia 1762 r., kasztelan Stanisław Kossakowski ofiarował drewno ze swojego lasu na odbudowę klasztoru, a jego żona wywodząca się z rodu Potockich złożyła na ten cel znaczną sumę pieniędzy.

Największą ofiarę dała rodzina unickiej szlachty bojkowskiej Hoszowskich (pieczętująca się herbem Sas), która



Fot. M. Orliński

*Hoszów. Cerkiew OO. Bazylianów grekokatol.*

na rzecz monasteru zapisała w dniu 8 października 1758 r. ziemię na Jasnej Górze. Darowizna ta nie tylko zabezpieczyła byt materialny klasztoru i cerkwi, ale od tego czasu zaczęły się one rozwijać.

Szczególną sławę klasztor uzyskał nieco wcześniej niż ofiara Hoszowskich, a stało się to w 1737 r. kiedy z rąk tej samej rodziny otrzymał cudowną kopię obrazu M. B. Częstochowskiej, która od tego miejsca otrzymała nazwę Hoszowskiej. O wizerunku tym będzie jeszcze mowa w dalszej części artykułu. Hoszów stał się znanym sanktuarium maryjnym i został nazwany Jasną Górą Podkarpacką.

Podczas niepokojów związanych z wydarzeniami Konfederacji Barskiej (1768-1772), gdy ihumenem był o. Jozafat Lenkiewicz, na Jasnej Górze ukazała się Matka Boska i poleciła przesunąć dzwonnice w inne miejsce, aby uczynić większą przestrzeń pod budowę nowej cerkwi i klasztoru. Budowę pierwszej z nich zakończono w 1772 r., a klasztoru rok wcześniej.

Drewniany klasztor i cerkiew przetrwały do 1834 r. Ciągły wzrost kultu M. B. Hoszowskiej i rosnąca stale liczba pielgrzymów stały u podstaw budowy nowej murowanej cerkwi, która przetrwała do chwili obecnej. Inicjatorem budowy był ihumen o. Julian Mokrzycki, a projektantem inż. Mozer, który potrzebne plany wykonał w 1834 r. W 1837 r. wmurowano kamień węgielny. Cerkiew postawiono z cegły. Budowę jej ukończono w 1842 r. W 1843 r. zbudowano murowaną dzwonnice oraz dom dla pielgrzymów na płn. zach. od klasztoru, a na płn. od cerkwi kapliczkę św. Rodziny, przy której pielgrzymi zostawiali świeczki-ofiary i od niej szli do głównej świątyni-sanktuarium na kolanach.



Fot. J. T. Leszczyński

*Hoszów. Wnętrze cerkwi  
pw. Przemienienia Pańskiego*

W l. 1937-1939 do zewnętrznej ściany prezbiterium przybudowano nową kaplicę, której budowę zakończono w maju 1939 r. W l. 1937-38 rozbudowano budynek klasztoru, dobudowując do istniejących 16 pokoiów jeszcze 14 nowych pomieszczeń wg planów architekta Lwa Szelewicza. W 1938 r. doprowadzono na Jasną Górę prąd elektryczny. Od tego czasu nocą podświetlano krzyż na kopule cerkwi aby w uroczyste dni była z daleka widoczna.

Nadszedł tragiczny wrzesień 1939 r. Po 17 dniu tego miesiąca Hoszów wraz z całą Ziemią Stanisławowską znalazł się w radzieckiej strefie okupacyjnej. Funkcjonariusze NKWD z Bolechowa często nachodzili klasztor namawiając mnichów do porzucenia stanu zakonnego i podjęcia intratnych posad w ich instytucji dla dobra państwa sowieckiego. Miejscowy „Sielsowiet” zajął młyn, pole i las należący do klasztoru. Władze radzieckie myślały nawet o zamknięciu sanktuarium, ale obawiały się nieobliczalnych reakcji społeczeństwa i odstąpiły od swego zamiaru. Najazd Niemiec na ZSRR (22 czerwca 1941 r.) na kilka lat odsunął proces sowietyzacji świeżo zagarniętych terenów. W wyniku działań wojennych radziecko-niemieckich w lipcu 1944 r. cerkiew i klasztor uległy częściowemu uszkodzeniu. Wtedy też Hoszów wszedł definitywnie w granice ZSRR na całe 47 lat. Władze zabrały się z pełną energią do stworzenia z miejscowej ludności „nowoczesnego” społeczeństwa sowieckiego, czemu miała służyć m.in. jej ateizacja. Na interesującym nas terenie Galicji, gdzie ogromna większość ludności ukraińskiej była greckokatolicka, etapem do osiągnięcia tego celu było zniesienie unii kościelnej z Rzymem i wcielenie

jej wyznawców do Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego. Efekt ten osiągnięto na Synodzie Lwowskim w marcu 1946 r. Świątynie grekokatolickie automatycznie stały się prawosławnymi lub też zostały zamknięte dla kultu. Księża, którzy odmówili przejścia na prawosławie, pojechali na „wczas” do łagrów sowieckich. W tymże roku zmarł ostatni ihumen o. Sofroniusz Sokołowski. Pozostali w klasztorze mnisi odmówili przejścia na prawosławie. Wegetowali tak do 1951 r., kiedy to władze dokonały zamknięcia jego i cerkwi. W budynkach klasztoru urządzono dom dziecka, a cerkiew stała nieużytkowana. Kościół grekokatolicki na kilkadziesiąt lat zszedł do podziemia, z którego zaczął wychodzić dopiero w końcu lat 80-ch, w okresie gorbaczowskiej „pieriestrojki”. W 1990 r. cerkiew powróciła do grekokatolików, a w klasztorze na nowo zagospodarował się zakon Bazylianów. Sanktuarium powróciło do życia. We wrześniu 1998 r. cerkiew i klasztor były już odnowione. W świątyni brakowało jeszcze ikonostasu.

## 2. Opis sanktuarium

Centralną budowlą zespołu klasztoro-pielgrzymkowego hoszowskiej Jasnej Góry jest klasycystyczna cerkiew p.w. Przemienienia Pańskiego, zbudowana w l. 1834-1842 wg planów arch. Mozera. Rzut poziomy cerkwi ma kształt krzyża równoramiennego (zniekształconego przez późniejsze dobudowanie kaplicy do zewnętrznej ściany prezbiterium), którego środkowa część przechodzi w rotundę zakończoną łamanym dzwonowatym hełmem zwieńczonym wieżyczką z krzyżem. Ramiona krzyża tworzą: kruchta, prezbiterium i dwie kaplice boczne ustawione prostopadłe do nich. Nad drzwiami frontowymi żelazny balkon, na którym odprawiane są pontyfikalne nabożeństwa dla pątników podczas uroczystości odpustowych. Kaplice są niższe od prezbiterium i kruchty. Wszystkie one mają dwuspadowe dachy. Do zewnętrznej ściany prezbiterium przybudowana jest kaplica z osobnym wejściem od zewnątrz.

Wewnątrz ściany pomalowane są neobarokową polichromią z 1876 r. będącą przykładem malarstwa iluzjonistycznego. Na ścianie prezbiterium wymalowana jest kopia obrazu Matki Boskiej Hoszowskiej, przypominająca Czarną Madonnę z Częstochowy (oryginał zaginął). Piękny ikonostas z 1876 r. uległ zniszczeniu w trakcie gdy cerkiew była nieczynna i obecnie nie ma żadnej ściany oddzielającej prezbiterium od nawy. W lewej bocznej kaplicy nowe chorałowie i sztandary cerkiewne z pięknymi ukraińskimi haftami krzyżykowymi. Cerkiew tak wewnątrz, jak i na zewnątrz jest świeżo odnowiona łącznie ze wspomnianą wyżej iluzjonistyczną polichromią.

Do zewnętrznej ściany prezbiterium przybudowana jest kaplica z osobnym wejściem. Pochodzi z l. 1937-1939. Jej frontowa ściana zaokrąglona jest 4 filarami. Między filarami żelazne okna z kolorowymi szklami, wykonane przez ślusarza Iwana Hołowienkę. Wewnątrz freski wymalowane w lipcu 1939 r. przez Olgę i Wasyla Diadyniuków. Obok ośmioboczna, trójkondygnacyjna dzwonnica zakończona ośmiobocznym dzwonowatym hełmem. Dzwonnica została wybudowana wspólnie z cerkwią i klasztorrem.

Przy drodze prowadzącej ze wsi, na wysokości klasztoru, w pobliżu cerkwi figura Matki Boskiej nakryta blaszanym baldachimem. Stoi i przed nią pełno kwiatów i świecznik ze świeczkami, które przynoszą pielgrzymi.

## 3. Dzieje obrazu M. B. Hoszowskiej i jego kultu

Obraz Matki Boskiej Hoszowskiej namalowany był na płótnie. Przedstawiał kopię ikony M. B. Częstochowskiej w sukienkach i koronach. Nabył go w I poł. XVIII w. Andrzej Szugaj, właściciel wsi Chorobrowa w powiecie brzeżańskim i województwie tarnopolskim (wtedy ruskim z siedzibą we Lwowie). Gdy raz pojechał do Osławy na spotkanie z królewiczem Augustem (późniejszym królem polskim Augustem III) kupił tam dwa obrazy treści religijnej namalowane na płótnie. Jeden z nich podarował krewnemu swojej żony z Nastasowa (20 km na zachód od Tarnopola). Szybko zasłynął on cudami i został podarowany do kościoła w Nastasowie. Drugi ze wspomnianych wizerunków, będący kopią Czarnej Madonny z częstochowskiej Jasnej Góry, A. Szugaj zostawił dla siebie i umieścił w swoim dworku w Chorobrowej. W każdą sobotę przed ikoną paliła się lampka. Również i ona wkrótce zasłynęła łaskami. Podczas jego nieobecności w domu, córki przez nieostrożność podpaliły jego dworek. Cały obiekt spłonął, ocalała tylko ściana na której wisiał obraz, no i oczywiście sam maryjny malunek.

Gdy po śmierci Augusta II Mocnego nastąpiła na Podolu wojenna zawierucha, związana z zamieszkami spowodowanymi walką o tron między stronnikami Stanisława Leszczyńskiego i wojskami rosyjskimi popierającymi Augusta III, trzy córki A. Szugaja uciekły do Dunajewa, gdzie schroniły się w dworze Mikołaja Hoszowskiego. Mieszkały tam przez 5 tygodni i dopiero gdy w ich okolicach się uspokoiło wróciły do domu. Po ich wyjeździe żona M. Hoszowskiego znalazła skrzynię z obrazem M. B. Częstochowskiej, którą zapomniały zabrać ze sobą. Pokazała ją swojemu mężowi, a on bardzo się ucieszył, gdyż z dawna pragnął posiadać ten typ madonny. Zamówił dla niej ramę i umieścił w reprezentacyjnym pokoju swojego dworu. Zawiesił przed ikoną lampkę, która paliła się we wszystkie soboty. Szugajowie wprawdzie próbowali odzyskać obraz, ale M. Hoszowski ani myślał go zwracać, tak bardzo był do niego przywiązany.

W 1736 r. ściana, na której wisiał obraz zajaśniała niezmiernym światłem, a z oczów Matki Bożej zaczęły kapać łzy, a twarz Jej się pociła. Przed dwór Hoszowskich zaczęło przychodzić mnóstwo ludzi by przyjrzeć się cudownemu zjawisku. Po tym fakcie Mikołaj Hoszowski podarował obraz do kościoła rzymskokatolickiego w Dunajewie. Księża umieścili go jednak nie w kościele, lecz w jego zakrystii, tłumacząc to tym, że w jego wnętrzu znajdowały się już dwa czczone wizerunki – Pana Jezusa i M. B. Bolesnej. To rozwiązanie zdegustowało M. Hoszowskiego, który uważał że obraz zasługuje na to by znajdować się w kościele i odbierać należną mu cześć od szerokiej rzeszy wiernych. Zażądał on zwrotu cudownej ikony, którą postanowił oddać monasterowi oo. Bazylianów w Hoszowie (sam był unitą wywodzącym się ze szlachty bojkowskiej h. Sas).

W wigilię święta Przemienienia Pańskiego (wg starego stylu) 1737 r. zebrali się ludzie przed dworem Hoszowskich i stamtąd uroczystie w procesji przeniesiono ikonę do monasterskiej cerkwi w Hoszowie. Od tego czasu wzgórze z klasztorem i cerkwią zaczęto nazywać Jasną Górą Podkarpacką, a ikonę M. B. Hoszowską. Ikona w cerkwi posiadała zasłonę ze św. św. Piotrem i Pawłem i była odsłaniana podczas wszystkich nabożeństw. Na nowym miejscu dalej słynęła cudami. Tylko od 1737 r. do końca XVIII stulecia odnotowano 117 nadzwyczajnych łask.

W okresie międzywojennym hoszowska Jasna Góra była znanym i licznie uczęszczanym miejscem pielgrzymkowym.

Od uroczystości Zwiastowania NMP (7 kwietnia) do dnia Opieki NMP (14 października) przybywali na Jasną Górę pielgrzymi pojedynczo i grupowo na wszystkie święta Matki Boskiej i Pana Jezusa. Do 1919 r. na odpusty z okazji Zielonych Świątek i Zaśnięcia NMP (28 sierpnia) przybywali także pielgrzymi z Rusi Zakarpackiej, ale wytyczenie granicy polsko-czechosłowackiej ograniczyło ilość pielgrzymek z tamtych stron.

W końcu lat 30-ch XX w. na Jasną Górę przychodziły pielgrzymki z okolic Brzeżan, Bóbrki, Borszczowa, Brodów, Buczacza, Horodenki, Dobromiła, Doliny, Drohobycza, Żydaczowa, Żółkwi, Zaleszczyk, Złoczowa, Kałusza, Kołomyży, Kosowa, Leska, Lwowa, Mikołajowa nad Dniestrem, Nadwórnej, Przemyślan, Rohatyni, Sambora, Śniatyna, Sokala, Stanisławowa, Stryja, Trembowli, Tarnopola, Tłumacza, Przemyśla, Rawy Ruskiej, Turki, Chodorowa, Czortkowa i Jarosławia. Pierwsze piesze pielgrzymki przychodziły na odpust św. Jerzego (6 maja wg starego stylu), a ostatnie w dniu Podwyższenia św. Krzyża (27 września), a w pogodną i ciepłą jesień jeszcze na święto Opieki NMP (14 września).

W Roku Jubileuszowym (1937 r.) 200-lecia obecności obrazu M. B. Hoszowskiej na Jasnej Górze 50 pociągów przywiozło kilkadziesiąt tysięcy pielgrzymów z odległych stron. Niektóre pielgrzymki przyszły pieszo z odległości ponad 300 km. Na zakończenie Roku Jubileuszowego (Za-

śnięcie NMP, 28 sierpnia) przybyło ponad 21000 pielgrzymów. W tym dniu grekokatolicki sufragan lwowski, bp Iwan Buczko poświęcił sztandar jubileuszowy z wyhaftowanym wizerunkiem M. B. Hoszowskiej ufundowany przez 80-letniego Hucula z Jablonicy (pogranicze Czarnohory i Gorganów). W okresie Roku Jubileuszowego na Jasną Górę przybyło przynajmniej 350 000 pielgrzymów.

25 września 1939 r. (pierwsza okupacja sowiecka) mnisi schowali oryginał obrazu M. B. Hoszowskiej, a w jego miejscu umieścili kopię. W okresie pierwszej okupacji sowieckiej na Jasną Górę przychodziły małe grupki pielgrzymów z Pogorza Wschodnich Karpat, okolic Stryja i naddniestrzańskich rejonów powiatu żydaczowskiego.

W czasie działań wojennych w lipcu 1944 r. obraz M. B. Hoszowskiej zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach i dotąd nie został odnaleziony.

Przyszła ciemna noc ponownej okupacji sowieckiej, trwającej tym razem kilkadziesiąt lat. W 1951 r. cerkiew wraz z klasztorem zostały zamknięte i w ten sposób sanktuarium straciło swój żywot aż do 1990 r., kiedy to zostało przywrócone do kultu. Przeprowadzony w ostatnich latach remont wrócił mu dawny blask.

Hoszowska Jasna Góra jest dziś głównym sanktuarium regionu bojkowskiego, tak jak dla Łemków rolę takiej Częstochowy pełni Góra Jawor nad Wysową w Beskidzie Niskim. □

## Żwaniec

Opracował Marek Rogalski



Fot. M.R.

### Żwaniec

Właścicielem miasta i fundatorem kościoła ormiańskiego pw. Niepokalanego Poczęcia Najś. Marii Panny był Wawrzyniec Lanckoroński herbu Zadora. Rok powstania kościoła to 1740. Przez cały wiek XVI-XVII trwała staraniem gmin ormiańskich odbudowa starych i wzniesienie nowych świątyń, rzadko nawiązywane kształtem do sakralnego budownictwa samej Armenii, a częściej wzorowane na świątyniach Ormian krymskich (m.in. kościoły św. Jana Chryzostoma i św. Jana Chrzciciela w Kaffie z XIV w.) oraz w cerkwiach mokławskich (świątynia Oksenta w klasztorze Zamca w Suczawie 1570.)

W 2-giej połowie XVII w. duchowieństwo ormiańskie, po długotrwałym oporze, przyjęło unię z Kościołem rzym-



Fot. M.R.

### Żwaniec. Ruiny Zamku

skim (1666 r.) zaś wojna i turecka okupacja Podola (1672-99) doprowadziła do niemal całkowitego zniszczenia ormiańskich świątyń.

– Wiek XVIII, to wznoszenie nowych kościołów dla zreformowanego obrządku ormiańsko-katolickiego (właśnie kościół w Żwanecu), czwarty już kościół św. Mikołaja w Kamieńcu 1756-67, kościół w Mohylewie 1772 r., kościół w Raszkowie 1786 r. Ich fundatorami byli głównie polscy magnaci – Lanckorońscy, Potoccy, Lubomirscy, a rzadziej ormiańskie wspólnoty i duchowieństwo (np. Szymon Krzysztofowicz w Mohylewie). Zarówno wyposażenie, jak i wygląd zewnętrzny, świątynie ormiańskie upodobiły się do późno-barokowych kościołów łacińskich. Najbardziej widocznym wyznacznikiem ich okcydentalizacji stały się 2-wieżowe fasady kościołów – Żwańca, Mohylowa, Raszkowa.

W 1810 r. Rosjanie utworzyli w Mohylewie biskupstwo ormiańsko-katolickie, jednak ze względu na niewielką ilość



Żwaniec

Fot. M.R.

wiernych i ich polonizację, zostało ono zlikwidowane w 1855 r., a kościoły przeszły pod zwierzchnictwo łacińskiego biskupa Kamieńca i to był kres budownictwa sakralnego Ormian na Podolu.

Kościół w Żwancu (1740 r.) został przebudowany w la-

tach 1782-86. Posiadał 2 wieże – dzwonnice, 3-kondygnacyjne, a jego główną ozdobą była ustawiona na cokole między wieżami – miedziana, połączona figura jego patronki – MB. Immaculaty, odlana w Gdańsku. Po drugiej wojnie światowej górne partie wież zostały rozebrane. Dopiero w 1994 roku prowizorycznie zrekonstruowano ich drugą kondygnację.

Kościół ten, w swej formie architektonicznej, jest bardzo podobny do kościoła w Mohylewie Podolskim, który był dziełem Jana de Witte (patrz kościół Dominikanów we Lwowie), a powstał w latach 1772-91. Hipotetycznie, można więc przypisać temu architekcie i kościół w Żwancu.

Kościół jest budowlą jednonawową, z płytkim pseudo-transeptem i prezbiterium zamkniętym od środka odcinkowo, a na zewnątrz eliptycznie. Wnętrze świątyni zdobią płyciny i pilastry zakrepowane w belkowaniu. Nawa i prezbiterium nakryte są kolebką z lunetami, które wsparto na wolutowych konsolach z rokokowym ornamentem. Ołtarz główny – podobnie jak w Kamieńcu i Mohylewie ozdobiony kolumnami – był poświęcony Niepokalanie Poczętej Najśw. Marii Pannie. Na ołtarzach bocznych umieszczono wizerunki św. Kajetana, św. Padewskiego, św. Grzegorza Oświeciela, śś. Apostołów Tadeusza i Bartłomieja oraz Ukrzyżowania Chrystusa. Podłoga kościoła była wyłożona płytami nagrobnymi, z których jedna zachowała się do dziś na ścianie przedsionka. Wykuty na płycie napis ormiański głosi: „Oto kamień nagroby Pana Jakuba z Bysta, z rodu Charib-Szacha zwanego synem Nazara, przeszedł do wieczności w roku 1205 = 1756, dwudziestego trzeciego kwietnia. Przechodniu wspomnij jego duszę.”

– O dobry rzut kamieniem, po drugiej stronie szosy przecinającej obecną wieś – Żwaniec, koło Kamieńca Podolskiego, płynie Dniestr, a tuż nad nim, na wzgórzu (lewy brzeg) czujnie spoziera na zupełnie płaski prawy brzeg, hen w dal – ZAMEK, od XV wieku królujący tym okolicom. Był on w XVI i XVII wieku rozbudowany i ufortyfikowany, a zachowane do dziś ruiny dwóch baszt świadczą o jego dawnej świetności, obrony POLSKICH KRESÓW. □

Alfred Janicki

## Opowiadania Mamy...

W poprzednim opowiadaniu najbardziej utkwil nam w pamięci problem budowy kościoła w Ostrowczyku. Został on pobudowany na wzgórzu. Tym sposobem swoimi jasnymi murami (z jasnego miejscowego kamienia) rozjaśniał całą dolinę Seretu. Można powiedzieć, że był naszą polską latarnią. Jego wieżyczny krzyż świecił w słońcu dla Polaków katolików w Ruzdwanach, Zubowie, Zaścianoczu, na Kapturach, aż po Małów. Po budowie kościoła, następnym ważnym wydarzeniem ważnym w życiu ludzi w tej części doliny Seretu była budowa z Tarnopola do Kopiczyniec przez Trembowłę. Równoległe z tym budowano koszarzy dla piechoty. Wzrosło zapotrzebowanie na siłę roboczą. W ostatnich więc latach XIX wieku zabrakło ludzi do pracy. Zaczęto więc ściągać obcokrajowców (pojawili się całe gromady Italianów, Mazurów jak też Kacabów). Italianie wykonywali szereg prac w kamieniołomach, Mazurzy pracowali przy pracach ziemnych. Patrzyliśmy na innowacje w transporcie – całe masy kamieni i ziemi przewozić zaczęto wózkami po uprzednio rozłożonych wąskich szynach. Zaniechano w do-

tychczasowym transporcie wykorzystanie wozu konnego. Nie było praktycznie domu, żeby ktoś nie znalazł sobie zarobkowania przy kolei, czy koszarach. Zarobione pieniądze zwykle służyły na uzupełnienie rodzinnej kiesy. Już w 1897 roku w nowych koszarach pojawiła się cesarska piechota (jegry), były to bardzo ciekawe czasy. Zaczynają między sobą „rywalizować” obie nacje narodowe, Polacy i Rusini. Był to zresztą wynik polityki cesarstwa austriackiego od czasów upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej (już po 1772 roku starano się wywoływać niesnaski między ludźmi zamieszkującymi Galicję na tle religijnym, m.in. np. przez powołanie oddzielnego seminarium dla alumnów obrządku grecko-katolickiego „Barbareum” itp.). W zgodnym życiu ludu zarysowały się szczeliny, które po latach doprowadziły do tragedii nieodwracalnej.

W Trembowli w roku 1900 została założona Polska Czytelnia Towarzystwa Szkoły Ludowej. Początkowo wypożyczono książki dla mieszkańców Trembowli, aby jednak ruch czytelniczy rozwijał się działacze Towarzystwa poszli w „teren”. Pod koniec 1902 roku po jednym z nabożeństw w Ostrowczyku ksiądz zapowiedział, że w godzinach popołudniowych zostanie otwarta w Zaścianoczu polska biblioteka.



Należy się zgłaszać do domu Franciszka Janickiego. Ksiądz prosił wiernych o liczne uczestnictwo w tym wydaniu. Na oczach wielu mieszkańców Zaścianocza pojechali pod dom Janickiego furmanki chłopskie z „panami” i księdzem Korzeniowskim. Wszyscy przyjechali z Trembowli. Chłopi pozosili do mieszkania Janickiego paczki z książkami i gazetami.

Gospodarz domu jak mógł najpiękniej, powitał gości a w ich imieniu, na schodkach ganku, przemówił ksiądz Korzeniowski. Podkreślał znaczenie czytelnictwa dla ludzi w ogóle, a dla Polaków w poznaniu swojej historii. Od tego czasu zbierali się w domach, tych którzy umieli czytać.

W pierwszym rzędzie czytano gazety i bajki. Gazety i krótkie jakieś opowiadania czytano u Janickiego, większe książki w domach. Wieś Zaścianocze zyskała rozgłos (nie było jeszcze szkoły, a czytelnia funkcjonowała). U Janickiego odbywały się teraz zebrania wiejskie, na których Pan z powiatu mówił do chłopów po polsku. Wielu wieśniaków zaczęło się przechwalać tym, że mają dyplomy szlacheckie, że nigdy nie odrabiali pańszczyzny, że znają język polski (Boże, cóż to była za polszczyzna), ale po przeczytaniu książki czy gazety starano się używać nowych słów, często dotychczas nie używanych. „Panowie” z miasta (Trembowli) obdarzali wyraźnym szacunkiem szlachtę z Zaścianoczy. Po kilku tygodniach od otwarcia czytelnicy znów po niedzielnym nabożeństwie ksiądz zapowiedział, że dziś do czytelnicy przyjdą bardzo dostojni goście, a mianowicie: pan Franciszek Stefczyk i ksiądz Korzeniowski w asyście wielu „panów” z Trembowli. Celem ich przyjazdu jest założenie Kasy. W godzinach popołudniowych przybyło do Czytelnicy wielu mieszkańców Zaścianocza. Większość z nich została. Janicki prosił, aby nie robić użytku z „kapszuków” (woreczek z pęcherza świńskiego, przeznaczony na przechowywanie tytoniu). Po przemówieniach określających cele i korzyści płynących z istnienia Kasy rozpoczęto zapisy i przyjmowanie udziałów. Deklaracje i wkłady składali wszyscy tj. Polacy i Rusini. Po kilku godzinach, gdy zakończono zapisy i przyjmowanie wkładów, przystąpiono do wyboru Zarządu Kasy i kasjera. Zarząd składał się z samych Polaków, kasjerem został też Polak. Takie decyzje spowodowały natychmiastową reakcję Rusinów. Reakcja ta poszła w pierwszym rzędzie w kierunku zorganizowania jeszcze w tym samym roku czytelnicy ruskiej w Zaścianoczu. Na domie Daniela Rudeckiego pojawił się duży napis na sino-żółtym tle: Czytelnia Proświty w Zaścianoczu. Teraz też nastąpiło „przyzierze” szlachty ruskiej z chłopstwem. Ci pierwsi przestali przyznawać się do stanu szlacheckiego (Czajkowscy, Iwanicy, Jaworscy, Kulikowscy, Witwiccy). Rusini przestali przychodzić do czytelnicy Janickiego. Rozpoczęli Rusini starania o założenie swojej ruskiej Kasy. Dotychczasowa Kasa Janickiego (jak ją popularnie nazywano) obejmowała swym zasięgiem wioski: Ostrowczy, Zaścianocze, Zubów i Słobudkę Strusowską. Władze w Trembowli nie zezwalały na otwarcie drugiej. Upór Rusinów zwyciężył. Założono w Ostrowczyku rusińską Kasę pod nazwą: „Własna Pomicz”. W polskiej czytelnicy rozpoczęło się zbliżenie polskiej szlachty z polskim chłopstwem (Bieganowscy, Kozłowscy, Karasnodębscy, Łomniccy, Janiccy, Szczygielscy). Przestaje być ważne pochodzenie. Podział, który się zarysował, dotyczył układu Polak-Rusin. Polacy mocno trzymali się swojej czytelnicy, a Rusini swojej. Między nimi dochodziło do sporów: która gazeta pisze prawdę – polska czy Rusinów. W wojnie rosyjsko-japońskiej Rosjanie ponosili klęski – Rusini w swo-

ich gazetach twierdzili, że polskie gazety nie piszą prawdy, gdyż Polacy nie są życzliwi Rosjanom.

O czytelnicy w Zaścianoczu wujek Gałoński ma następujące wspomnienie: „W jednej z polskich gazet przeczytałem jak na owe czasy bardzo ciekawą wiadomość: oto pewnej niedzieli odbywał się zlot Sokoli we Lwowie, w parku Stryjskim. Tu na popisach Sokolich zgromadziło się wiele publiczności. Była tam też młoda kobieta trzymająca za rękę chłopczyka i przypatrywała się popisom. Nagle chłopczyk wyrwał swą rękę z ręki mamusi i pokazując Sokolów zapytał: Mamusiu! Czy to takie wojsko Polskie? Na te słowa rozrzewniona matusia odpowiedziała: Och syneczku mój kochany! Jaka bym była szczęśliwa, gdybym ja mogła doczekać się chwili, kiedy mogłabym zobaczyć Wojsko Polskie! A syneczka za to obdarzyła pocałunkiem.” Artykuł ten musiał wyrwać na ówczesnych duże wrażenie skoro Wujek uwiecznił jego główną myśl w swoich pamiętnikach (w rękę autora).

Innym problemem ludności wiejskiej była sprawa szkoły. Czytelnia już jest, a szkoły nie ma. Do tej pory nauka czytania prowadzona była w domach prywatnych. Początkowo naukę w okresie jesienno-zimowym prowadził murarz z Trembowli (zimową porą nie miał innej pracy). Gospodarze ugodzili się z nim, że dostanie on wikt, mieszkanie i po 10 grajcarów tygodniowo od ucznia. Zajęcia trwały od rana do zmierzchu z przerwą na obiad. Początkowo naukę pobierało 11 Rusinów i 1 Polak (F. Gałoński). Kiedy zimą wcześniej zapadał zmrok wówczas w półmroku nauczyciel uczył do znużenia śpiewu. Siedziba szkoły zmieniała się w każdym tygodniu. Pewnego razu (a nauka odbywała się w domu Rusina Kulikowskiego) nauczyciel kazał uczniom zaśpiewać już nieźle wyćwiczoną pieśń:

*„Żegnam cię mój świecie wesoly  
Już idę śmiertelnik w popioły  
Rwie się życia przedza.  
Czas mnie w grób zapędza,  
Bije ostatnia godzina.”*

Nie spodobała się ta pieśń Kulikowskiemu i grzecznie poprosił nauczyciela, aby ten raczył uczyć chłopów koled, gdyż z tego będzie większy pożytek. Sam Kulikowski zaśpiewał: „w żłobie leży, któż pobieży, koledować Małemu...” Oczywiście w przyszłości nauczyciel dostosował się do tego życzenia. Dlaczego Kulikowski tak uczynił tego nikt nie wiedział (były przecież koledy ruskie, a ich nie zalecał uczyć). Generalnie jednak mieszkańcy z wójtem bronili się przed decyzją budowania szkoły. Starostwo trembowelskie naciskało. Mieszkańcy twierdzili, że nie udźwigną takiego ciężaru. Władze jednak znalazły sposób na przymuszenie i wójta i mieszkańców. Kiedy pewnego razu ludzie szli do prac żniwnych, zobaczyli, że przy domu wójta, na ławeczce, spokojnie siedział ogólnie znany egzekutor o nazwisku Łupyryba. Na głowie miał urzędową czapkę, ze świecącym w słońcu austriackim bączkiem. Twarz jego była niesłychanie spokojna, do nikogo nie odzywał się. Ludzie dowiedzieli się, że Łupyryba będzie tak długo siedział, aż Gmina z wójtem zdecydują się na budowę szkoły. Póki co, trzeba było Łupyrybie z kasy gminnej wypłacać po 5 koron dziennie kosztów egzekucyjnych. Rada Gminy złamała się i podjęła decyzję o otwarciu szkoły. Wypłacono egzekutorowi należne koszty, ten spokojnie udał się do Trembowli, a we wrześniu przybył do Zaścianocza nauczyciel Andrzej Michalski. Przydzielono mu niewielką chałupkę z 2 izbami (jedna jako mieszkanie dla nauczyciela, a druga miała być salą lekcyj-

na). Ksiądz z ambony ogłosił konieczność zapisów dzieci do szkoły. Dzieci chłopskie zostały objęte obowiązkiem uczenia się. W przypadku odmowy posyłania dziecka do szkoły, groziła grzywna w wysokości 5 koron. Na to nie mógł sobie pozwolić żaden wieśniak. We wszystkich okolicznych wioskach językiem wykładowym w szkołach był język ruski. Machalski był zdecydowanym Polakiem. Na spotkaniu z członkami Rady Gminy w Zaścianoczu potrafił przekonać jej członków do języka polskiego. Mimo, że w niej większość stanowili Rusini. Fakt ten komentowany był w całym powiecie trembowelskim. Był to rok 1904! W krótkim czasie nauczyciela Andrzeja Machalskiego polubili wszyscy (i Rusini i Polacy), szczególnie za wychowanie dzieci w szacunku do ludzi starszych.

Dzięki jego staraniom po dziesięciu latach pobudowano we wsi typowy szkolny budynek. Zamiast jednak wprowadzić dzieci do szkoły, zakwaterowali w niej rosyjscy żołnierze, a Andrzej Machalski poszedł na front i słuch o Nim zaginął. (Pozostała jednak w pamięci jego uczniów: pasja, łagodny uśmiech i życzliwość). Pierwsze lata naszego wieku zaznaczyły się wzrostem odrębności narodowych zarówno Polaków jak i Rusinów. Odbywało się to jednak z pełną tolerancją obu „stron”. W roku 1906 zostało otwarte w Trembowli Prywatne Polskie Gimnazjum (stało się ono zaczątkiem wspaniałego Gimnazjum, które w odrodzonej Rzeczypospolitej promieniowało kulturą polską w całym regionie – do tego Gimnazjum chodził Kazik Janicki, Bronisław i Kazimierz Gałońscy, mój ojciec Bronisław). Rok wcześniej tj. w 1905 roku oddano do użytku Dom Polski w Plabanowce (2 km od Trembowli).

Podane wydarzenia były inspirowane z Trembowli, a propagowane na wsiach przez szlachtę obu obrządków religijnych, lub bogate chłopstwo. Najważniejszą jednak rolę odgrywało duchowieństwo (również obu obrządków).

Oprócz ludzi wykształconych, czy „szlachetnie urodzonych”, czy księży zdarzało się, że na świadomość chłopów wpływali niejednokrotnie ludzie o których nie wiadano skąd pochodzą i kim są naprawdę, ale cieszący się szacunkiem. W latach o których piszę zarówno w Ostrowczyku jak i w Zaścianoczu znany wszystkim był szewc o nazwisku Bobowski. Był bardzo dobrym szewcem, potrafił zrobić buty dla biedaka i dla bogatego. Był jednak biednym człowiekiem. Był pijakiem. W karczmie wokół Bobowskiego gromadziło się zawsze dużo słuchaczy – chłopów. Od niego mogli usłyszeć o powstaniu Polaków przeciw carowi rosyjskiemu, o tym, jak on Bobowski walczył. W trakcie swych opowiadań często mówił po polsku co prowadziło do „rozdziawiania” gęby

chłopskiej z podziwu dla powstańca. Bywało, że śpiewał po polsku

*„Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy,  
Jeszcze wódka nie skwaśniała, póki my pijemy.  
Marsz, marsz Dąbrowski”*

Śpiewano czasem taką pieśń „patriotyczną” z wiarą, że tak powinno być. Inną często słyszaną pieśnią w miejscowej było brzmienie polskie:

*„Pomaleńku koło ściany, bo ten spancer pożyczany  
I kapelusz nie mój własny, bo na moją głowę ciasny”*

Tenże Bobowski, będąc podpitym w karczmie podniósł się z ławy i oznajmił wszystkim zebranym, że Rusini mają czarne podniebienia. Podobno w karczmie zakotłowało się. Chłopi Rusini rzucili się na Bobowskiego, chłopci Polacy stanęli w jego obronie. Bobowskiego uratował Żyd – karczmarz. To wydarzenie obiegło szybko okoliczne wioski i wycisnęło duże piętno na stosunkowo między Rusinami i Polakami. Wszyscy wiedzieli, że są to słowa pijaka, ale czasem w kłótni między sąsiadami stwierdzenie Bobowskiego funkcjonowało. Bobowski ożenił się z młodą Rusinką. On coś zarobił na szewstwie, ona młoda i silna, prowadziła całe gospodarstwo. Bobowski zmarł. Nie stać było biedną wdowę na sprowadzenie do Zaścianocza polskiego księdza z Trembowli. Poszła do księdza ruskiego. Ojciec Wolański urządził pogrzeb Bobowskiemu tak piękny, że dotychczas cerkiew tak wspaniałego pogrzebu nie widziała. Dlaczego? Ojciec Wolański o tym nie powiedział. Na jakiś czas pogrzeb ten uspokoił nienaski między Rusinami i Polakami w Zaścianoczu.

Rozważania o przełomie wieków zakończę opisem roli, jaką wspomniany Otec Wolański odegrał w roku 1907, w czasie wyborów do parlamentu monarchii austriackiej wg nowej ordynacji. Pierwszy raz obywatele Cesarstwa mieli oddawać swe głosy bezpośrednio na kandydata. Głosowali ci, którzy ukończyli 24 rok życia. Kandydatem Rusinów był Kolesa. Otec Wolański był często na zebraniach i wiecach na których wzywał do głosowania na Kolesę. Mówił o ruskiej krzywdzie, o wielu nieprawościach panów polskich, o nieprawościach polskich „prowodyrów”. Polskim kandydatem był Jan Socha. Akcją propagandową kierował nauczyciel Machalski. Kandydatem Żydów był Artur Mahler. Lokalnym wyborczy był w Ruzdwanach. W pierwszej turze wyborów Rusini wprowadzili swego kandydata. Polacy i Żydzi nie zdołali tego uczynić. Po tygodniu odbyły się wybory uzupełniające. Polacy wierzyli, że polskiego kandydata (jako chrześcijanie) poprą Rusini. Stało się inaczej! Otec Wolański agitował za Mahlerem. Z ambony wołał do wiernych: „Mahler, Mahler, Mahler! Pamiętajcie!”. Wygrał Mahler. □

Tadeusz Kukiz

## Z dziejów Ziemi Radziechowskiej

Zbierając materiały do dziejów Ziemi Radziechowskiej wiele uwagi poświęcam pochodzącym stamtąd ludziom, zwłaszcza tym, którzy przekroczyli próg przeciętności. Dawni mieszkańcy powiatu radziechowskiego na ogół wiedzą, że w Łopatynie spoczywa generał Józef Dwernicki i że w Pawłowie tworzył i jest pochowany autor „Chorału” Kornel Ujejski; już zapewne mniej osób będzie wiedziało, że w Dmytrowie urodził się wybitny poeta i prozaik, Józef Wittlin. A to tylko paru spośród

wielu stamtąd, którzy zaznaczyli się na różnych polach działalności.

### O Łopatynie i ludziach stamtąd

Pierwsza wzmianka o osadzie pochodzi z 1366 r., kiedy to po kolejnej wyprawie Kazimierza Wielkiego na Ruś, Łopatyn – wraz z innymi grodami ziemi bełskiej – został włączony do Korony Polskiej. Wiele zawdzięczał księciu mazowieckiemu Siemowitowi IV, któremu Władysław Jagiełło



*Zabytkowy kościół w Łopatynie (przed 1911 r.),  
zbudowany w r. 1782, w którym odbyły się 26 XI  
1857 r. nabożeństwa żałobne po śmierci Dwernickiego*

ziemię oddał w lenno. Książę uposażył rzymskokatolicką parafię, ustanowioną w Łopatynie w 1413 r. i ufundował drewniany kościół. To do tego kościoła w 1756 r. trafiła kopia jasnogórskiego wizerunku przywieziona z Częstochowy. Obraz ten, uznany wkrótce za cudowny i zwany Matką Boską Łopatynską, znajduje się obecnie w kościele parafialnym w Wójcicach koło Otmuchowa, dokąd po drugiej wojnie światowej przywiózł go ostatni proboszcz ks. Franciszek Byra i gdzie osiedliła się większość Polaków z Łopatyna.

Spośród kolejnych dziedziców Łopatyna – Oleśnickich, Sobieskich, Cetnerów, Mniszchów i Chołoniewskich – najtrwalszy ślad pozostał po tych ostatnich: piękna barokowa świątynia z 1782 r., wzorowana na kościele z podlwowskiej Hodowicy, projektowanym przez znakomitego architekta Bernarda Meretyna. Polichromię świątyni wykonał Stanisław Stroiński, twórca malowideł m.in. w kościołach Lwowa, Tarnopola i Przemyśla, a jej wystrój rzeźbiarski (poza krucyfiksem autorstwa Pinsla) przypisywany jest Franciszkowi Olędzkiemu.

Po wojnie kościół, zamieniony na magazyn materiałów budowlanych, uległ dewastacji, a jego wyposażenie rozgrabiono bądź zniszczono (np. ponadnaturalnej wielkości rzeźby świętych porżnięto piłą i spalono). Toteż, kiedy w roku 1990 przekazany został wiernym, tylko dzięki wydatnej pomocy dawnych i obecnych mieszkańców, ich wsparciu finansowemu, a także jednorazowej dotacji PHZ „PolSERVICE” w Warszawie, można było doprowadzić go do stanu umożliwiającego odprowadzanie nabożeństw. 16 czerwca 1991 r. odbyła się uroczystość rekuncji kościoła, której dokonał ks. bp Władysław Kiernicki.

\*\*\*

Na cmentarzu zachował się grób i pomnik generała Józefa Dwernickiego, który w ostatnich latach życia przyjeżdżał do Łopatyna na zaproszenie ówczesnego właściciela dóbr Adama hr. Zamoyskiego i tam w roku 1857 zmarł. Leżącą na grobie płytę z lakonicznym napisem „Józef Dwernicki – Jenerał wojsk polskich +1857” położyła rodzina, a stojący obok okazały kamienny pomnik, prawdopodobnie dłuta lwowskiego rzeźbiarza Pawła Eutelego, ufundowali towarzysze broni. Pomnik ma postać sarkofagu, na którym artysta umieścił w kamieniu wykute, przykryte częściowo draperią – armatnią lufę oraz urnę zwieńczoną girlandą z dębowych liści i czapką konfederatką. Dominującym jednak akcentem pomnika jest, wsparty o te atrybuty, lew – symbol siły i odwagi; pomnik opatrzony jest obszerną inskrypcją.

W roku 1911, z inicjatywy i staraniem Oddziału Konnego „Sokoła Macierzy” we Lwowie, pomnik odnowiono i wraz z nagrobną płytą otoczono żelaznym, stylowym ogrodzeniem, którego naroża stanowiły słupy imitujące lufy armatnie (z nazwami zwycięskich bitew generała), a sztachety miały kształt kawaleryjskich lanc. Odnowiony pomnik poświęcił ks. bp Władysław Bandurski (poświęcił też wówczas kamień węgielny pod stojący do dziś budynek „Sokoła”). Obecnie ogrodzenia tego już nie ma; w 1989 r. dwóch ukraińskich historyków zdemontowało je celem renowacji i przewiozło do Łucka (narożne słupy pozostawiono); zabrane ogrodzenie do dziś nie powróciło.

Na cmentarzu znajdują się również kwatera i pomnik Żołnierzy Polskich poległych w walce z konarmią Budionnego w 1920 r. Z inicjatywy i staraniem autora pomnik – dzięki dotacji Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie – został odnowiony; 9 lipca 1995 r., w przededniu 75. rocznicy bitwy o Łopatyn, odbyła się uroczystość poświęcenia odnowionego pomnika. Wzięli w niej udział m.in. bp Marcjjan Trofimiak, konsul polski ze Lwowa Tomasz M. Leoniuk i sekretarz generalny ROPWiM Andrzej Przewoźnik. Zachował się również pomnik upamiętniający zniesienie pańszczyzny w 1848 r.

\*\*\*

W łopatynskiej nadwornej orkiestrze Ksawerego Chołoniewskiego w początkach swej kariery grał sławny skrzypek i kompozytor Karol Lipiński (1790-1861); był tam wiolonczelistą i stąd sugestia, że siła nabyta przy smyczku wiolonczelowym stała się podstawą głębokiego tonu jego gry na skrzypcach, z której tak słynął później w Europie.

Ciekawą postacią, o szerokich zainteresowaniach, był Julian Horoszkiewicz, urodzony w Łopatynie w 1816 r. W młodości konspirator, działacz społeczny i niepodległościowy, więzień Kufsteinu, później wieloletni sekretarz osobisty księcia Leona Sapiehy, pisarz i pamiętnikarz.

Horoszkiewicz był autorem wierszy, odezw, wielu prac o tematyce społecznej, gospodarczej, muzycznej i historycznej – z położeniem nacisku na ich stronę dydaktyczną – oraz wspomnień, pt. „Notatki z życia”, w których znaleźć można wiele informacji o Łopatynie i jego mieszkańcach w pierwszej połowie XIX w.

Mnie osobiście szczególnie poruszyła dedykacja Horoszkiewicza zamieszczona w jego książce „Listy o rzeczach publicznych dla ludu”, część I i II (Lwów 1865 i 1868 r.):

*„Adamowi Kochańskiemu, szewcowi  
Franciszce Marcichowskiemu, kowalowi  
Ignacemu Muszyńskiemu, kowalowi  
Karolowi Pajęczkowskiemu, rolnikowi  
Kolegom swoim szkoły Łopatynskiej  
poświęca Autor”*



*Julian Horoszkiewicz. Fotografia z czasu około 1890 r.*

Nieczęsto się zdarza, by człowiek, który wybił się ponad przeciętność, dawał publicznie wyraz przywiązaniu do swych dawnych kolegów z niższych warstw społecznych.

\*\*\*



Henryk Strzelecki

nej puszczy (dziś określilibyśmy to jako działanie proekologiczne).

Owoce pobytu Strzeleckiego w Łopatynie była m.in. publikacja pt. „Opisanie lasów łopatyńskich”, ogłoszona w 1857 r. Szeroko znane wysokie kwalifikacje zawodowe Henryka Strzeleckiego spowodowały, że ksiądz Leon Sapieha powierzył mu posadę dyrektora w swoich dobrach leśnych w Krasiczynie. Potem, w latach 1874-1892, był dyrektorem Krajowej Szkoły Gospodarstwa Lasowego we Lwowie; był też założycielem i honorowym wiceprezesem Galicyjskiego Towarzystwa Leśnego.

\*\*\*



Felicja z Wasilewskich Boberska

W podłopatyńskiej wsi Rudenko Lackie w ostatnich pięciu latach przed śmiercią (zmarła w 1889 r.), mieszkała Felicja z Wasilewskich Boberska. Większość życia spędziła we Lwowie, gdzie utworzyła pierwszy w tym mieście nowoczesnie prowadzony zakład wychowawczy dla dziewcząt i przez długie lata nim kierowała. Była m.in. autorką szkiców biograficznych literatów i znanych postaci historycznych, a za działalność niepodległościową podczas powstania styczniowego, więziona.

We lwowskim kościele Karmelitów znajduje się okazałe epitafium, ufundowane przez jej wychowanki. Przed paroma laty obecni użytkownicy kościoła, grekokatolicy mnisi Studyci, tablicę inskrypcyjną zamalowali (jest teraz nieczytel-

na), a na płaskorzeźbie zawiesili obraz „Ostatnia Wieczera”. Fakt takiego potraktowania epitafium dziwi tym bardziej, że – jak można dowiedzieć się z życiorysu Boberskiej – „nie robiła [ona] nigdy różnicy między Rusinami (Ukraińcami – T.K.) a Polakami – byli to dla niej zarówno bracia, dzieci jednej drogiej ziemi”. Zdumiewa jeszcze bardziej, gdy się przypomni, że autor epitafium Stanisław R. Lewandowski, jest również twórcą pomnika wzniesionego na grobie ukraińskiego pisarza i publicyisty Wołodymyra Barwińskiego. Zdaniem prof. Stanisława S. Niciei jest to „jeden z najpiękniejszych pomników” na Łyczakowie i, jak pisze, „prasa ukraińska przyjęła go entuzjastycznie”. Może lwowscy Studyci o tym nie wiedzą? A jeśli wiedzą, to czym się kierują, zacierając polskie ślady?

\*\*\*

Urodzony w 1903 r. w Łopatynie Henryk Stamiński (do drugiej wojny światowej nazywał się Ferdynand Stättner) był pierwszym, który podjął się opracowania dziejów tej miejscowości. Z zamiarem tym nosił się już we wczesnych latach 20., kiedy jeszcze uczęszczał do gimnazjum w Kamionce Strumiłowej; stale też przypominał mu o tym łopatyński proboszcz ks. Bernard Szafryński, udostępniając materiały z parafialnego archiwum. Jednak pracę nad historią Łopatyna rozpoczął Stamiński dopiero w latach 30., po ukończeniu we Lwowie studiów historycznych i geograficznych. Nie mając dostatecznych środków na publikację dzieła w całości, wydawał je w zeszytach pt. „Echa dawnej Łopatyńszczyzny”. Pierwszy, omawiający historię Łopatyna od pradziejów do XIV w., ukazał się w 1935 r. i jest dostępny tylko w kilku największych bibliotekach kraju. Z nakładu drugiego zeszytu miały, według autora, ocaleć z pożogi wojennej tylko dwa egzemplarze, ale i te później zaginęły. W pierwszym okresie po wojnie opracował jeszcze dzieje kościoła łopatyńskiego w latach 1414-1787. W następnych latach podjął już inną tematykę historyczną, związaną z nowym miejscem zamieszkania (Nowy Sącz), lata PRL nie sprzyjały bowiem pisaniu o Kresach. Nic więc dziwnego, że materiały przejęte niegdyś z archiwum parafialnego w Łopatynie Stamiński przekazał Bibliotece Ossolineum. Po śmierci (w 1977 r.) część spuścizny po nim rodzina przekazała Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Nowym Sączu.

Pracując jako nauczyciel geografii w gimnazjach Brzeżan i Nowego Sącza, Stamiński wiele czasu poświęcał działalności społecznej. W okresie studiów był sekretarzem Akademickiego Koła Radziechowiaków, później, w Brzeżanach – sekretarzem i prelegentem Towarzystwa Szkół Ludowych i redaktorem naczelnym dwutygodnika „Głos Brzeżański” (w którym publikował m.in. prace z dziejów tego miasta). Po wojnie przez ponad dwadzieścia lat był członkiem komitetu redakcyjnego „Rocznika Sądeckiego” oraz prelegentem Polskiego Towarzystwa Historycznego, Klubu Ziemi Sądeckiej i innych instytucji.

\*\*\*

Na Opolszczyźnie wielu zapewne pamięta twórcę i dyrektora szpitali rehabilitacyjno-ortopedycznych – najpierw w Krowiarkach, później w Korfantowie – dra Adama Stanisława Bilika, zmarłego w 1980 r., wielu też pewnie przypomina sobie z TVP Andrzeja Bilika, dziennikarza i dyplomata, autora książek o polityce i politykach oraz reportaży. Ich ojciec, dr Adam Kazimierz Bilik urodził się w Łopatynie w roku 1899, a studia lekarskie odbył we Lwowie. Był tam współzałożycielem, prezesem i jednym z najwybitniejszych działaczy Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademic-

kiej „Odrodzenie” – organizacji, która miała znaczący wpływ na kształtowanie formacji duchowej części przedwojennego młodego pokolenia (wyszedł z niej m.in. redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego” Jerzy Turowicz). Po uzyskaniu dyplomu Adam Bilik senior był lekarzem miejscowym w Sosnowcu, następnie w Będzinie.

Mieszkając w Zagłębiu założył tam oddział Związku Polskiej Inteligencji Katolickiej. W ostatnich latach przed wojną działał w Akcji Katolickiej i w 1939 r. ks. bp Kubina mianował go prezesem diecezjalnego instytutu.

W szerokich kręgach społeczeństwa Zagłębia dr Bilik znany był jako niezwykle ofiarny lekarz, w każdym chorym widział brata-bliźniego, a ubogich nierzadko wspierał materialnie. Nieustannie niósł pomoc chorym, a trzeba dodać, że sam od lat niedomagał i choroba postępowała, doprowadzając 13 czerwca 1943 r. do zgonu; miał wówczas niespełna 44 lata. Przewidując swe odejście mówił do żony: „Nie będziesz mnie pewnie mogła przewieźć do Łopatyna” (do którego był bardzo przywiązany, jeździł tam co roku z rodziną na wakacje); przygarnęła go ziemia Zagłębia, któremu nie-strudzenie służył.

W 1947 r. w Częstochowie ukazała się publikacja „Sylwetka nowoczesnego katolika (wspomnienia o Dr Adamie Biliku)”; również przed dziesięcioma laty w częstochowskiej „Niedzieli” opublikowano artykuł „Adam Bilik – człowiek, katolik, lekarz. W 45. rocznicę śmierci”. Niedawno minęła 55. rocznica zgonu, ale nikt jej nie przypomniał...

\*\*\*

W październiku 1944 roku, w okresie nasilonych napa-  
dów banderowców z pobliskich Szczurowic przybył do Ło-

patyna (który wydawał się być miejscem nieco bezpieczniejszym) ks. Stanisław Mazak (1896-1988). Przejął tu obowiązki administratora parafii, pomagał wiernym przetrwać trudny czas. Z Łopatyna wyjechał dopiero w 1945 roku, z ostatnimi wysiedlanymi.

Początkowo był duszpasterzem w Szklarach, a od maja 1946 r. proboszczem w Kamienniku gdzie miał plebanię i Goworowicach w Grodkowskim. Długo tu nie pozostał, powstała bowiem sytuacja – nie pozbawiona zresztą komizmu – która skłoniła go do zwrócenia się do Administratora Apostolskiego w Opolu z prośbą o przeniesienie do innej parafii. Ks. biskup Wincenty Urban tak tę sprawę opisał: „W Kamienniku mieszkała ludność głównie z powiatu Żywiec, a w Goworowicach przeważnie repatrianci ze Szczurowic. Gdy wypadały takie nabożeństwa, jak Boże Ciało, początek i zakończenie roku szkolnego itp. ludność z Kamiennika domagała się, ażeby celebrował w Kamienniku, mówiąc: „My jesteśmy głową, a Goworowice ogonem”. Ludność z Goworowic domagała się pierwszeństwa, motywując: „Ks. proboszcz jest z naszej parafii, ze Szczurowic, a Mazurzy z Kamiennika niech przywiozą sobie księdza z Żywca”.

1 listopada 1947 r. ks. Mazak objął parafię w Świętowie Polskim koło Głuchołaz. Znany był ze swoich zainteresowań naukowych; samodzielnie i jako współautor ogłosił około stu prac, w tym również publikacje książkowe. Są to prace z historii Kościoła i z zakresu pszczelarstwa; te ostatnie poświęcone głównie życiu i działalności światowej sławy pszczelarza, ks. Jana Dzierżona. □

Wiktor Poliszczuk, Ph.D.

## Ślepotą czy amoralnością? (II) (c.d.)

Pytam więc: czy prawdą jest, że doktryna Doncowa jest spójna z doktryną faszysto-nazizmu? Ja twierdzę, że pierwsza, doncowska, jest rozwinięciem i pogłębieniem drugiej – doktryny faszysto-nazizmu. Jeżeli moje twierdzenie nie jest prawdziwe, a przedstawiciele ukraińskiej mniejszości w Polsce, jak też przedstawiciele ukraińskiej diaspory na Zachodzie są zwolennikami nacjonalizmu ukraińskiego, a są nimi bez żadnej wątpliwości, to winni oni spowodować postawienie mnie w stan oskarżenia o sianie nienawiści między społecznością polską a ukraińską. Gotów jestem stanąć przed każdym sądem oskarżony o ten czyn, bowiem potrafię udowodnić, iż w mych pracach nie chodzi o naród ukraiński, lecz o jego niewielką tylko, opanowaną fałszywymi argumentami bądź terrorem, część tego narodu, część nie przekraczającą 1 (jednego) procentu, co potwierdzają wyliczenia, co potwierdza kilka spośród bardzo wielu dowodów: Iwan Wasiuk, bojówkarz UPA na Wołyniu, zeznał: ... *trupy zamordowanych mężczyzn, kobiet, starych i dzieci pozostawialiśmy na miejscu, w chatkach, które potem podpalamy. Jeżeli w jednej wsi żyli Polacy i Ukraińcy, i jeżeli ci Ukraińcy nie byli członkami banderowskich organizacji, to z nimi postępowaliśmy tak samo jak z Polakami. Nasz oddział, to znaczy sotnia, w trzech wsiach zamordował około półtora tysiąca osób różnego wieku... mordowanie odbywało się przy użyciu siekier, część była zarżnięta nożami, ja osobiście zabiłem 19 ludzi.* Ukrainiec z Halicji pisze: *W mojej pamięci utrwalił się obraz poboru „ochotników” do*

*UPA. W nocy, w miejscowości mego urodzenia, idąc od domu do domu, nabrali ze stu mężczyzn w wieku średnim i młodym. Wszystkich ich zaprowadzili do lasu, wyszykowali w szereg i zapytali: „kto chce wracać do domu?” Piętnastu nieszczęsnych biedaków podniosło rękę. Im nakazano kopać rowy, w których też ich postrzelali i przykryli zabitych ziemią. Wśród zamordowanych było dwóch moich ciotecznych braci. Bowiem Doncow uczył, że należy bez żalu zwalczać niedowiarków. Inny świadek wydarzeń pisze: Zaburzec, wieś solecka, siedziba gminy... w 1945 roku, w różnym czasie zostali zamordowani przez UPA: Biłyk Michał, Ukrainiec, lat 22; Bojko Teodor, Ukrainiec; Kochaneć Michał, lat 30, Ukrainiec; Kostenko Stefan, Ukrainiec, undowiec; Piziar, lat 32, Ukrainka, zamordowana za karę, że mąż służył w Czerwonej Armii; Piziar, lat 8, córka w/w; Prycera Wołodmyr, Ukrainiec, sołtys, lat 40; Szymków Stefan; Tereszkin, ksiądz greckokatolicki, Ukrainiec, powieszony „za zdradę Ukrainy”; Ukrainiec, brat w/w Piziar, zamordowany za karę, że uciekł z UPA. Ten ostatni opis dotyczy 1945 roku, gdy OUN-UPA czekała na wybuch III wojny światowej. Mordowali wszystkich, kto tylko nie poddawał się indoktrynacji OUN. Bowiem tak uczył Doncow. A wykonawcami tych mordów byli tępotłowi, zajadli, wyzuci z sumienia, pełni nienawiści półanalfabeci, których opisuje wykładowca w szkole UPA, Danyło Szumuk: *Był to specjalny kurs dla rejonowych referentów SB... Wszyscy byli dobrze ubrani, zadowoleni z siebie... wtedy miałem możliwość przy-**

patrzeć się – komu Organizacja (to znaczy OUN) powierzyła podejmowanie decyzji o życiu lub śmierci tych czy innych ludzi. To byli jak gdyby specjalnie dobrani tępi ludzie... Dlatego też znane są z dowodów archiwalnych częste wypadki skazywania za ucieczkę z UPA na karę śmierci przez odrąbanie siekierą głowy na oczach oddziału, znane są wypadki mordowania całych rodzin tych, którzy uciekli z UPA. Znane są też okrutne metody mordowania przez OUN-UPA bezbronnej polskiej ludności cywilnej. Tej prawdy nie chcą widzieć polscy historycy, politycy, publicyści, dziennikarze. Oni też, zaślepieni uprawianą przez ich partie polityką, nie potrafią zrozumieć, że po 1944 roku istniało, chociaż komunistyczne, ale jednak państwo polskie, chociaż naród polski nie był w tym czasie niepodległy, bowiem istnienie państwa nie zawsze równoznaczne jest z niepodległością narodową. Stąd niemożność zrozumienia przez nich, że operacja „Wisła” była podjęta w stanie wyższej konieczności z winy działalności struktur OUN-UPA, dążących do oderwania od Polski jej południowo-wschodnich terytoriów. Te grupy ludzi nie potrafią też zrozumieć, że gdyby nie operacja „Wisła”, to według wszelkiego, graniczącego z pewnością, prawdopodobieństwa, Polska na dzień dzisiejszy miałaby swoje „Kosowo” ze wszystkimi jego skutkami, z groźbą bombardowania przez siły NATO terytorium Polski włącznie. Ale trudno jest odzwyczaić się nie tylko od fałszywego stereotypu Ukraińca – „rizuna”, trudno też jest pozbyć się mrzonek o „sytej”, „konsumpcyjnej”, ale pozbawionej wielu cech odrębnego narodu, w dużej mierze zhomogenizowanej, w istocie kosmopolitycznej Polski. Niewielu jest odważnych, którzy potrafią wskazywać na zagrożenia, wielu natomiast, jak na przykład Jan Nowak-Jeziorański, niedawno zmarły Jerzy Turowicz, Jerzy Giedroyc i wielu innych – pozostawało i nadal pozostają pod wpływem ukraińskich działaczy nacjonalistycznych, chociażby takich, jak Bohdan Osadczyk, którego wysokim odznaczeniem państwowym wyróżnił Prezydent RP, któremu fundacje na Zachodzie fundują nagrody A.D.1998. Zamiast tego powinien by się znaleźć młody historyk lub chociażby publicysta czy dziennikarz, który dokonałby analizy porównawczej treści uchwały „Krajowego Provodu OUN” z 22.06.1990 roku z praktyką ukraińskich struktur nacjonalistycznych w odniesieniu do Polski, w których niepoślednią rolę odgrywa ten właśnie Bohdan Osadczyk.

Na Zachodzie, gdzie struktury nacjonalizmu ukraińskiego działają nielegalnie poprzez paraspołeczne organizacje, nie chodzi o skłócanie społeczności polskiej z ukraińską, a fakt, że prócz organizacji opanowanych przez nacjonalistów ukraińskich nie ma tutaj innych, nie przeczy memu twierdzeniu, stan ten świadczy jedynie o wciąż jeszcze trwającej witalności ukraińskich struktur nacjonalistycznych, które potrafiły o swoich rzekomych racjach przekonać także przedstawicieli polskich placówek dyplomatycznych, między innymi w Ottawie i w Toronto, podsuwając im tezę o tożsamości nacjonalizmu ukraińskiego z ukraińskim patriotyzmem, chociaż są to rzeczy diametralnie różne. Kto z polskich polityków czy dyplomatów przeczytał moje prace, a jest ich ponad dziesięć, a nie przeczytawszy ich trudno jest zrozumieć istotę integralnego, a więc faszystowskiego typu, nacjonalizmu ukraińskiego, odmiennego od „zwykłych” nacjonalizmów w rozumieniu europejskim – polskiego, czeskiego, białoruskiego itp.

Truizmem jest twierdzenie, że potępienie przez Rząd, Parlament, Kościoły niemieckie i przez naród niemiecki zbrodni hitlerowskich utorowało drogę do pojednania polsko-niemieckiego, chociaż procentowy udział Niemców w

zbrodniach na narodzie polskim jest nieporównywalnie większy do udziału Ukraińców (mniej, aniżeli 1%) w zbrodniach przeciwko ludności polskiej; truizmem jest twierdzenie, że przyznanie przez Rząd Federacji Rosyjskiej faktu dokonania mordu katyńskiego umożliwiło spadek napięcia w stosunkach polsko-rosyjskich. Mordy stalinowskie na Polakach w Katyniu, Miednoje i w innych miejscowościach, popełnione w latach 1940-1943, dotyczą około 25 tysięcy Polaków, zaś mordy dokonane przez struktury OUN-UPA na ludności polskiej przekraczają liczbę 100 tysięcy. Dopóki te mordy nie zostaną potępione oficjalnie przez władze państwowe Polski i Ukrainy, dopóty nie nastąpi stabilizacja stosunków polsko-ukraińskich na poziomie społeczeństw. To też jest truizm. Kto udaje, że ten problem nie istnieje, ten postępuje niemoralnie.

Powiedziawszy to, niezbędnym jest zastanowienie się: czy usprawiedliwionym jest alternatywny tytuł niniejszego artykułu: ślepotą czy amoralnością? Ostatecznie dojść należy do wniosku, że tytuł nie jest trafny, bowiem w poruszonym stosunku polskich historyków, polityków, publicystów i dziennikarzy do problemu nacjonalizmu ukraińskiego, zachodzi kumulacja obu członów tytułu: są oni jednocześnie ślepi (w około 10%) i amoralni (w około 90%). Ślepotą, o której mowa, może być łatwo przezwyciężona, wystarczy dobra wola i, o dziwo, odwaga cywilna, której brak można stwierdzić u wielu. Ale czy wystarczy woli i odwagi do przezwyciężenia amoralnego podejścia do problemu zbrodni OUN-UPA, co musiałoby się spotkać z niezadowolaniem silnych świata tego, w szczególności określonych kół politycznych w Polsce, a przede wszystkim na Zachodzie? Zachodowi, który widzi przede wszystkim własne interesy, wobec w ostatnich latach mających miejsce zbrodni ludobójstwa w Azji, Afryce, w b. Jugosławii – zbrodni OUN-UPA z lat 1942-1947 wydają się blade, są one przesłonięte względami politycznymi. Wpływy nacjonalistów ukraińskich na Zachodzie nie ustały, mimo faktu, że ten nacjonalizm na Ukrainie nie ma poparcia nawet u 2 (dwu) % narodu ukraińskiego, co potwierdziły wyniki ubiegłorocznych wyborów do Rady Najwyższej Ukrainy.

Na dzień dzisiejszy nacjonalizm ukraiński jako zjawisko o szerokim zasięgu jest w stanie zanikania, również na Zachodzie, gdzie Ukraińcy średniego i młodego pokolenia nawet w 1% nie identyfikują się z tym ruchem. Na dzień dzisiejszy nacjonalizm ukraiński stanowi największą groźbę w Polsce, gdzie nieliczna grupa jego eksponentów, wspierana finansowo i ideologicznie z Zachodu, dąży do rewizji istniejącej granicy polsko-ukraińskiej, co zagraża pokojowi. Kto tego nie widzi, ten umyślnie przymyka oczy na problem, ten uprawia strusią politykę, a więc postępuje niemoralnie.

Mam nadzieję, że może właśnie wydana w tłumaczeniu na język angielski moja „Gorzka prawda” spowoduje zainteresowanie się problemem przez anglojęzycznych Polaków, Ukraińców i innych, którzy nie godzą się z faktem nierozliczenia z przeszłości zbrodniczej organizacji, którzy mogą okazać zaniepokojenie możliwym polsko-ukraińskim zbrojnym wybuchem, mogącym się przekształcić w wojnę o zasięgu europejskim i nie tylko. Mówię o takiej możliwości w swej książce „Apokalipsa według Wiktora Ukraińca”. Walczyć o pokój trzeba przede wszystkim poprzez profilaktykę, zapobieganie konfliktom, przede wszystkim poprzez eliminowanie z życia społecznego ruchów propagujących wojnę jako metody rozwiązywania konfliktów międzynarodowych. Taki właśnie cel przyświeca mojej pracy badawczej, moim publikacjom.

Oakville, luty, 1999 r.

## Tu mówi i bałaka Radio Lwów

„Związkowiec” rozmawia z dziennikarką polskiego „Radia Lwów” Anną Gordijewską

„Związkowiec”: – Czy witając się z radiosłuchaczami, mówicie: „Tu mówi „Radio Lwów”, czy „Tu bałaka Radio Lwów”?

Anna Gordijewska: – „Tu mówi radio Lwów”, a bałakamy między sobą. – Bałak Lwowski znam od dziecka. Posługiwała się nim moja babcia, moja mama. Chciałabym dodać, że ta popularna gwara lwowska nie była dawniej ani znana powszechnie, ani używana. Przed wojną we Lwowie królował język literacki, gwarą natomiast posługiwał się Łyczaków, Zamarstynów, Kleparów.

– Jest Pani Lwowianką?

– Tak. Urodziłam się we Lwowie. Tam wychowałam się i chodziłam do polskiej szkoły i jestem z tego dumna. Obecnie mieszkam przy ulicy Łyczakowskiej, niedaleko od słynnego Kajzerwaldu oraz Cmentarza Łyczakowskiego. Codziennie chodzę ulicami, gdzie urodził się Tońko z Wesołej Lwowskiej Fali (ulica Krupiarska), czy wybitny poeta Zbigniew Herbert... To moje miasto, w którym nigdy się nie nudzę, ciągle go odkrywam. Wystarczy, że wyjdę na ulicę – spotykam zabytki od renesansu po secesję. A Cmentarz Łyczakowski? Przecież tam spoczywają: Maria Konopnicka, Gabriela Zapolska, Artur Grottger, Stefan Banach czy Władysław Bełza, autor katechizmu małego dziecka: „Kto ty jesteś? Polak mały. Jaki znak Twój? – Orzeł Biały”.

– Proszę o kilka słów o „Radiu Lwów”.

– Program mamy dwa razy w tygodniu, w środy i soboty po dwie godziny, w tym jest jedna godzina katolicka. Przy emisji korzystamy z ukraińskiej prywatnej stacji radiowej „Niezależni”. Obecnie sponsoruje nas warszawska Fundacja Pomocy Polakom na Wschodzie. Wszyscy dziennikarze pracują społecznie.

– Czy uważacie się za spadkobiercę polskiego radia sprzed wojny?

– Oczywiście i staramy się kontynuować tradycje „Radia Lwów”. W naszych programach mamy stałą pozycję „Kalejdoskop Lwowski”, gdzie opowiadamy o Lwowie, o przedwojennym Lwowie, przeprowadzamy wywiady etc.

– A co z „Wesołą Falą” Tońko i Szczepko?

– Odpowiem wierszykiem: „Wesoła Fala żyje/ Jej humor ciągle trwa/ Gdzie polskie serce bije/ Tam Radio Lwów głos ma”. Mamy swój radiowy kabaret, a nasza redaktor Teresa Pakosz pisze skecze w gwarze lwowskiej i kilka razy w roku z okazji świąt narodowych i katolickich, nawiązujemy do rozmów z „Lwowskiej Fali”. Każda z nas ma swoje lwowskie pseudonimy. Jest Mańka, Frania, Jóźko.

– A Pani?

– Lodzia z przydomkiem „Wędrowniczka”

– ??

– ... Lubię podróżować.

– Co zatem sprowadza Panią do Kanady?

– Przyjechałam na zaproszenie „Radia Polonia-Toronto”.

Korzystając z okazji chciałabym podziękować Krystynie i Ryszardowi Piotrowskim oraz Polskim Liniom Lotniczym LOT, przedstawicielstwu we Lwowie, na czele z dyrektorem Jerzym Smyczyńskim, którzy od chwili powstania naszego radia bardzo nas wspomagali.

Marzeniem naszym jest założenie radia z prawdziwego zdarzenia, którego emisja byłaby codziennie. Wiąże się to jednak z określonymi kosztami. Niestety, skromne fundusze, którymi dysponujemy wystarczają nam zaledwie na egzystencję w tej formie w jakiej istniejemy. Musimy jednak kupić lokal, koncesję etc. Dlatego też, tutaj w Kanadzie, spotykam się z Lwowiakami i nie tylko i proszę o pomoc. W Credit Union św. Stanisława i św. Kazimierza w Toronto otworzyliśmy konto Nr 84993, na które można wpłacać wszelkie datki. Chciałabym dodać, że „Radio Lwów” dla wielu ludzi jest jedynym oknem na świat. Słysząc nas w zasięgu siedemdziesięciu kilometrów od Lwowa. Ale nie tylko, bo i raz w tygodniu w Chicago.

– Czy po Pani wizycie tutaj będzie słychać „Radio Lwów” w Toronto?

– Bardzo bym tego chciała. W Toronto jest przecież bardzo dużo Lwowiaków... Kiedyś zapytano nas we Lwowie, tych którzy urodzili się przed wojną, i tych którzy urodzili się po wojnie: czym dla was jest Polska? – Wszyscy niezależnie jeden od drugiego odpowiedzieli jednym słowem: „Ojczyzna”. Podejrzewam, że taka sama odpowiedź byłaby, gdyby zapytać tutejszych Lwowiaków: Czym dla nich jest Lwów? – Ojczyzną.

– Dziękujemy za rozmowę. (s)



Spotkanie Kresowiaków z Panią Anną Gordijewską 23 kwietnia 99 w Centrum Jana Pawła II w Mississange, Ontario Canada

## Zbigniew Umański Kronika Kresowa

„Przyjedź do nas!”



*Władcy grekokatoliccy witają serdecznie  
Jana Pawła II w Siedlcach*

Gdy Jan Paweł II rozpoczynał pielgrzymkę do Polski i po Polsce – właśnie oddaliśmy do druku czerwcowy numer „Semper Fidelis” i nie było już możliwości napisania o niej. Dopiero w tym numerze mogę podzielić się z Czytelnikami refleksjami na temat najdłuższej z dotychczasowych i najbogatszej w nauki i przesłania pielgrzymki Ojca Świętego w Jego ojczyźnie.

To było wielkie wydarzenie i wielkie przeżycie. Nie tylko dla nas, Polaków, katolików, lecz – jak się okazało – również wierzących w innym obrządku, a szczególnie zaś dla grekokatolików i prawosławnych. Na spotkanie z Ojcem Świętym w Elku, Drohiczynie, Siedlcach, a także w innych miastach przybyło tysiące chrześcijan z Litwy, Białorusi, Ukrainy, a z Rosji nawet z dalekiej Syberii. Ze swoimi biskupami, duszpasterzami, sztandarami, flagami narodowymi i transparentami. Wraz z nimi – nasi rodacy mieszkający na Kresach. Autobusami, pociągami, różnymi pojazdami, a niektórzy pieszo. Na własny koszt lub z pomocą bezinteresownych. Np. na spotkanie w Sandomierzu wybrało się 4,5 tys. pielgrzymów z Ukrainy. Od granicy w Medyce – gdzie byli podejmowani przez tamtejszą parafię rzymskokatolicką – pojechali na miejsce spotkania z Papieżem dwoma specjalnymi pociągami. Nimi też wrócili z powrotem na granicę, a koszty przewiezienia ukraińskich pielgrzymów pokryje regionalny rzeszowski oddział jednego z banków. Podobnych, choć innych w formie i treści chrześcijańskich uczynków, odnotowano wiele.

Te tysiące pielgrzymów ze Wschodu czekało cierpliwie, nieraz całą noc lub dłużej pod gołym niebem, aby spotkać się z papieżem-Polakiem, zmanifestować swoją wiarę i słuchając Jego nauk (także w języku starosłowiańskocerkiewnym podczas nabożeństwa ekumenicznego w Drohiczynie i w Siedlcach) utwierdzić się w niej. I na pożegnanie – używać Jego błogosławieństwo. Dziękowali Mu za to, manifestując swoją radość, oddanie, ufność oraz wołając i wystawiając transparenty z napisem: „Przyjedź do nas, Ojczy”.

Jan Paweł II był wyraźnie wzruszony gorącym przyjęciem i spontaniczną manifestacją uczuć pielgrzymów z Ukrainy, Białorusi, Rosji. Czy będzie mógł spełnić ich prośby i życzenia i odwiedzić ich ojczyzny? Czy Jego apele o pojednanie, w duchu prawdy, żalu za grzechy i przebaczenia dotrze także do dalekich nieobecnych na pielgrzymkach, a którzy decydują o losach swoich poddanych?

Lwowska gazeta „Ekspres”, w artykule pt. „Papież w Polsce. Ukraina – w zasięgu ręki” napisała, że nie ma szans, by papież przyjechał na Ukrainę w tym roku, choć władze państwowe wystosowały zaproszenie do papieża pod koniec ub. roku. Powodem mają być wybory prezydenta Ukrainy w październiku, a „Jan Paweł II nigdy nie odwiedza państw, które przygotowują się do wyborów”. Zdaniem biskupa Huzara, na którego powołuje się gazeta, do wizyty nie dojdzie w br. także za sprawą biskupów prawosławnych, bowiem „choć skłóceni (na Ukrainie są trzy kościoły prawosławne), w kwestii przyjazdu papieża okazały jednomyślność, dając do zrozumienia, że to nie najlepszy pomysł”. No, to mamy odpowiedź na pytanie.

Do Rosji papież także nie pojedzie, bo podobnie myślą władcy moskiewskiego kościoła prawosławnego, choć inaczej to nazywają: „Jeszcze nie dojrzały warunki do wizyty papieża w Rosji”. Kreml jest innego zdania, ale liczy się z głosem cerkwi...

Białorusinów Jan Paweł II też nie odwiedzi w najbliższym czasie, choć równie gorąco by pragnął jak białoruscy wierni, czemu stale dają wyraz, ale władze sobie nie życzą. W przeciwieństwie do Ukrainy i Rosji nie przestały oficjalnego zaproszenia do Watykanu.

No cóż – jedni kochają papieża, a inni Go się po prostu boją...

### „Antyukraińskie” anioły



*Kamienne anioły na Cmentarzu Orłąt  
są „antyukraińskie” dla władz Lwowa*

Pogłębia się konflikt wokół odbudowy Cmentarza Orłąt. Wbrew kompromisowemu porozumieniu z 25 lipca ub. roku między Radą Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa a władzami Lwowa, strona ukraińska zakazała odtworzenia wystroju kamieniarskiego katakumb, montażu pomników Lotników Amerykańskich i Piechurów Francuskich, przywrócenia na dawne miejsce pod Łukiem dwóch lwów (z kompromisowo także zmienionymi tarczami, m.in. bez historyczne-



go herbu Lwowa) umieszczenia uzgodnionego (kompromisowego) napisu na płycie centralnej. Obecnie Dyrekcja Cmentarza Łyczakowskiego doręczyła wykonawcy robót na Cmentarzu Orłąt, firmie „Energopol-Trade-Export SA”, pisemne nakazy usunięcia przedwojennych nazw miejsc bitewnych, wykutych na dwóch kamiennych pylonach, oraz odrestaurowanych już głów anielskich na częściowo zachowanym gzymsie katakumb. W odczuciu władz miejskich Lwowa i Dyrekcji Cmentarza Łyczakowskiego głowy aniołów stwarzają „panteon sławy”, a przedwojenne nazwy miejscowości na pylonach są niezgodne z obecnie obowiązującym ukraińskim nazewnictwem geograficznym.

Szef ekipy „Energopolu” pracującej na Cmentarzu Orłąt, inż. Jan W. Wingralek określił te ostatnie poczynania jako kolejną próbę utrudnienia lub zgoła uniemożliwienia realizacji zakresu robót określonych w harmonogramach (poprzedzonych przygotowaniem i zamówieniami), co spowoduje opóźnienia w odbudowie polskiego cmentarza wojkowego. „Kontynuacja robót rozpoczętych w roku ubiegłym jest systematycznie zakłócana i celowo opóźniana” – napisał dyr. Wingralek. Podkreślając jeszcze raz legalność podejmowanych przez „Energopol” robót wskazał, że „te zakłócenia powodujące dezorganizację w wykonawstwie są następstwem działań przede wszystkim dyrektora Cmentarza Łyczakowskiego, pana H.”

W „odpowiedzi” dyrekcja Cmentarza Łyczakowskiego zażądała, aby „Energopol” do 16 września opuścił miejsce swych prac „ponieważ nie respektuje poleceń dyrekcji”! Lwowski tygodnik „Ekspress” poinformował, że szef nacjonalistycznej partii UNA-UNSO, Andrij Szkila, w pisemnym ostrzeżeniu przesłanym merowi Lwowa zapowiedział, że jeśli dyrektor Cmentarza Łyczakowskiego Ihor Hawryszkiewicz (przebywający w szpitalu z „przepracowania i stresu” od majowej wizyty prezydentów Ukrainy i Polski na Cmentarzu, która zakończyła się skandalem dyplomatycznym) zostanie zdymisjonowany, to polski cmentarz wojenny może zostać zniszczony przez członków tego ugrupowania.

Po profanacji i niszczeniu polskich napisów na Cmentarzu Orłąt, po pikietach przed Konsulatem Generalnym RP we Lwowie przeciwko odbudowie tego cmentarza to kolejna prowokacja: jawna groźba zniszczenia go przez skrajnych nacjonalistów ukraińskich. Sekretarz Generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Andrzej Przewoźnik, zapowiedział interwencję w ukraińskim MSZ oraz u swego ukraińskiego odpowiednika. Jego osoba, od ubiegłego roku, także stała się obiektem ataków niektórych ukraińskich gazet i lokalnych polityków we Lwowie, mimo jego ugodowej postawy – dla dobra sprawy – jak podkreśla – w rokowaniach polsko-ukraińskich.

A jak ocenia te lwowskie wydarzenia ambasador Ukrainy w Polsce, Dymtro Pawłyczko? W wywiadzie, który ukazał się w „Trybunie” (nr 163 z lipca br. – warto przeczytać) powiedział: „...Nie sądzę, by władze pozwoliły, by memoriał Orłąt został odnowiony w sposób rażący dla Polaków albo dla Ukraińców. Prezydent Kuczma zapowiedział przecież, że Rada Lwowa będzie się musiała podporządkować pewnym decyzjom. Nie uważam, by rozsądne było usuwanie akurat teraz z cmentarza „Energopolu”, który już tak wiele tam zrobił. Trzeba było o tym myśleć wcześniej. Rada powołuje się na prawo międzynarodowe mówiące, iż to kraj, na terenie którego są takie obiekty, powinien się zajmować ich renowacją. Ale między Polską a Ukrainą są specjalne

stosunki – nie tylko strategiczne partnerstwo – jesteśmy sobie potrzebni, niezbędni”...

Na pytanie dziennikarki, czy wspomniana decyzja Rady Lwowa, nie jest po prostu jednym z elementów walki przed jesiennymi wyborami prezydenckimi na Ukrainie i Rada chce zrobić na złość prezydentowi Kuczmie? – powiedział: „Niewątpliwie w Radzie są ludzie, którzy chcieliby powiedzieć, że stosunki polsko-ukraińskie nie są tak dobre, jak mówi Kuczma. A prezydent Ukrainy jest zdecydowany zrealizować to wszystko, co obiecał w Warszawie, m.in. budowę polskiej szkoły w Mościskach. Jednak musimy sobie zdawać sprawę, że zarówno po polskiej jak i ukraińskiej stronie są ludzie, którzy nie są zainteresowani dobrymi kontaktami naszych państw i narodów. Chcą rozmawiać tylko o przeszłości i o naszych ranach. A to przecież nie prowadzi do niczego dobrego.”

Z całą pewnością takich ludzi zapatrzonych tylko w przeszłość i myślących w tych kategoriach jest we Lwowie – w Radzie i Komisji Historycznej miasta więcej, niż wśród nas, nie tylko Lwowiaków, w Polsce. Zresztą, przyznaje to sam ambasador w dalszej części wywiadu mówiąc o swoich spotkaniach – z b. członkami AK, starszymi ludźmi we Wrocławiu, Gdańsku, na Śląsku i Podkarpaciu: – Nieprawdą jest, że tylko młodzież nie jest przeciwna pojednaniu z Ukrainą. Ja nie odczułem w Polsce niechęci do Ukrainy...

Miejmy nadzieję i życzymy sobie, żeby w wyborach na Ukrainie zwyciężali kandydaci rozumiejący sprawę polsko-ukraińskie.

### „Lwów ma szansę być symbolem”



*Kapela „Wesoły Lwów” i Prezydent śpiewają „Tylko we Lwowie”*

Dopiero teraz możemy poinformować, że podczas pobytu na Szczycie Prezydentów Europy Środkowej we Lwowie prezydent Aleksander Kwaśniewski dwukrotnie spotkał się z Polakami Ziemi Lwowskiej. Już pierwszego dnia pobytu, na przyjęciu w restauracji „Festiwalna” (dawniejsza „Rene-sans”), na którym obecni byli prezesi prawie wszystkich organizacji polskich działających na Ukrainie, polscy działacze społeczni, kulturalni i dziennikarze polskich mass mediów na Ukrainie. W spotkaniu uczestniczyli ambasador RP w Kijowie Jerzy Bahr, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego min. M. Siwiec, Sekretarz Generalny ROPWiM min. A. Przewoźnik, przedstawiciele MSZ i Kancelarii Prezydenta RP oraz lwowianin Jerzy Janicki z TMLiKPW, Bogdan Osadczuk, ukraiński intelektualista, współpracownik paryskiej „Kultury” i wiele innych osobistości. Prezydenta powitała kapela „Wesoły Lwów” tradycyjnym „Tylko

we Lwowie” oraz zespół „Lwowiacy” w polskich strojach. Zwracając się do zebranych rodaków A. Kwaśniewski powiedział m.in.: „Należą Wam się słowa wielkiego, wielkiego szacunku. Bowiem uchroniliście, obroniliście i przekazaliście kolejnym pokoleniom, pokoleniom swoich dzieci, wnuków to, co tak ważne – polskość. W imieniu własnym i osób mi towarzyszących kłaniam się Wam za to głęboko. Dziękuję i obiecuję, że będziemy o tym pamiętać, bo zrobiliście wielką rzecz w swoich sercach, w swoich domach, w swoich rodzinach – Polskę obronili. Za to Wam dziękuję.”

W trakcie Szczytu Prezydentów A. Kwaśniewski spotkał się raz jeszcze z rodakami. Sprawy, problemy Polaków we Lwowie i na Ziemi Lwowskiej przedstawił prezydentowi prezes Tow. Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej Emil Legowicz, dyrektorki szkół polskich we Lwowie – Marta Markunina i Lucyna Kowalska, Halina Wencak – prezes Katolickiego Stowarzyszenia Rodzina Rodzin, Ewa Hrycaj-Małańczak – prezes Stowarzyszenia Medyków Polskich, Eugeniusz Cydzik – prezes Polskiego Tow. Opieki nad Grobami Wojskowymi, Teresa Pakosz – dyrektor Polskiego Towarzystwa Radiowego i red. Radia Lwów, Henryka Harazda – prezes Uniwersytetu Trzeciego Wieku, Andrzej Aurzecki – prezes oddziału TKPZL w Drohobyczu i inni.

Na konferencji prasowej po spotkaniu Prezydentów Europy Środkowej A. Kwaśniewski powiedział o Lwowie i Cmentarzu Orłąt: „Lwów ma szansę być symbolem bogactwa kultur, religii, tolerancji, a Cmentarz Łyczakowski to jest takim miejscem, które musi się po prostu uhonorować. Składałem kwiaty na grobach Strzelców Siczowych i na Cmentarzu Orłąt. Taka była historia. Mam nadzieję, że porozumienie, tolerancja zostaną uszanowane ze strony władz Lwowa. Cmentarz Obrońców Lwowa ma być odbudowany, stwierdziłem w rozmowie z panem Kujbidą, merem miasta Lwowa. Jeśli chodzi o kolumnadę i lwy na Cmentarzu Orłąt, to jeśli jest mowa o polityce to piękno, należy wybrać piękno. Poza tym cmentarz jest czymś, co przekracza wymiar chwili, problemów, konfliktów, sporów itd.”

Prezydent zwiedził Lwów oprowadzany przez Jurka Janickiego, odwiedził też lwowskie świątynie chrześcijańskie – katedrę rzymskokatolicką, kościół ormiański, cerkiew Wniebowzięcia.

### **Towarzystwo „Ukraina – Polska”**

We Lwowie zarejestrowano Towarzystwo „Ukraina – Polska”. Powstało z inicjatywy mieszkańców Lwowa złączonych ideą tworzenia warunków dla rozwoju dobrosąsiedzkich stosunków między Ukrainą i Polską. W gronie założycielskim Towarzystwa są poważne osobistości: Wasyl Otkowycz – dyrektor Lwowskiego Muzeum Narodowego, Borys Woźnicki – dyrektor galerii Obrazów, Iwan Hreczko – prezes Klubu Inteligencji Greckokatolickiej, Roman Czmylyk – dyrektor Muzeum Etnografii, prof. Roman Łypka – architekt, Iwan Swarnyk – historyk-archiwista, Hryhoryj Kataran – wiceprezes Lwowskiego Towarzystwa Ochrony Zabytków i in. Prezesem Lwowskiego Towarzystwa „Ukraina – Polska” obrano Oresta Maciuka – dyrektora Archiwum Historycznego, a prezesem honorowym został Teodozjusz Starak – b. radca Ambasady Ukrainy w Warszawie.

Z programu Towarzystwa wynika, że jego celem jest koordynacja wysiłków obywateli i organizacji sprzyjających dobrosąsiedzkim stosunkom między Ukrainą i Polską, kształtowanie właściwego podejścia do stosunków polsko-ukraińskich w przeszłości i współczesności – na zasadach

partnerskich obydwu państw, poszerzając obiektywną informację o życiu politycznym, społecznym i kulturalnym narodów ukraińskiego i polskiego. M.in. przewiduje się organizowanie badań i konferencji naukowych, wspólnych imprez kulturalnych i sprzyjanie krzewieniu kultury polskiej na Ukrainie i ukraińskiej w Polsce oraz rozwój współpracy między organizacjami młodzieżowymi obu krajów w różnych dziedzinach. Szczególnie ważnym zadaniem według nas kresowian w programie nowo powstałego Towarzystwa jest nadanie wielkiego znaczenia ochronie i renowacji miejsc historycznych pomników i cmentarzy. Bo w tej dziedzinie – zwłaszcza po stronie ukraińskiej, a konkretnie władz Lwowa – jesteśmy świadkami niczym nieuzasadnionego regresu w stosunkach między oboma państwami.

Z całego serca życzymy Towarzystwu „Ukraina – Polska” pomyślnej realizacji tych programowych założeń. TMLiKPW deklaruje współpracę i pomoc w ich urzeczywistnianiu.

### **Zaskakujący dekret**

17 września 1939 r. to tragiczna data w historii Polski. W tym dniu rozpoczęła się inwazja wojsk radzieckich na nasz kraj, co przesądziło o klęsce II RP w wojnie z hitlerowskimi Niemcami. Zabrała połowę jej terytorium, a milionom mieszkańców Kresów Wschodnich przyniosła śmierć, wywózki na Sybir, poniewierkę. Napadając zdradziecko na Polskę ZSRR złamał prawo międzynarodowe i zawarte z naszym krajem traktaty i nie ma żadnego usprawiedliwienia dla tego zbrodniczego aktu. Tymczasem prezydent Ukrainy Leonid Kuczma podpisał dekret o „Świętowaniu 60-lecia zjednoczenia ziem ukraińskich w jedno państwo” w dniu 17 września 1999 r. Władze nadały uroczystościom rangę państwową.

Ta zapowiedź uroczystych obchodów wywoła wśród Polaków, a szczególnie Kresowian, jak najgorsze wrażenie.

Chociaż nie wiadomo jeszcze (gdy piszemy te słowa), czy obchody odbędą się 17 września, w rocznicę napaści Związku Radzieckiego na Polskę, czy na przełomie października i listopada, kiedy formalnie nastąpiło włączenie ziem polskich po Bug i San, a granica między USRR a Generalnym Gubernatorstwem przebiegała bardziej na zachód niż obecna granica polsko-ukraińska, rodzi się pytanie o wybór tradycji, jakiej dla swego państwa chce obecnie rządząca ekipa w Kijowie. Ludowy Ruch Ukrainy zapowiedział już, że przyłączy się do obchodów, „bo to dla Ukrainy wydarzenie będzie miało duże znaczenie” – oświadczył szef frakcji Jurij Kostenko.

Jakie stanowisko zajmie ukraińska prawica, która obchodzi rocznicę „Złuki” 22 stycznia (tego dnia 1919 r. w Kijowie ogłoszono połączenie Ukraińskiej Republiki Ludowej ze stolicą w Kijowie i Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, proklamowanej 1 listopada 1918 r. we Lwowie)? Czy będzie świętować jak dotychczas 22 stycznia, czy w rocznicę zjednoczenia ziem ukraińskich przez Związek Radziecki? Szefowa Kongresu Ukraińskich Nacjonalistów Sława Stečko nie odpowiedziała na pytanie dziennikarza „Rzeczpospolitej”. Dla wielu Ukraińców, zwłaszcza tych z zachodnich części kraju, okres międzywojenny to „polska okupacja”, a później nastąpiła „okupacja radziecka”. Tak też można przeczytać w popularnym przewodniku po Ukrainie „Ukraina. Putiwnyk”. Już wrzesień, wkrótce się przekonamy...

## Pamiętamy



Fot. Cz. Filipowski

### *Wrocław, pl. Grunwaldzki. Pomnik poświęcony profesorom lwowskim. Poczty sztandarowe*

4 lipca we Wrocławiu, jak co roku, pod Pomnikiem Pomordowanych Profesorów Lwowskich stanęły warty honorowe WP i harcerzy oraz poczty sztandarowe Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch., AK-Lwów i innych organizacji kombatanckich, Bractwa Kurkowego, ZHP. Zapłonęły znicze. Przybyli członkowie rodzin lwowskich profesorów rozstrzelanych przez hitlerowców 4 lipca 1941 r. na Wzgórzach Wuleckich, kapelan środowiska lwowskich Ak-owców ks. E. Mazur, minister d/s kombatanatów J. Woź-



Fot. Cz. Filipowski

*Przemawia prof. Roman Marciniak, za nim E. Teśluk, red. Osmęda i ks. E. Mazur*

niak, przedstawiciele uczelni wrocławskich: prorektor Uniwersytetu Wr. – prof. Jabłoński, prorektor Politechniki Wr. – prof. S. Jakubowski, prorektor Akademii Medycznej – prof. A. Milewicz i prof. R. Marciniak oraz wrocławscy lwowiacy. Spotkali się, aby oddać hołd pamięci pomordowanych Profesorów.

Tradycyjną uroczystość otworzył wiceprezes Zarządu Głównego TMLiKPW E. Teśluk. Prof. T. Cieszyński, syn rozstrzelanego prof. Antoniego Cieszyńskiego, sławnego naukowca z dziedziny medycyny, przypomniał wybitnych intelektualistów Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, którzy zginęli 58 lat temu o świcie wraz z żonami i dziećmi. – 4 lipca 1941 r. to tragiczna i pamiętna data w historii polskiego Lwowa. Być może żyją jeszcze kaci tej zbrodni na Wzgórzach Wuleckich i „mężowie stanu”, którzy do niej dopuścili – padły dramatyczne słowa u stóp monumentu martyrologii lwowskich uczonych. I pełne gorzkości pytanie: – Dlaczego władze Wolnej Ukrainy nie zezwalają na wzniesienie na Wzgórzach Wuleckich, w miejsce dewastowanego i profanowanego systematycznie krzyża, nowego pomnika upamiętniającego zbrodnię popełnioną tu na polskich profesorach?

Bractwo Kurkowe oddało salwę honorową. Złożyliśmy wieńce i wiązanki kwiatów i zapaliliśmy znicze pamięci...

### **Doktorat dla Kuriera**

Jan Nowak-Jeziorański, jedna z najbardziej zasłużonych postaci współczesnej historii Polski, żołnierz AK, legendarny kurier rządu londyńskiego, uczestnik Powstania Warszawskiego, otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego. Dla wielu Polaków na zawsze pozostanie „głosem zza żelaznej kurtyny”, który od 1949 roku docierał do nas dzięki Radiu Wolna Europa, której J. Nowak-Jeziorański był wieloletnim szefem sekcji polskiej tej rozgłośni. Po uroczystości, która odbyła się w Auli Leopoldyńskiej UW, uhonorowany przekazał Bibliotece Ossolineum unikatowe skrypty, nagrania i listy radia Wolna Europa. Część tych ciekawych dokumentów można obejrzeć w Ossolineum.

### **Dni Lwowa w Krakowie**

Odbyły się w dniach 20-24 maja. W uroczystej inauguracji w Muzeum Historycznym uczestniczyli: ambasador Ukrainy w Polsce Dmytro Pawłyyczko, konsul generalny RP we Lwowie Piotr Konowrocki, wiceprezydent Krakowa Teresa Stelmach i mer Lwowa Wasyl Kujbida. Z okazji Dni w Galerii Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” otwarto wystawę prac lwowianki Krystyny Grzegockiej, panie Krystyna Angielska i Natalia Otko zaprezentowały swą poezję na wieczorze autorskim, a Zofia Iwanowa i Aleksander Owerczuk pokazali krakowianom spektakl „Farsa miłości”. Urządzono także prezentację ukraińskich książek i czasopism. Na krakowskim Rynku odbyły się koncerty młodzieżowe, spektakle „Doroha w Damask” i „Apokryfy”, koncert „Pikardijskiej Tercji” i kapeli bandurzystów „Dzwoneczek”. Zaprezentowała się też kuchnia ukraińska.

Organizatorami Dni Lwowa były władze miejskie Lwowa i Krakowa, lwowskie Centrum Młodzieżowe i Dziecięce Galicji i krakowskie Centrum Młodzieży im. Dra H. Jordana oraz inne instytucje. Z powodu deportacji obywateli Ukrainy z ziemi sandomierskiej w tym czasie z udziału w krakowskich Dniach Lwowa zrezygnowała grupa młodych lwowskich radnych.

## Hrabia bez pióra i „o”



*Wandale pozbawili hrabiego kolejnego pióra i zabrali na pamiątkę literę „o” z jego nazwiska na cokole*

Pomnik Aleksandra hr. Fredry – repatriowan. z Lwowa i ustawiony w 1956 r. najpopularniejszy w powojennym Wrocławiu systematycznie pada ofiarą wandal. Hrabia znowu stracił „o” w nazwisku, a wcześniej wyrwano mu z ręki kolejne pióro. Są w grodzie nad Odrą miłośnicy Pana Aleksandra i uzupełniają ubytki. Artysta plastyk Eugeniusz Get-Stankiewicz zrobił wzór pióra, który potem odlewał Jerzy Zarawski z wrocławskiego Arsenalu. Pierwszy raz w 1990 r. przetrzymało przeszło rok, dopiero na 1 maja... Drugim „cieszył” się Hrabia tylko rok i tak, co pewien czas, komediopisarz siedzi bez pióra. – A wszystko to dlatego, że autor rzeźby nie przewidział wandal, którzy będą się wspinać na pomnik... – twierdzi pan Zarawski. Chce odlać nowe pióro, czeka na sponsora.

– Rzadko udaje się wandała złapać na gorącym uczynku – ubolewa Dagmara Turek Smół ze Straży Miejskiej. – Ale jak już kogoś nakryjemy, np. na „sprayowaniu” pomnika, to dajemy mu wiadro z wodą, szmatę i każemy myć. Dwie złapanie dziewczyny z wycieczki myły Fredrę czte. godziny...

### Strzegli Kresów Wschodnich

We wrześniu odbędzie się w Warszawie II Światowy Zjazd Osadników Wojskowych i Cywilnych Kresów Wschodnich. Stowarzyszenie Rodzin Osadników serdecznie zaprasza byłych osadników i ich rodziny – dzieci, wnuki i prawnuki. Znajdą się zapewne wśród nich potomkowie osadników wojskowych Osady Jazłowieckiej na Wołyniu we wsi Horyńgród nad Horyniem, 20 km na wschód od Równego. Założyło ją wiosną 1921 r. 100 żołnierzy-ułanów delegowanych z 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich we Lwowie. By

„strzegli granic RP, szerzyli kulturę polską na Kresach”. Macierzysty pułk przekazał żołnierzom-osadnikom 100 koni z siodłami, 100 karabinów i szabel, kuchnię polową, wóz kowalski, kilka wozów taborowych i bryczkę oraz zaopatrzenie dla ludzi i koni na kilka miesięcy.

Ważna była to pomoc, bo zakładali osadę w szczerym polu, na b. poligonie rosyjskiej artylerii. Początki były trudne i pułk przychodził im z pomocą przy każdej nadszającej się okazji. Np. delegacje pułku, które odwiedzały swoich kolegów zawiozły ich żonom maszyny do szycia, książki. W 1935 r. osadę nazwano „5 szwadron 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich”. Przez 18 lat wspólnym wysiłkiem osadnicy jazłowieccy zbudowali gospodarstwa rolne, założyli sady, wzniesli murowany dom mieszczący szkołę (z mieszkaniem dla kierownika), sklep spółdzielczy, filie mleczarską i przetwórnictwo owoców oraz salę teatralną na 300 krzeseł i bibliotekę liczącą 500 tomów. Prezesował w osadzie w tym okresie rotmistrz Karol Olszewski. Osada miała własną orkiestrę, działały związki osadników, rezerwistów, koła gospodyń domowych, kasa Stefczyka. Organizowano kursy gotowania, pieczenia, kroju, szycia i trykotażu.

Okoliczna ludność ukraińska, początkowo wrogo ustosunkowała się do przybyszów. Z biegiem lat stosunki ułożyły się poprawnie, pomagano sobie wzajemnie w pracach polowych i gospodarskich. Przystąpiono do budowy kościoła pw. N. Marii Panny Jazłowieckiej oraz domu dla sióstr Niepokalanek...

Wybucho wojna 1939 r., młodzi i zdolni do noszenia broni idą bronić ojczyzny. 17 września Osadę Jazłowiecką zajmują czerwonarmiejcy. Aresztują wielu osadników, a 10 lutego 1941 r. wszystkich pozostałych osadników wojskowych, wraz z rodzinami, wywożą na Sybir. Na wygnaniu na dalekiej Północy, w radzieckich łagrach i więzieniach wielu zmarło. Ci, co przetrwali, ich dzieci, wnukowie rozsiani są po całym świecie. Spotkali się na I Światowym Zjeździe Osadników Wojskowych i Cywilnych Kresów Wschodnich, spotkają się też w tym roku.

Pozdrowienia od lwowiaków!

### Pięciomilionowy widz

W połowie lipca odwiedził Panoramę Raclawicką pięciomilionowy widz. Zwiedzili ją m.in. Jan Paweł II, Czesław Miłosz, Gloria Kossak – wnuczka malarza, kilka koronowanych i ważnych głów, turyści z różnych stron świata i „pielgrzymki” naszych rodaków z Kresów. Pięciomilionowym widzem, który przekroczył próg Panoramy Raclawickiej od dnia jej udostępnienia w 1985 r. we Wrocławiu, była 22-letnia Katarzyna Nowak, urodzona we Wrocławiu, a mieszkająca w Świdnicy. Obecnie pisze pracę doktorską z elektroniki w Einthove w Holandii. Już trzeci raz odwiedza Panoramę i zawsze jest to dla niej – jak się zwierzyła – ogromne przeżycie oraz wspaniała lekcja historii. W nagrodę otrzymała rower turystyczny. Trzeci raz w swoim życiu oglądał malowidło Jana Styki i Wojciecha Kossaka także Rafał Borek, który został zwiedzającym numer 4999999.

### Lwów w TV

W lipcu, z okazji I rocznicy śmierci lwowianina-poety Zbigniewa Herberta oraz kronikarza, piewcy Lwowa Witolda Szolgini, tematyka lwowska dwukrotnie gościła w programie TV. O bogatej twórczości doc. inż. arch. Witolda Szolginy mówiły jego książki, rysunki i On sam. Jego umiłowaniu miasta Semper Fidelis, ogromnej pracowitości i

talentowi zawdzięczamy utrwalony piórem i piórkami obraz Lwowa – zabytków, placów, pomników, ich historię i ludzi tego niezwykłego miasta. Jedyne prof. Nicieja może się z nim równać w tym dziele. Brakuje Go nam, tyle miał jeszcze do napisania, do powiedzenia...

Zbigniew Herbert nie był po wojnie we Lwowie. „Skryty miasto w sercu” – zatytułował swój dokumentalny film o Nim Jerzy Morawski. Rodzinę Herbertów wspominali mieszkańcy rodzinnego miasta poety Lwowa. A 31 lipca mogliśmy znowu obejrzyć w TV Szczepcia i Tońka (Henryka Vogelfaengera i Kazimierza Wajdę) w filmie z 1936 r. pt. „Jutro będzie lepiej”. Jak dwaj lwowscy batiarzy opiekują się znalezionym w parku podrzutkiem.

Lwowiacy dziękują kierownictwu Telewizji Polskiej i proszą o jeszcze. Tylko może o trochę wcześniejszej porze...

### Aktywni gliwiczanie

Ok. 200 członków liczy Oddział TMLiKPW w Gliwicach, któremu prezesuje prof. dr hab. inż. Jan Darlewski. Latem ub. roku Oddział zorganizował kolonię dla 24 dzieci, wraz z ich katechetą ks. Józefem Kowalem, z Borszczowa na Kresach. Podczas 2-tygodniowego pobytu na kolonii w Kamieniu k. Rybnika dzieci odwiedziły Częstochowę, Górę św. Anny, chorzowskie ZOO i ... restaurację Mac Donalda, połączone oczywiście z poczęstunkiem. Młodzi rodacy ze Wschodu byli też podejmowani w siedzibie Zarządu Oddziału gliwickiego TMLiKPW, gdzie obdarowano ich paczkami ze sprzętem sportowym i artykułami szkolnymi. Koszty pobytu na kolonii gości gliwickich lwowiaków zostały w całości pokryte z funduszy uzyskanych dzięki staraniom pań J. Cembrzyńskiej, L. Gadomskiej o p. M. Masełki. GZKK „Transgó” zapewnił bezpłatny przewóz kolonistów na trasie Rybnik-Rzeszów.

Gliwicki Oddział TMLiKPW może poszczycić się bogatą działalnością kulturalną, którą prowadzi wiceprezes p. E. Jakubowski. Zorganizował w ub. roku 33 prelekcje o tematyce lwowskiej w siedzibie Oddziału oraz Klubie Książki i Prasy w Rynku. Tamże, w ramach Miesiąca Kultury Lwowa, odbył się wernisaż i wystawa akwarel artysty-malarza Mariana Bietkowskiego, recytacja wierszy o Lwowie, impreza dla dzieci pt. „Graffiti Lwowskie” oraz degustacja chleba kulikowskiego. Dr inż. Maria Kuczyńska zorganizowała kolejne XII spotkanie Weteranów Polskiej Chemii – wychowanków Wydziału Chemii Politechniki Lwowskiej, połączone z sesją naukową.

Tradycyjnie w siedzibie TMLiKPW odbywają się spotkania członków z okazji świąt Bożego Narodzenia – opłatek i Wielkanocnych – święcone. Członkowie Zarządu towarzyszą harcerzom w Dniu Święta Zmarłych na gliwickich cmentarzach w kweście na odbudowę Cmentarza Orłąt. Pani wiceprezes M. Postępska odwiedziła Borysław przekazując pomoc miejscowemu Towarzystwu Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Utrzymuje też kontakty z zarządami śląskich oddziałów TMLiKPW.

Gliwiccy lwowiacy chlubią się posiadaniem sztandaru Związku Hallerczyków ze Lwowa. Jego poczet, pod dowództwem p. A. Rodackiego, uczestniczy z pięknym sztandarem we wszystkich uroczystościach państwowych i kościelnych oraz obchodach rocznic nie tylko w Gliwicach.

### Dobre wieści ze Stanisławowa

Dziesięć lat temu w Stanisławowie powstała pierwsza sobotnia szkoła z fakultatywną nauką języka polskiego.

Pierwszą nauczycielką, która przyniosła dzieciom polskie słowo, była siostra OSU Krystyna Rynkiewicz. Potem naukę języka ojczystego polskich dzieci tu zamieszkałych kontynuowali nauczyciele z Polski: T. Majsakowski, Cz. Dębiec, St. Kalinowska, miejscowa nauczycielka p. M. Czerniakowska i inni wolontariusze. Wspomina się ich tu z wdzięcznością.

W 1992 r. władze oświatowe zezwoliły na utworzenie tu klas początkowych z wykładowym językiem polskim w miejscowej szkole nr 14. Polacy oraz osoby pochodzenia polskiego mieszkające w Stanisławowie zaczęły domagać się, aby ich dzieci, kiedy przejdą do wyższych klas, mogły dalej uczyć się w języku ojczystym. Zabiegało o to także Towarzystwo Kultury Polskiej i F. Karpińskiego działające w tym mieście. Wreszcie w tym roku Komisja ds. Oświaty przy Radzie Miejskiej zmieniła status tzw. „polskich klas” z wykładaniem jęz. polskiego – na klasy z językiem wykładowym mniejszości (polskiej) narodowej oraz zgodziła się na stopniowe rozszerzanie nauki w języku ojczystym w starszych klasach. Pozytywnie też rozpatrzono wniosek TKP im. F. Karpińskiego o utworzenie w Stanisławowie polskiej, państwowej szkoły średniej. Wprawdzie nie ma możliwości finansowych, aby szkołę otwarto od początku tego roku szkolnego, lecz sprawa jest nadal aktualna i władze oświatowe powrócą do tego tematu w styczniu przyszłego roku. Zobowiązały Miejski Wydział Oświaty, by do tego czasu wskazał budynek na szkołę mniejszości narodowej. Ponadto zarekomendowano szersze wprowadzenie fakultatywnej nauki jęz. polskiego w szkołach z ukraińskim językiem nauczania.

Zapalono zatem zielone światło – po latach starań i oczekiwań – dla rozwoju szkolnictwa i języka polskiego w Stanisławowie. Społeczność polską w tym mieście ucieszył szczególnie fakt, że jej postulat odrodzenia, zlikwidowanej w 1957 r. polskiej szkoły, znalazł wreszcie zrozumienie i poparcie władz. Przed TKP im. F. Karpińskiego stają obecnie nowe zadania: przygotowanie kadry pedagogicznej dla polskich szkół, opracowanie dydaktyki i metodyki nauczania, utworzenie internatu przy przyszłej polskiej szkole dla dojeżdżających uczniów i in. Towarzystwo postanowiło powołać regionalną organizację – Związek Nauczycielstwa Polskiego – który zajmie się tymi sprawami. Liczy też na pomoc, w różnej formie, z Polski.

### Muzeum J. Słowackiego – za rok

Ministerstwo Kultury Ukrainy zdecydowało się, po kilkumiesięcznym wahaniu, wesprzeć Krzemieniec dotacją na wykupienie budynku, do którego można było przenieść bibliotekę z dawnego dworku Słowackich. Strony polska i ukraińska podpisały już stosowną umowę regulującą sprawę udostępnienia dworku i jego generalny remont przez Polskę. Impas z wyprowadzeniem biblioteki z krzemienieckiego dworku opóźnił rozpoczęcie prac remontowych i nie udało się je zakończyć we wrześniu, a otworzyć muzeum 3 grudnia br. – jak wcześniej planowano – lecz dopiero w przyszłym roku. Najważniejsze – można zacząć remont dworku.

Nie odwołano natomiast wcześniej zaplanowanych spotkań i imprez z okazji obchodów Roku Słowackiego. We wrześniu spotkają się w Krzemieńcu premierzy Polski i Ukrainy, a w sławnym niegdyś Liceum Krzemienieckim pisarze polscy i ukraińscy, którzy omówią twórczość J. Słowackiego, a także literaturę polską i ukraińską mijającego dziesięciolecia. W krzemienieckim spotkaniu pisarzy weźmie udział ambasador Ukrainy w Polsce Dmytro Pawlycz-

ko (przyczynił się do przezwyciężania impasu z rozpoczęciem remontu dworku), który jest tłumaczem m.in. utworów J. Słowackiego i po raz pierwszy przedstawi swój przekład utworu „Anhelli”.

W tym czasie w Krzemieńcu będą gościli również finaliści ogólnopolskiego konkursu polonistycznego oraz laureaci prowadzonego na Ukrainie konkursu recytatorskiego poświęconego twórczości J. Słowackiego. Tu także nastąpi rozstrzygnięcie konkursu literackiego dla Polaków z Ukrainy i poplenerowa wystawa młodych twórców polskiego pochodzenia.

Interesująco zapowiada się wrzesień w Krzemieńcu....

### Ofiarom Katynia

Wielkopolska straciła w Katyniu, Charkowie i Miednoje ponad 1500 oficerów i policjantów. Większość stanowili rezerwiści – urzędnicy, profesorowie, nauczyciele, lekarze, prawnicy. Ich pamięci będzie poświęcony pomnik, który stanie w centrum Poznania. Jego twórcą jest artysta rzeźbiarz Robert Sobociński, nieodpłatnie też wykonał projekt i model pomnika. Będzie to zespół kilkunastu figur naturalnej wiel-

kosci, zespolonych w 4,5 m. kompozycję wyrastającą z ziemi. Kompozycja bryły głównej nawiązuje do drastycznego w swym wyrazie obrazu ekshumowanych mogił, a cała bryła pomnika do rozłożystego drzewa, kryjącego umęczone martwe ciała.

Prace nad pomnikiem są daleko zaawansowane. Odlano już w brązie większość elementów. Stowarzyszenie „Katyń” w Poznaniu nie zaprzestaje zbiórki, prowadzonej od kilku lat, pieniędzy. Do akcji włączyły się poznańskie licea, przedsiębiorstwa, banki, wojsko. Odsłonięcie pomnika zaplanowano na 17 września br.

Jak się dowiadujemy, rozpoczęła się także budowa cmentarza oficerów polskich, zamordowanych przez NKWD, w Charkowie na Ukrainie oraz Katyniu i Miednoje na terenie Rosji. Prawie osiem lat trwały starania Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa o dokumenty zezwalające na rozpoczęcie prac przy budowie tych cmentarzy. Punktem centralnym każdego z nich będzie ściana z krzyżem, pełniąca rolę ołtarza ofiarnego oraz dzwon. Cmentarze będą miały charakter ekumeniczny. Nie będzie grobów indywidualnych, lecz zbiorowe. □

## Ogólnopolski Komitet Obchodów 55 Rocznicy Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów na Ludności Wołynia i Małopolski

Al. Ujazdowskie 6a, 00-461 Warszawa

Warszawa, dnia 7 czerwca 1999

### Komunikat

Uprzejmie informuję, że w wyniku starań naszego Komitetu – w dniu 21 maja 1999 w Archikatedrze Św. Jana Chrzciciela w Warszawie odbyła się uroczystość odsłonięcia i poświęcenia tablicy upamiętniającej męczeńską śmierć Polaków pomordowanych przez bojówki OUN-UPA na Wołyniu i Kresach Południowo-Wschodnich RP w latach 1939-1947. Na tę uroczystość Kresowiaczy czekali ponad 55 lat. Uroczystość rozpoczęto Mszą św., którą koncelebrowali ks. Infułat Jerzy Zalewski i ks. Prałat Janusz Popławski, Kapelan Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Poczty sztandarowe wystawiły Organizacje Kresowe, Kombatanckie i Harcerskie. Wśród zgromadzonych wiernych udział wzięli świadkowie i uczestnicy tamtych tragicznych wydarzeń z Warszawy i różnych stron Polski, a także ich Rodziny i Przyjaciele. Najliczniej były reprezentowane środowiska Organizacji Kresowych i Kombatanckich z III Obszaru Lwowskiego AK i Okręgu Wołyńskiego AK. W czasie uroczystej Mszy św. homilię wygłosił ks. Prałat Janusz Popławski, który nawiązał również do homilii J. Em. Ks. Kardynała Józefa Glempa Prymasa Polski – wygłoszonej w dniu 5.09.1998 z okazji 55 Rocznicy

eksterminacji ludności Wołynia i Kresów Południowo-Wschodnich RP.

Pragnę przede wszystkim najserdeczniej podziękować J. Em. Ks. Kardynałowi Józefowi Glempowi Prymasowi Polski za inaugurację, w dniu 5.09.1998 obchodów 55 Rocznicy holokaustu Polaków na Wołyniu i Kresach Południowo-Wschodnich RP, Mszą św. w Archikatedrze warszawskiej oraz za wyrażenie zgody na upamiętnienie ofiar zbrodni OUN-UPA – tablicą umieszczoną w Archikatedrze.

Również dziękuję ks. Infułatowi Jerzemu Zalewskiemu i ks. Prałatowi Januszowi Popławskiemu za odprawienie uroczystej Mszy św. i poświęcenie odsłoniętej tablicy.

Szczególnie serdecznie dziękuję Organizacjom, które wystawiły poczty sztandarowe. Z całego serca dziękuję Rodakom i Kresowiakom, którzy uczestniczyli w tej podniosłej uroczystości.

Pragnę wyrazić nadzieję, że umieszczona w Archikatedrze tablica będzie nie tylko przestrogą, ale i przesłaniem narodom Polski i Ukrainy do pojednania.

Przewodniczący Komitetu  
Jan Niewiński

## WŚRÓD KSIĄŻEK

Jan Minorowicz  
„Więzień gulagu”

Książka powstała na podstawie wspomnień Autora. Jan Minorowicz urodził się we wsi Wolków k. Lwowa. Lata dziecięce i chłopięce spędził we wsi rodzinnej i we Lwowie. Aresztowany przez NKWD w 1940 r. za działalność kontrrewolucyjną, następane 15 lat przeżył w

obozach gulagu na terenie Rosji sowieckiej. Do Polski powrócił w 1955 r. Książka jest wstrząsającym dokumentem z okresu funkcjonowania reżimu stalinowskiego. Jest dokumentem przeżyć młodego Polaka „na nieludzkiej ziemi”. Książkę czyta się z zapartym tchem. Można ją zakwalifikować do opracowań pamiętnikarskich, gdyż Autor przytacza szczegółowe fakty sprzed kilkudziesięciu lat tak, jak

gdyby miały one miejsce niedawno. Jest to książka wspaniała, fascynująca. Autor tych wspomnień jest znanym gorzowskim działaczem społecznym, emerytowanym pracownikiem „Stilonu” i byłym radnym M.R.N. Mimo doznanych krzywd Jan Minorowicz stara się przedstawić w miarę obiektywnie obraz funkcjonowania obozów i życia prostych ludzi na Syberii.

Wspomnienia dotyczą również warunków współżycia różnych narodowości w podlowskiej wsi, zdarzeń we wrześniu 1939 r., jak i mało znanych dziejów powtórnej repatriacji i osadnictwa na Ziemi Lubuskiej. To ciekawa lektura! Gorąco Państwu polecam – informację o książce otrzymaliśmy od prof. Jerzego Kowalczyka z Krakowa. Dziękuję (A.K.)

**Antoni Worobiec – „Trościaniec Wielki – wieś Ziemi Załozieckiej”, Zielona Góra 1999 r.**

Autor urodził się w 1918 r. Historia dała mu 20 lat pokoju i spokojnego rozwoju. Zaraz po maturze w 1936 r. wstąpił do Szkoły Podchorążych. W latach 1938-39 studiował geografię we Lwowie. We wrześniu 1939 r. został zmobilizowany do 51 pp. w Brzeżanach. Pułkiem dowodził ppłk. August Emil Fieldorf, późniejszy generał AK „Nil”, w latach 50 skazany przez komunistów na karę śmierci. Kampania wrześniowa skończyła się dla niego po wkroczeniu Armii Czerwonej. Aresztowany uciekł z transportu. Czasy okupacji spędził w rodzinnej wsi – Trościaniec Wielki. Od 1942 r. działa tam podziemna organizacja wojskowa. W jej szeregach znalazł się podchorąży Antoni Worobiec. W 1943 r. został dowódcą plutonu w kompanii samoobrony AK, która broniła ludność wsi przed atakami nacjonalistów ukraińskich.

Latem 1945 r. osiedlił się, wraz z grupą trościanieckich rodaków, w Kosieczynie koło Zbąszynka. Był nauczycielem, później kierownikiem wiejskiej szkoły. Po uzupełnieniu studiów wyższych przeniesiono go do Zielonej Góry. Uczył geografii w szkołach średnich. Zastąpił jako znawca Środkowego Nadodrza oraz jako przewodnik terenowy i pilot wycieczek zagranicznych. Jest autorem wielu opracowań regionalnych, w języku polskim i niemieckim.

Książka wzorowana jest na typowych monografiach miejscowości. Przedstawiono w niej mozaikę krajobrazów Ziemi Załozieckiej – mikroregionu Wyżyny Podolskiej. Pokazano w niej bogate walory poznawcze i historyczne miejsc pamięci narodowej. Opisano w niej epizody bogatych zdarzeń z czasów I i II wojny światowej, zwłaszcza zagrożenie i terror czasów okupacji sowieckiej, niemieckiej i czasu ukraińskich czystek etnicznych. Opracowanie zawiera charakterystykę życia gospodarczego oraz dzieje parafii rzymsko-katolickiej, oświaty i wychowania. Prezentuje sylwetki ludzi, którzy wzniesli się ponad przeciętność społeczności wiejskiej. Książka zawiera opisy zwyczajów ludowych i obrzędowości rodzinnej, ukazuje relikty stroju, sposobu budownictwa wiejskiego oraz charakterystyczne cechy gwary.

Książkę wydano staraniem byłych żołnierzy Armii Krajowej zrzeszonych w Kole Środowiskowym w Zbąszynku.

Gorąco polecam Państwu wspomnienia o Trościancu Wielkim. Napisana jest prostym i czytelnym językiem i jest kolejną pracą opisywającą szczegółowo kolejną miejscowość – wieś Kresów Wschodnich. Dobrze się stało, że książka ukazała się drukiem i możemy poznać historię, która odchodzi w zapomnienie, a pisze to człowiek, który to co widział opisał dla nas i potomnych.

Gratuluje Panu tak ciekawej książki (A.K.).

**Biblioteka „Wołania z Wołynia” poleca:**

**1. O. Albin Janocha OFMCap. „O. Serafin Alojzy Kaszuba (1910-1977)”, Biały Dunajec 1999 (wydanie dwujęzyczne). Cena 7,- zł + porto.**

Publikacja krótkiej biografii Sługi Bożego autorstwa o. Albina Janochy jest kolejnym owocem współpracy „Wołania z Wołynia” z Ojcami Kapucynami w Krakowie.

Praca o. Albina Janochy oparta na dokumentach archiwalnych i korespondencji z O. Serafinem Kaszubą kończy się piękną modlitwą za prześladowanych w imię wiary, o pokój i za współczesnych apostołów.

Do tekstu książeczki dodano wspomnienie o Słudze Bożym O. Serafinie Kaszubie p. Władysławy Krynickiej z Ostroga, tłumaczką pracy o. Albina Janochy na język ukraiński.

**2. Krzysztof Koltun, „Szelest róży”, Biały Dunajec-Ostróg 1999. Cena 5,- zł + porto.**

Zbiór kilkudziesięciu wierszy poświęconych Św. Teresie od Dzieciątka Jezus, patronce Wołynia. Poetycki ślad jubileuszu 100. lecia śmierci Małej Tereski i ogłoszenia jej Doktorem Kościoła, wydany w 150. lecie śmierci Juliusza Słowackiego.

Publikacja opatrzona jest posłowiem ks. Witolda Józefa Kowalowa nt. poezji terezańskiej i osoby Autora tomiku.

**3. Adrian Waclaw Brzózka, „Czekanie na dotyk anioła”, Lublin 1999. Cena 10,- zł.**

Kolejny zbiór poezji franciszkanina-reformaty, będący zapisem spotkania z Bogiem i człowiekiem. Miejscem tych spotkań nierzadko jest Wołyń, gdzie kilka lat Autor pracował na placówce misyjnej w Kowlu. Autor przywołuje nam Madonny Wołynia i świętych męczenników.

Tomik opatrzony jest interesującym posłowiem Henryka Radeja.

Wymienione publikacje można zamawiać pod adresem:

Ośrodek „Wołanie z Wołynia”

Skrytka pocztowa 9

34-520 Poronin

**Nowość wydawnicza**

**Biblioteka „Wołania z Wołynia” t. 10**

**Ks. Witold Józef Kowalów**

**„Sursum corda. W górę serca”**

**Biały Dunajec – Ostróg 1999**

\*\*\*

Uwagde Szanownych Czytelników „Wołania z Wołynia” polecamy kolejny tom naszej serii wydawniczej. Tym razem jest to książka ks. Witolda Józefa Kowalowa pt. „Sursum corda. W górę serca”. Jest to wybór artykułów prasowych wołyńskiego kapłana z lat 1992-1997. Są to artykuły głównie publikowane na łamach „Wołania z Wołynia”, ale także „Radości Wiary” (Drohobycz), „Gazety Lwowskiej”, „Dziennika Kijowskiego”, „Gościa Niedzielnego”, „Niedzieli” i innych czasopism. Ich najczęstszą tematyką jest odrodzenie Kościoła Katolickiego na Wołyniu i sam Wołyń, na terenie którego ks. Kowalów pracuje od 1992 roku, kiedy przyjął święcenia kapłańskie.

„Ukazanie się zbioru artykułów ks. Witolda Józefa Kowalowa (...) nie jest przypadkowe. Jest to odpowiedź proboszcza na liczne listy, prośby studentów, historyków dotyczące przeszłości i obecnego stanu Kościoła Katolickiego na Wołyniu” – pisze w przedmowie do książki Władysława Krynicka.

Książka wzbogacona jest licznymi ilustracjami, większość których publikowana jest po raz pierwszy, oraz podmiotową i przedmiotową bibliografią „Wołania z Wołynia” od numeru 1 (1) z 1994 do numeru 6 (19) z 1997 r. Wspomniana bibliografia obejmuje prace autorów, recenzentów, tłumaczy i ważniejsze osoby oraz teksty o nich.

Dla wszystkich interesujących się Wołyniem książka stanowi swego rodzaju przewodnik po najnowszych dziejach diecezji łuckiej.

Książkę „Sursum corda. W górę serca” można nabyć (w cenie 17,- zł + porto) zamawiając pod adresem:

Ośrodek „Wołanie z Wołynia”, skr. poczt. 9, 34-520 Poronin □

## Lista ofiarodawców w m-cu VI-VII 99 r. (w zł)

- |  |      |   |      |
|--|------|---|------|
| 1. Barbara Hoszowska-Bógdał, Rybnik .....            | 10,- | 7. Sylwester Karmęński, Poznań, Cm. Orl. Lw. ....     | 20,- |
| 2. Emil Hlib, Legnica, na sztandar .....             | 20,- | 8. G. Grodecki, Kanada, Cm. Orl. Lw. . 200 USD=786,80 |      |
| 3. Tomasz Wojciechowski, Przemyśl, Cm. Orl. Lw. .... | 35,- | 9. Bronisław Ostowski, Wrocław, Cm. Orl. Lw. ....     | 25,- |
| 4. W. A. Podoleccy, Kielce .....                     | 25,- | 10. Maria Żurowska-Gangi, Toruń .....                 | 10,- |
| 5. Andrzej Hanuszewski, Pyskowice, Cm. Orl. Lw. .... | 30,- | 11. Bożena Sobolewska, Białystok, Cm. Orl. Lw. ....   | 50,- |
| 6. Janina Blum, Wrocław .....                        | 40,- |   |      |

**Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom  
składamy najserdeczniejsze podziękowania.**

## Od Wydawcy

Z wielkim zadowoleniem zawiadamiamy Państwa, że w odróżnieniu od ubiegłego roku, wydaliśmy już kalendarz na rok 2000, który jest równocześnie I częścią „LWOWSKICH POMNIKÓW”. Prezentujemy w nim, na podstawie archiwalnych, unikalnych zdjęć, pomniki i tablice, których we Lwowie już nie ma.

Oba kalendarze (1999-2000) stanowią całość tematyczną, przypominającą historię, bohaterskie czyny, fragmenty architektury Lwowa, świadczące o polskości tego miasta. Pokazują piękno i przywołują wspomnienia związane z miastem „Semper Fidelis”.

Z uwagi na to, że kalendarz na rok 1999 był wydany w zbyt małym nakładzie i wiele osób nie miało możliwości zakupu, będą mogli teraz nabyć wkładkę (bez kalendarium – jako dodatek do kalendarza 2000) zawierającą prezentowane tam polskie pomniki, które dotychczas zdobią Lwów, oraz pomniki wywiezione po wojnie do Polski.

Cena kalendarza na 2000 r. – 10 zł

Wkładki – pomniki bez kalendarium – 5 zł

Polecamy gorąco ten lwowski dokument – kalendarz na rok 2000.

Prowadzimy sprzedaż wysyłkową doliczając porto pocztowe.

Wpłaty prosimy kierować na konto bankowe Fundacji Kresowej „SF”-PKO BP IV O/Wrocław,  
nr: 10205255-10012-270-1-111.

Z nowości wydawniczych doszły nam następujące pozycje:

Teresa Siedlar-Kołyżko – „Od Smoleńska po Dzikie Pola”

Teresa Siedlar-Kołyżko – „Między Dźwiną, a Czeremoszem”

Leon Żur – „Mój Wołyński Epos”

Piotr Pawlina – „Ta joj, ta Lwów”

B. Mękarska-Kozłowska – „Burza nad Lwowem”

B. Mękarska-Kozłowska – „Mozaika Wspomnień”

J. Surwiło – „Rachunek nie zamknięty”

R. Wernik – „Nie wrócą bociany na Graniczną”

Krystyna Angielska – „Jesienny nokturn” – poezja wydana obecnie we Lwowie.

Wobec wielu zapytań o treść kaset video z cyklu „Podróże na Kresy” – podajemy:

I – Kapłan z Gułagu cz. I i cz. II, Polesia czar, Nieśwież

II – Kościoły Wołynia i Podola – z różnych stron, Początek, Krzemieniec

III Buczac, Jazłowiec, Czortków, Ostróg

IV Żytomierz cz. I i cz. II, Berdyczów, Bar.

Kasety magnetofonowe to:

1. Lwowskie Boże Narodzenie

2. Lwowska Wielkanoc

3. Ballady Kresowe

4. Śliczna Gwiazdo Miasta Lwowa Maryja

5. AK – Pieśni

6. Kapela – Kabaret „Wesoły Lwów”

Życzymy przyjemnego słuchania naszych melodii!

Dyrektor  
Fundacji Kresowej „SF”  
Danuta Tabińska-Juhasz